tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 30 (1385)
20-26.07.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Lech Szczegóła
Kapitalizm w fazie turbo

Mateusz Cholewa
Jak się bronić przed fake newsami

Andrzej Celiński
Troje na jednego w „Zdaniu"

Podróże Jacka Pałkiewicza
U Korowajów

Brednie IPN o „czarnej dziurze"

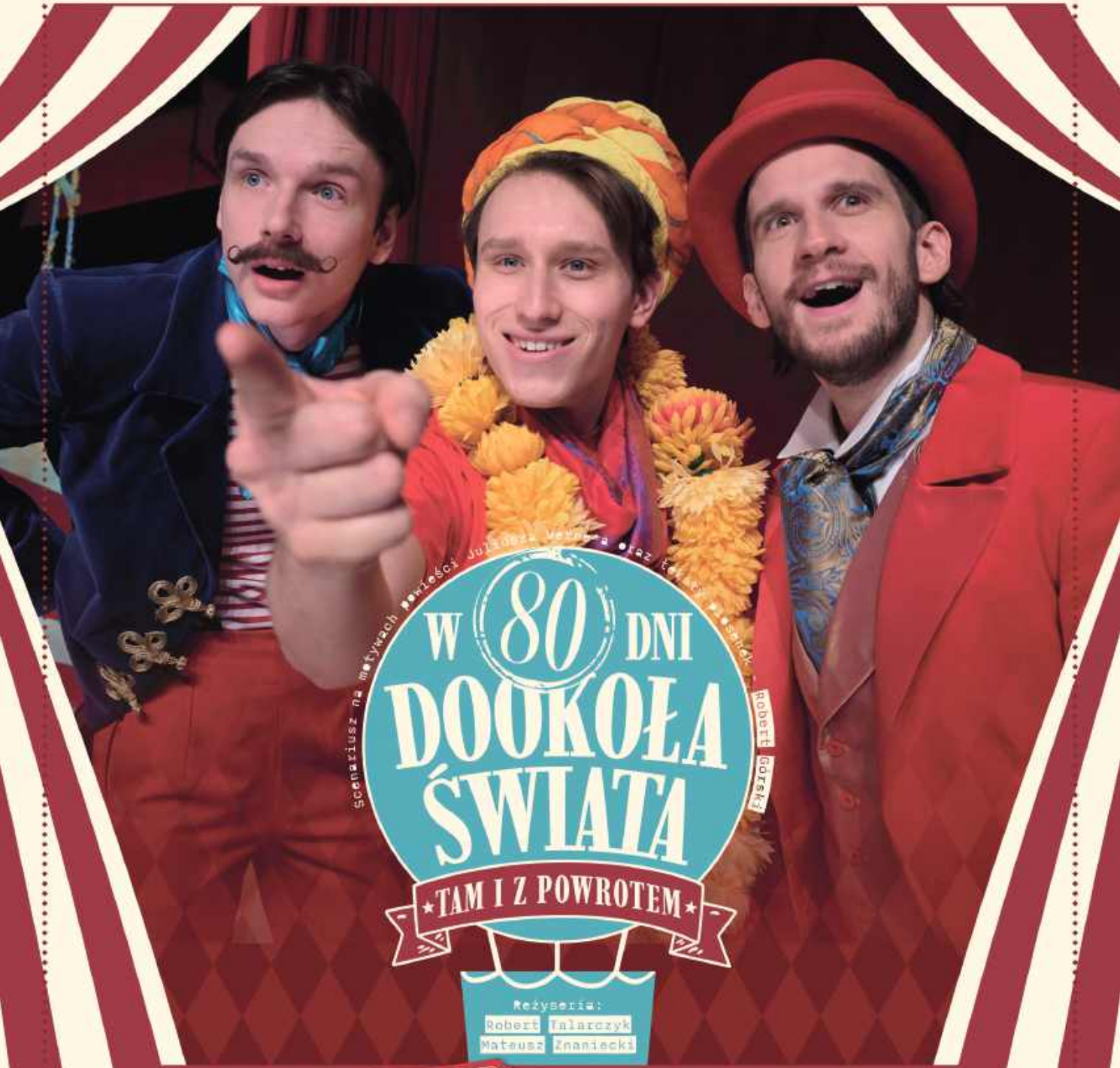
DZIEDZICTWO POLSKI LUDOWEJ



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509-3115 30
9 771509 311607

eprasa.pl 68802d276f

TEATR CAPITOL



• KUP BILET TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 68802d27ef



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Prawda sama się nie obroni

Choć ta data jest w pamięci kilku pokoleń Polaków, to nawet skromnych uroczystości z okazji 22 lipca nie ma co się spodziewać. Wręcz odwrotnie. Paranoicy z puchnącego od kasy IPN i rozmaite byty powołane za rządów PiS, obdarowane milionami z ministerstw i spółek skarbu państwa, znowu wyleją cysterny czarnej farby na PRL. I na wszystko, co było w Polsce do 1989 r. Coraz częściej czarną farbą malują kolejne lata. Te, w których pełnej władzy nie sprawował Jarosław Kaczyński. Z dekoracjami: Andrzejem Dudą i Mateuszem Morawieckim. Jeden już jest na marginesie. A drugi zrobił woltę i z ukochanego synusia prezesa wszedł w rolę Brutusa. Zobaczymy, czy skutecznie. I czy na Morawieckim skończy się bardzo długa polityczna saga Kaczyńskiego. Z niezwykłą skutecznością w zdobywaniu i poszerzaniu osobistej władzy. Władzy, która służyła mu do utrwalenia monopolu rządów prawicy. Ten etap dobiega końca. Jeszcze raz czy dwa prezes może się wymknąć młodszym wilkom. Chyba nie ma pomysłu na sukcesję zaakceptowaną przez większość walczących ze sobą liderów PiS.

Piszę tyle o Kaczyńskim, bo to jego w największym stopniu obciążają lata odwracania kota ogonem i budowania mitu o PRL jako jakiejś „czarnej dziurze" w naszej historii. Robił to skutecznie rękoma polityków o lotności furmanki. Wystarczy spojrzeć na ekipę, która siedzi w IPN, i powołanego przez Sejm nowego prezesa Mateusza Szpytmę. Zobaczymy, czy Senat poprze tę kompromitującą decyzję. I tego współsprawcę łgarstw w podręcznikach szkolnych. To z IPN wyszły takie absurdy jak ten, że Polacy odbudowali Warszawę wbrew komunistom. A ileż ipeenowcy wyprodukowali podobnych bredni, fałszerstw i kłamstw!

„Przegląd" zawsze walczył o rzetelną ocenę lat 1944-1989.

Najśmielszy projekt społeczny w historii Polski zasługuje na solidną dokumentację. Fakty są silną stroną PRL. Nie chcemy jej idealizować. Chcemy prawdy. Nie dla siebie, bo my ją znamy. Dla kolejnych, wchodzących w życie młodych pokoleń. Pora zatrzymać chocholi taniec z okłamywaniem młodzieży. Po wyborze Mateusza Szpytmy, bardzo zadowolonego z siebie i „osiągnięć" IPN, nie ma na co czekać. Trzeba podjąć skuteczniejsze działania, by przeciwstawić się ipeenowskiej machinie fałszerstw. W pojedynkę tego nie da się zrobić. Musi powstać taka struktura, która połączy ludzi widzących potrzebę walki o prawdę. Musimy stworzyć platformę wspólnego działania. Może będzie to ogólnopolskie stowarzyszenie, a może inny pomysł na zachowanie dobrej pamięci, dorobku i dziedzictwa PRL. Pisze o tym w bardzo osobistym artykule Paweł Dybicz. Jego myślenie jest bliskie wielu naszym czytelnikom. Wiemy, co nas łączy. Spróbujmy więc wspólnie pomyśleć, co i jak zrobić. Proszę o propozycje, o deklaracje bliższej współpracy i pomocy materialnej. Zbierzemy je i jak będzie taka wola, to we wrześniu zorganizujemy spotkanie w Warszawie.

Nie ma na co czekać. Jeśli nie my, to kto?

Czekam na listy i mejle:
j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

BĄKOWSKI



eprasa.pl 68802d276f

W NUMERZE

HISTORIA
8 **Dziedzictwo Polski Ludowej**
PRL broni się swoim dorobkiem
44 **Czerwcowy rytm historii**
Okrągłe rocznice zmieniające Polskę

KRAJ
12 **Skoro jest tak dobrze, dlaczego jest tak źle?**
– rozmowa z prof. Lechem Szczegółą
16 **Dama wymiaru Prawa i Sprawiedliwości**
Upolityczniona sędzia Szczepaniec
18 **Nowe szaty fejków**
– rozmowa z Mateuszem Cholewą
22 **Ale jaja!**
Koszty wolności dla niosek
24 **Udało nam się przekonać Solidarność, że jest taka jak my**
– rozmowa z Andrzejem Celińskim
28 **Dzietni, bezdzietni, zagubieni**
Polskie rodzicielstwo
47 **45 lat Związku Żołnierzy Wojska Polskiego**
49 **Spór o lekarzy w Sopocie**

OPINIE
32 **Doug Bandow**
Ameryka powinna unikać konfliktu z Chinami
34 **Jan Machynia**
Jątrząca pamięć

ZAGRANICA
36 **Mamdani – więcej niż burmistrz**
Jeden Nowy Jork socjalizmu nie czyni
40 **Włochy jak Karaiby**
Korespondencja z Rzymu

KULTURA
50 **Geniusz czy żebrak?**
O artystach w Komisji Kultury
51 **Qulturalia**
66 **W kręgu przyjaciół. Wizjoner Henricot**

SPORT
52 **Leo Messi i mundialowe rekordy wszech czasów**

OBSERWACJE
54 **Korowajowie**
Jacek Pałkiewicz szuka nadrzewnych domów
58 **Dlaczego wszyscy jedzą sardynki?**
Kulinarny symbol lata

ZWIERZĘTA
60 **Urodzeni ratownicy**
Psy marynarzy, rybaków i Obamy

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Prawda sama się nie obroni
7 **Jerzy Bralczyk**
Ciszej
21 **Jan Widacki**
Prawda zamaskowana w Radrużu
27 **Andrzej Romanowski**
Tryptyk chłopski I. Zgorszenie w Markowej
31 **Stanisław Filipowicz**
Ikony stylu
39 **Roman Kurkiewicz**
RPO – kto to, po co, dlaczego?
43 **Tomasz Jastrun**
W jednym łóżku
61 **Wojciech Kuczok**
Podobrazie rzeczywistości



36
ZAGRANICA

MAMDANI – WIĘCEJ NIŻ BURMISTRZ
Jeden Nowy Jork socjalizmu nie czyni



54
OBSERWACJE

KOROWAJOWIE
Jacek Pałkiewicz szuka nadrzewnych domów



60
ZWIERZĘTA

URODZENI RATOWNICY
Psy marynarzy, rybaków i Obamy



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. OKŁADKA WYGENEROWANA ZA POMOCĄ AI

eprasa.pl 68802d276f

Geniusz, szarlatan, chuligan



Pisząc o poezji Gałczyńskiego językiem lustratorów („wiernopoddańcze wobec komunistycznej władzy utwory"), Mariusz Urbanek dał świadectwo, że nie potrafi odróżnić w poezji szczerego entuzjazmu i idącej z nim w parze idealizacji od udawanej szczerości pochwał właściwych poezji dworskiej, czasem też agitacyjnej. Wróciwszy po wojnie do Polski, Gałczyński był spragniony radości, że Polska w nowej postaci się odradza, że warszawski wiatr znów wieje po Starówce i Mariensztacie, że Szczecin zaczyna oddychać polskością, a flota pod polską banderą wypływa na Bałtyk. Taką chciał ją widzieć. Tak samo jak Tuwim, Słonimski, Iwaszkiewicz, młoda Szymborska, nie mówiąc już o szczerym do bólu Broniewskim. Oni byli w tym autentyczni. Dąbrowska uważnie dzieliła racje, poeci dawali wyraz odczuciom. Nie widzę w poezji Gałczyńskiego wiersza, który byłby nieszczerze służalczy i nie wynikał z nierzadkiego w dziejach poezji „entuzjazmu idealizującego".

Andrzej Lam

Zlot Honorowych Obywateli Fromborka

Z okazji 60. rocznicy rozpoczęcia słynnej „Operacji 1001-Frombork" w dniach 7-9 sierpnia 2026 r. odbędzie się zlot Honorowych Obywateli Fromborka i uczestników operacji. To wyjątkowe wydarzenie dla harcerzy i instruktorów, którzy brali udział w wielkiej akcji odbudowy miasta. Podczas tegorocznego jubileuszu uczestnicy będą mogli wziąć udział w spotkaniach wspomnieniowych, zwiedzić Frombork i odnowić dawne przyjaźnie.

W operacji prowadzonej w latach 1966-1973, w trakcie której młodzież odbudowywała zniszczony po II wojnie światowej Frombork, brali udział zarówno harcerze, jak i ich koledzy spoza ZHP. Uczestniczyło w niej ok. 40 tys. młodych osób. Prawie 3 tys. uczestników akcji otrzymało tytuł Honorowego Obywatela Fromborka.

Na tegoroczny zlot zapraszają burmistrz miasta i gminy Frombork Damian Krasiński i hm. Stanisław Iwaniuk.

Polskie marki, które wróciły



Redaktor Marek Czarkowski opisał losy Zelmera i jego przestępczą prywatyzację, za którą nikt oczywiście nie poniósł odpowiedzialności. O tym, jak „bezwartościowe" były produkty tej fabryki, może zaświadczyć mój egzemplarz miksera z kompletem wymiennych końcówek marki Zelmer Predom. Kupiłam go równo 45 lat temu i nadal działa bez zarzutu. Jest rówieśnikiem mojej córki, dla której miksowałam nim zupy, a potem używałam go do wielu czynności, bo ma różne użyteczne końcówki. Pokażcie mi wyprodukowany w „nowej" Polsce przedmiot AGD o takiej niezawodności i trwałości. To na marginesie opowieści, że przed tzw. transformacją polskie fabryki niczego nie potrafiły zrobić i wszystko należało rozwalić. Celują w takich przytykach ci, którzy obłowili się na złodziejskiej prywatyzacji, a także młodzi, którzy nic o tamtych czasach nie wiedzą, ale uważają, że są najmądrzejsi.

Grażyna Stando

ZDJĘCIE TYGODNIA



Rzecznikiem praw obywatelskich została kandydatka Lewicy i KO Sylwia Gregorczyk-Abram. Wybór posłów musi jeszcze zatwierdzić Senat. Sejm, 17 lipca 2026 r.

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 68802d276f

Prezydent Nawrocki zawetował ustawę o statusie osoby najbliższej. W kampanii wyborczej zabiegał o poparcie osób żyjących w związkach partnerskich, bez ślubu, mających dzieci. Oszukał i bardzo utrudnił życie milionom ludzi.

•

Od maja **209 absolwentów aplikacji sędziowskiej** czeka na akty mianowania na asesorów sądowych i podpis prezydenta Nawrockiego. Czekają, a mogliby miesięcznie załatwiać ok. 10 tys. spraw.

•

Sylwia Gregorczyk-Abram została przez Sejm wybrana na nowego rzecznika praw obywatelskich.

•

77,4% Polaków opowiada się za ograniczeniem wynagrodzenia lekarzy (sondaż **IBRiS** dla **„Rzeczpospolitej”**).

•

Na 20 lat więzienia został skazany Łukasz Żak, który w centrum Warszawy, jadąc z prędkością 220 km/godz., spowodował śmiertelny wypadek. Był pijany. Miał sądowy zakaz prowadzenia pojazdów. Wyrok nie jest prawomocny.

•

Na szkalowanie polskich sędziów, którą to kampanię, nazwaną „Sprawiedliwe sądy”, przeprowadzono w 2017 r., Polska Fundacja Narodowa wydała ponad 8 mln zł. Zasiadający we władzach PFN Maciej Ś. i Cezary J. zostali zatrzymani przez CBA. Mają zatrzymane paszporty i zakaz opuszczania kraju. PFN dysponowała budżetem przekraczającym 100 mln zł. Składały się na to spółki skarbu państwa.

PRZEBŁYSKI



Borek słów się nie lęka

Lukę po polskiej reprezentacji, której nie udało się na mundial dostać, zapełniła ekipa Tomasza Syguta. TVP wysłała kilkunastu dzielnych komentatorów. Wdzięczni za wyjazd opowiadali widzom, co się dzieje na murawie. Mieliśmy więc radio i telewizję w jednym. I to dubeltowo. Jak jeden sprawozdawca na chwilę milkł, to zaczynał drugi. Dyrekcja TVP wiedziała, że są skromnie kompetentni, więc ustawiono ich parami. W gromadzie ścigających się w gadaniu wyróżniał się Mateusz Borek. Mówił najwięcej i najgłośniej. Kolejny słowotwórca, co polskiej mowy się nie lęka. Odnotowaliśmy kilka perełek: „ten zespół mocno przecieka”, „zawodnik uzależniony od prawej nogi”, „jakie atuty mają zajrzeć do pola karnego”, „ma pewne deficyty w bronieniu”, „w pierwszej myśli chciał”. Niestety, drugiej i kolejnych myśli u Borka nie było.



Psychopata na plebanii

Na drzwiach plebanii w parafii pw. św. Stanisława Biskupa Męczennika w Żerkowie (woj. wielkopolskie) powinno wisieć ostrzeżenie: „Uwaga! Niebezpieczny proboszcz”. Chodzi o ks. Jarosława G., proboszcza, któremu prokuratura zarzuciła znęcanie się psychiczne nad wikariuszem ks. Robertem Olejnikiem, co mogło doprowadzić 31-letniego księdza do samobójstwa. Sprawa toczy się przed sądem w Jarocinie. Zeznawać będzie 24 świadków. Jeden z nich, ks. Maciej, też był wikariuszem u Jarosława G. W sądzie określił proboszcza mianem psychopaty, który tak nad nim się znęcał, że ks. Maciej zażądał od bp. Janiaka przeniesienia. Zagroził porzuceniem kapłaństwa, więc go przenieśli. Na poniewierkę wysłali zaś ks. Roberta Olejnika. Publicznie upokarzany, obrażany i oskarżany – wybrał samobójstwo. Proces trwa.

PYTANIE TYGODNIA | Jak weta Nawrockiego szkodzą Polsce?

PROF. RADOSŁAW MARKOWSKI,
socjolog, politolog, Uniwersytet SWPS

Ludzie różnie oceniają te decyzje: jedni widzą w Nawrockim szeryfa, drudzy uważają jego aktywność za niezwykle szkodliwą. Ta pogarda dla konstytucji i uzurpowanie sobie kompetencji – zachowanie, jakbyśmy mieli system prezydencki – niszczą zaufanie obywateli do prawa i norm. W dobie wojny hybrydowej seryjny paraliż ustawodawczy jest skrajnie niebezpieczny: blokada ustawy o SAFE, gdy fundusze na obronność są potrzebne natychmiast, graniczy ze zdradą interesów narodowych. Podobnie destrukcyjne jest zawetowanie Parku Narodowego Doliny Dolnej Odry – to infantylna decyzja podszyta rdzenną nienawiścią do wszystkiego, co niemieckie. Prezydent zwyczajnie kpi z naszego bezpieczeństwa, a obcesowe traktowanie Ukrainy sprawia, że na arenie międzynarodowej uchodzimy za kogoś, kto nie rozumie sytuacji strategicznych.

PROF. DOROTA PIONTEK,
politolożka, UAM w Poznaniu

Weta prezydenta Karola Nawrockiego nie tyle „szkodzą”, ile niosą poważne konsekwencje w kilku wymiarach. W sferze ustrojowej utrudniają bieżące zarządzanie państwem i realizację programu rządu, dysponującego przecież demokratycznym mandatem z wyborów parlamentarnych w 2023 r. Jednocześnie taka konfrontacyjna postawa prezydenta i próby zaznaczania własnych wpływów utrwalają w społeczeństwie destrukcyjny obraz polityki jako obszaru wyłącznie konfliktu, a nie kompromisu. Z kolei na arenie międzynarodowej ten wyraźny dwugłos i manifestowany rozdźwięk utrudniają budowanie silnej pozycji Polski – nasi partnerzy tracą orientację i nie wiedzą, kto rzeczywiście podejmuje decyzje w Warszawie, co widać chociażby w kontekście podejścia do Ukrainy.

GEN. STANISŁAW KOZIEJ,
były szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego

Prezydent powinien stosować weto w sposób bardzo wyważony – tylko gdy uzna ustawę za sprzeczną z konstytucją lub gdy znalazł się w niej inny błąd prawny. Jeśli jego argumenty odrzucono w parlamencie, nie powinien blokować ustaw, bo to rząd prowadzi politykę państwa. Tymczasem polityczne weta uderzają w bezpieczeństwo kraju z trzech powodów. Po pierwsze, rodzą spór na szczytach władzy zamiast współdziałania, kluczowego przy obecnych zagrożeniach międzynarodowych. Po drugie, ośrodek prezydencki nie ma kompetencji struktur rządowych, co grozi błędnymi krokami – jak blokada ustawy o SAFE, uderzająca w autorytet zwierzchnika Sił Zbrojnych. Po trzecie, ten paraliż blokuje kluczowe procesy: skutkuje brakiem nowej strategii obronnej i wstrzymaniem Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego.

Rozmawiał Maciej Belowski

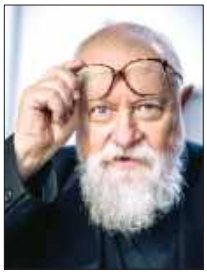
FOT. YOUTUBE (2)

eprasa.pl 68802d276f



mleczko.pl
sklep.mleczko.pl

Ciszej



Jerzy Bralczyk

Zrządzenia i zrzędzenia

Różnie sobie radzimy z konfliktami, czasami wcale. Co gorsza, często się z nich cieszymy, pozwalają nam na dowartościowanie siebie kosztem drugiej strony. Ale oczekujemy przeprosin, zadośćuczynień, a przeważnie deklarujemy niezadowolenie z trwających sporów i nieporozumień. Wiemy, że zgoda buduje, niezgoda rujnuje, ale czasem nam się myli.

W zasadzie myślimy o dwóch sposobach likwidacji konfliktów, gdy chodzi, a często chodzi, o wymiar symboliczny. Albo wyciszymy, zapomnimy (pewnie, że nie całkiem), albo przegadamy, wszystko powiemy, bo, jak wiadomo, „prawda musi zwyciężyć", chociaż, jak też wiemy, „musi boleć".

Przyznaję, że w prywatnych konfliktach częściej wolę milczeć czy raczej zmilczeć. Wybieram drogę pierwszą, nawet gdy piasek jest nienajlepszym miejscem dla głowy.

Bo pamiętam, że ta druga metoda dość rzadko przynosi takie skutki, o jakie chodzi, przynajmniej deklaratywnie, czyli zgodę. Tak w wymiarze prywatnym, jak w publicznym. Odgrzewanie, odświeżanie daje nam sporo satysfakcji, ale czy prowadzi do zgody? Konflikty publiczne, spory ludzi, instytucji i państw są zresztą skwapliwie podgrzewane przez media, z oczywistych powodów.

Nasi lamentatorzy, deklarując własną bolesność pochodzącą z niezgody i żądzę jej zakończenia, przypominają skrupulatnie powody tej niezgody i grzeją temat.

Powiedzenie „ciszej nad tą trumną" weszło do języka już dawno, różnie bywa rozumiane – ale niezależnie od pierwszego kontekstu wyraża ważną postawę: dosyć mówienia o konflikcie, bo to go przedłuża i wzmaga.

Tak, temat orderów czy sposobów czczenia jest atrakcyjny i pozwala na prezentacje naszych słusznych racji i pretensji. Poza tym jesteśmy moralnie winni wiele tym, którzy zostali skrzywdzeni. Wiele innych powodów też znaleźć możemy i wydaje się nam, że powinniśmy.

Ale może by tak trochę ciszej nad tymi orderami. Albo w ogóle mniej. Prawda, że to, co tu piszę, to też jakieś grzanie tematu, takie jak mówienie „już nie mówmy o tym, że…" itd. Ale ta przewrotna figura retoryczna (praeteritio, gdyby kogoś interesowało) bywa używana szczerze, gdy serio wzywa do milczenia o tym, o czym mówienie więcej szkody przynosi.

I już milczę.

■

eprasa.pl 68802d276f

DZIEDZICTWO POLSKI LUDOWEJ

Siedzi w nas, czerpiemy z dorobku PRL, nie uświadamiając sobie tego, jak bardzo

Paweł Dybicz

Wbrew temu, co wieszczono przed laty, nie słabnie zainteresowanie Polską Ludową. Nie tylko dlatego, że żyją jeszcze miliony ludzi, którzy się w niej urodzili, kształcili i pracowali. Także, a może przede wszystkim, ze względu na dziedzictwo – wielorakie, nie do zakwestionowania – jakie po sobie zostawiła. A w zasadzie jakie zostawiła Polska Rzeczpospolita Ludowa, która tak de iure istniała dopiero od 1952 r. Polskę Ludową traktuję jako państwo istniejące w latach 1944-1989, toteż nie będę rozwijał wątku, kiedy formalnie powstała. Ani kiedy przestała istnieć i dlaczego. O tym jest moja najnowsza książka, zatytułowana „Pożegnanie z Polską Ludową. Rozmowy o schyłku PRL i narodzinach III RP" (Wydawnictwo Iskry).

Chcę już na wstępie jednoznacznie powiedzieć: dziedzictwo Polski Ludowej siedzi w nas, czerpiemy z jej dorobku, często nawet nie uświadamiając sobie tego, jak bardzo. Dlatego też nie ma mojej zgody na to, co robi się z PRL od ponad 30 lat, a szczególnie po powstaniu Instytutu Pamięci Narodowej. Oto bowiem w ramach oficjalnej państwowej polityki historycznej zmarginalizowano, a tak naprawdę wyrzucono z historii Polski okres PRL, niemalże zrównując go z okresem rozbiorów. Przed nimi istniała I Rzeczpospolita, w latach 1918-1939 była II Rzeczpospolita, a po 1989 – III RP. Czasy Polski Ludowej uznano za jakąś czarną dziurę, hybrydę, twór (państwowy?), który nie może istnieć w głównym nurcie historii Polski, a jedynie na jej obrzeżach. I w zasadzie zasługuje wyłącznie na potępienie oraz obśmianie.

Tę prostacką wizję niedawnej przeszłości charakteryzuje myślenie ahistoryczne, nie uwzględnia się tego, że każde państwo pozostawia po sobie dziedzictwo i że jest ono wianem dla kolejnego. III RP, trzymając się powszechnej terminologii, nie była budowana na gruzach PRL, ale właśnie na jej dziedzictwie i dorobku. Na gruzach, po tragicznej wojnie, ogromnych stratach ludzkich i materialnych, budowano natomiast Polskę Ludową. Nie wolno o tym zapominać, bo wpłynęło to w znaczący sposób na politykę i działania rządzących oraz społeczeństwa Polski Ludowej.

PRL broni się swoim dziedzictwem oraz dorobkiem, na którym zbudowano III RP.

Nie zamierzam wdawać się w rozważania, czym była Polska Rzeczpospolita Ludowa. Nie była państwem w pełni demokratycznym, suwerennym, ale rządzący robili wiele, by uniezależniać się od Moskwy, co z dekady na dekadę następowało. Poluźniali krępujący Polskę gorset, co dobrze rozumiał prymas Stefan Wyszyński. Słowem, Polska Ludowa wybijała się na niepodległość. Warto więc pokazać, co po niej zostało, co wniosła do III Rzeczypospolitej. Nie będę pisał oczywistości, w rodzaju zagospodarowania Ziem Odzyskanych, odbudowy stolicy czy bezpłatnego szkolnictwa na poziomie średnim i wyższym. Muszę natomiast przypomnieć coś, co ma znaczenie w patrzeniu na historię Polski, tę prawdziwą, a nie politykę historyczną rodem z IPN.

Ciągłość historii

Jak dorobek II Rzeczypospolitej, a właściwie jej zacofanie oraz II wojna światowa odcisnęły się na Polsce Ludowej, tak dziedzictwo PRL miało wpływ na III RP. To w PRL położono podwaliny pod obecny kształt państwa. Choćby w całej sferze ustrojowej. To w Polsce Ludowej zdecydowano się (także w wyniku porozumienia ekipy gen. Jaruzelskiego z opozycją) na demokratyczne formy rządzenia, na parlamentaryzm i na nowe organy władzy.

Dziś mało kto pamięta, że jeszcze przed Okrągłym Stołem w PRL utworzono instytucje tak ważne dla funkcjonowania państwa, ale również dla zwykłych Polaków, jak Trybunał Konstytucyjny (w 1982 r., a jego działalność orzecznicza rozpoczęła się w 1986 r.), Trybunał Stanu (istniał przed wojną, przywrócono go w 1982 r.) i Rzecznik Praw Obywatelskich (powołany ustawą z 1987 r., rozpoczął działalność

eprasa.pl 68802d276f



Wieńczysław Gliński, Zbigniew Religa i Wojciech Jaruzelski w pochodzie pierwszomajowym. Warszawa, 1988 r.

rok później, a pierwszym rzecznikiem została prof. Ewa Łętowska). Jeszcze w czasach PRL utworzono inne proobywatelskie instytucje, jak choćby Rzecznik Praw Konsumenta. To, co z tymi prodemokratycznymi instytucjami zrobiono, szczególnie z Trybunałem Konstytucyjnym, Polski Ludowej już nie obciąża, to już się działo w III RP.

W Polsce po 1989 r. nie przestały funkcjonować istniejące w PRL organizacje społeczne, stowarzyszenia i związki, nie tylko sportowe. Powstałe w Polsce Ludowej, a niekiedy jeszcze wcześniej, kontynuują działalność, nie wypierając się swojej genezy ani dorobku, sprawiedliwie oceniają przeszłość, nie zamykając oczu na nieprawidłowości, jakie też miały miejsce.

Do dziedzictwa Polski Ludowej należy zaliczyć całą sferę fundamentalnych praw obywatelskich, społecznych, odnoszących się do zrównania w prawach kobiet i mężczyzn, ustawodawstwo regulujące stosunki pracy, edukację i wiele innych dziedzin. Nie mówi się o tym, od kiedy te regulacje obowiązują ani skąd się wzięły, bo uznaje się je za oczywiste i istniejące od zawsze. Tymczasem konserwatywna prawica wiele z tych postępowych uregulowań – np. prawa kobiet – chciała i chce zlikwidować albo w znacznym stopniu ograniczyć.

Niech któryś polityk spróbuje zlikwidować święto 1 Maja ustanowione w PRL, szybko się zorientuje, co o tym myśli społeczeństwo.

III RP przejęła po Polsce Ludowej niemałą wartość materialną. Nie tylko infrastrukturę społeczną: szkoły (np. w latach 1959-1965 dla uczczenia tysiąclecia państwa polskiego wybudowano ponad 1,2 tys. nowych), szpitale czy mieszkania, ale także odbudowany i tworzony na nowo przemysł (do 1989 r. powstało ponad 1,6 tys. zakładów pracy). Wbrew temu, co opowiadają domorośli historycy czy ignoranci, wcale nie taki zacofany. Owszem, w najnowszej dziedzinie, informatyce – tak, ale już w innych całkiem nowoczesny.

Polskie przedsiębiorstwa w niemałej części nie ustępowały zagranicznym jakością produktów. Było tak za sprawą licznych kupowanych na Zachodzie licencji; np. wszystkie zakłady produkujące maszyny budowlane pracowały na amerykańskich licencjach. Z wybudowanych w Polsce Ludowej zakładów pełnymi garściami czerpie III RP. Przykład: zakłady zbrojeniowe, w których produkowana ma być broń w ramach zakupów z SAFE. W podręcznikach szkolnych uczniowie znajdują informacje, że w II RP zbudowano Gdynię i COP, ale nie dowiedzą się, że w Polsce Ludowej takich COP powstało

eprasa.pl 68802d276f

dziewięć. Dlaczego tak się dzieje, to już temat na inny artykuł.

Potencjał ludzki

O ile spuścizna legislacyjna czy materialna jest mierzalna, o tyle trudniej dokładnie obliczyć potencjał ludzki ulokowany w stosunkowo nieźle wykształconym społeczeństwie. Transformacji ustrojowej i gospodarczej nie dokonały ufoludki. Wynikała ona z woli i działania wykształconego w PRL społeczeństwa oraz decyzji władz, podejmowanych często w porozumieniu z ludźmi Solidarności.

Zawsze będę bronił tezy, że gdyby nie poziom wykształcenia Polaków aktywnych w okresie zmian ustrojowych, gdyby nie ich wiedza i praktyka, a także niemała znajomość Zachodu, Polska nie osiągnęłaby tego sukcesu, jaki teraz jest jej udziałem. To, że po okresie początkowej zapaści w gospodarce, głównie w przemyśle, ma ona coraz większe znaczenie nie tylko w Europie, jest również efektem stanu umysłów moich rodaków. I stosunkowo niemałego (w swojej masie) nowoczesnego przemysłu, zakładów i fabryk, które funkcjonowały jeszcze przed rokiem 1989.



Spotkanie władz PRL i przedstawicieli Solidarności w Magdalence. Nz. Aleksander Kwaśniewski, Lech Kaczyński, Alojzy Pietrzyk i Władysław Frasyniuk. Wrzesień, 1988 r.

Dziedzictwem PRL są ludzie opozycji. Ich postawy życiowe i poglądy kształtowały się w Polsce Ludowej.

Gdyby tak nie było, proces prywatyzacji miałby minimalny zakres. Bo po co byłyby zachodnim firmom przemysłowe skanseny? Niektóre zakłady kupiono po to, by wyeliminować konkurencję, czyli obawiano się, że peerelowskie fabryki będą zagrożeniem dla innych firm (rolę i znaczenie istniejących w PRL zakładów świetnie opisał prof. Andrzej Karpiński w wydanej przez „Przegląd" książce „Prawda i kłamstwa o przemyśle").

Powojennej władzy, bez względu na to, jak ją oceniać, udało się w znacznej mierze zrealizować hasło równouprawnienia, o które walczyli socjaliści, komuniści i ludowcy. Dziś to bagatelizujemy, uznajemy za oczywistość, ale przez wieki było to nieosiągalne. Z równouprawnieniem nierozerwalnie wiąże się socjalizacja społeczeństwa. To też jest dziedzictwo Polski Ludowej. Dziedzictwo o niemałym znaczeniu i wadze. Społeczna niezgoda na wielkie nierówności wobec prawa, majątkowe czy płacowe nie wzięła się z niczego, to właśnie wpływ PRL. I tego nie pojmują mało rozumni konfederaccy zwolennicy Mentzena czy nawet część działaczy i wyborców Koalicji Obywatelskiej, uznając zsocjalizowanie Polaków za przejaw postaw roszczeniowych, wręcz komunistycznych.

Skoro jestem przy politykach, pójdę jeszcze dalej, stawiając tezę, że dziedzictwem PRL są ludzie opozycji. Nie spadli z nieba 4 czerwca 1989 r. Ich postawy życiowe, poglądy, a i nawyki kształtowały się w Polsce Ludowej. Wśród nich nie brakuje takich, którzy tworzyli ówczesną rzeczywistość PRL. Nawet jeżeli była to postawa opozycji. I nie myślę tu tylko o Jacku Kuroniu czy Karolu Modzelewskim. A czy Jarosław Kaczyński, Donald Tusk, Grzegorz Schetyna, Ryszard Terlecki i wielu, wielu innych objawili się dopiero w 1989 r.? Oni i im podobni ukształtowani zostali w Polsce Ludowej, są jej schedą i... dorobkiem. Ich wpływ na dzisiejszą Polskę jest przecież niemały i ma korzenie w PRL.

Doceniani w świecie

Kończąc wątek społeczny, gwoli prawdy trzeba powiedzieć, że PRL ma także niekorzystną spuściznę (zresztą to spuścizna nie tylko po niej, ale i po poprzednich wiekach). To z pewnością mała aktywność obywatelska Polaków, przyzwolenie ich niemałej części na autorytarny sposób rządzenia, niewiara w prawdomówność polityków, stosunkowo niewielki udział w działalności społecznej czy związkowej.

FOT. CAF/ZBIGNIEW MATUSZEWSKI, LASKI DIFFUSION/EAST NEWS

eprasa.pl 68802d276f

Nie da się natomiast ocenić dziedzictwa Polski bez oceny jej kadr naukowych, które od połowy lat 50. nie żyły w izolacji, poza światowym obiegiem myśli i dokonań uczonych. W świecie, szczególnie w naukach społecznych, polska nauka była ceniona, a jej luminarze cieszyli się niemałą estymą. Ale i w naukach technicznych nie brakowało uczonych o światowej sławie. Prof. Janusz Groszkowski – pionier radiotechniki i elektroniki. Opracował oryginalną metodę analizy drgań elektrycznych. Podczas wojny rozszyfrował układ sterowania niemieckich rakiet V-2. Prof. Witold Nowacki – wybitny specjalista w dziedzinie mechaniki budowli i teorii sprężystości. Prof. Wacław Olszak – jeden z największych na świecie ekspertów w dziedzinie teorii plastyczności i konstrukcji żelbetowych. Prof. Ignacy Malecki – światowy autorytet w dziedzinie akustyki i elektroakustyki. Czy to, co stworzyli, nie jest dorobkiem PRL, który rozwijają ich uczniowie?

Dowodem uznania na świecie uczonych z PRL jest ich udział w międzynarodowych konferencjach oraz wybór do władz europejskich i światowych stowarzyszeń naukowych. Nie wybierano by ich, gdyby nie byli szanowani, gdyby mieli mizerny dorobek naukowy i wiedzę. Zachodnie ośrodki naukowe nie zapraszałyby polskich uczonych na swoje uniwersytety i do ośrodków badawczych.

Polska nauka, ta peerelowska, jest dobitnym przykładem ciągłości historii, zmian pokoleń. Nawet w czasach stalinizmu dominujący wpływ mieli w niej przedwojenni uczeni, to oni wykształcili nowe kadry naukowe w Polsce Ludowej. A te wykształcone w PRL tworzą dzisiejsze kadry naukowe i kształcą swoich następców, kontynuując sztafetę pokoleń. Wystarczy przypomnieć prof. Zbigniewa Religę, który wraz z gen. Wojciechem Jaruzelskim szedł w pierwszym szeregu w pochodzie pierwszomajowym. Religa później był ministrem zdrowia w rządach Kazimierza Marcinkiewicza i Jarosława Kaczyńskiego. Czy dokonania prof. Religi, jego współpracowników i uczniów to nie jest dziedzictwo PRL? A Polska Ludowa dała III RP więcej takich postaci, nie tylko tych, którzy po 1989 r. zajmowali odpowiedzialne stanowiska w państwie.

À propos święta 1 Maja, ustanowiono je w Polsce Ludowej. Niech któryś polityk spróbuje je zlikwidować, szybko się zorientuje, co o tym myśli społeczeństwo, poddawane antypeerelowskiej edukacji i ponoć wyzwolone już od wpływów PRL.

Z kulturą nie jest inaczej. I nie będę przywoływał życiorysu Kazimierza Dejmka, dziejów dejmkowych i zarazem Polski, od „Dziadów" Mickiewicza do stanowiska ministra kultury. Najważniejsi twórcy z czasów PRL wchodzili do III RP z ogromnym dorobkiem, ugruntowaną pozycją w świecie filmu, również poza granicami ojczystego kraju: Andrzej Wajda, Krzysztof Zanussi, Kazimierz Kutz, Krzysztof Kieślowski, Jerzy Kawalerowicz i wielu innych. A reżyserzy teatralni? Jerzy Grotowski, Tadeusz Kantor, żeby poprzestać tylko na tych nazwiskach znanych w świecie i nagradzanych twórców sztuki scenicznej. A literaci? Czy zadeklarowali, że to, co napisali w PRL, nie ma wartości i dopiero dzieła stworzone po 1989 r. są godne uwagi? A muzycy, autorzy tekstów, aktorzy? Długo można wymieniać też plastyków i rzeźbiarzy, powstałaby pokaźna lista twórców kultury.

Może ktoś powiedzieć, że ich dokonania były jedynie ich dziełem. Otóż nie, one także są dziedzictwem Polski Ludowej. Ci wybitni twórcy wykształcili się w PRL i nie pracowali w próżni, zamknięci w wieży z kości słoniowej. Ktoś im umożliwiał tworzenie, czy to w studiach filmowych, radiowych, telewizyjnych, czy na deskach scenicznych. Ich dokonania były możliwe dzięki państwowemu (peerelowskiemu) mecenatowi, bez niego te wybitne dzieła nie zaistniałyby.

III RP przejęła po Polsce Ludowej niemałą wartość materialną: szkoły, szpitale czy mieszkania, ale także odbudowany i tworzony na nowo przemysł.

I to jest dziedzictwo PRL, schedа, z której czerpiemy na wszelaki sposób. Jak choćby TVP, emitując po wielokroć dzieła, które powstały przed 1989 r. Czy są one oglądane z sentymentu do PRL? Nie! Polacy chętnie do nich wracają ze względu na wysoki poziom artystyczny. Tak więc, żeby nie wiem jak chciano obrzydzić i obśmiać Polskę Ludową, nie da się tego zrobić. Bo PRL broni się swoim dziedzictwem oraz dorobkiem, na którym zbudowano III RP. I co mądrzejsi to rozumieją, nie wierząc w ipeenowski przekaz.

Paweł Dybicz

p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl



eprasa.pl 68802d276f

Skoro jest tak dobrze, dlaczego jest tak źle?

Jak przywrócić wiarę w politykę

Robert Walenciak



PROF. LECH SZCZEGÓŁA
– socjolog polityki, profesor na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Zielonogórskiego. Autor książki „Droga do wojny kulturowej. Ideologia Dobrej Zmiany".

Panie profesorze, wszystkie dane wskazują, że Polska się rozwija, jest coraz bogatsza, goni Europę. Jest wzorem – to są relacje zachodnich Europejczyków odwiedzających nasz kraj – jeśli chodzi o bezpieczeństwo, o czystość. Czy Polacy to zauważają? Daje im to poczucie zadowolenia?

– Świadomość dobrej kondycji polskiego systemu gospodarczego istnieje, ale mocniej działają sygnały negatywne. One szybciej się linkują, pojawiają i w mediach, i w codziennych rozmowach. Przeprowadzono kiedyś badanie, co bardziej oddziałuje na psychikę: czy kiedy znajdziemy 100 zł, czy gdy zgubimy 100 zł.

Znam to badanie.

– Wiadomo więc, o co chodzi. Złe informacje są przez umysł łatwiej przetwarzane i kodowane. Do sukcesów szybko się przyzwyczajamy, traktujemy je jako naturalne, oczywiste. A porażki, zagrożenia…

Rozpamiętujemy, ale towarzyszy temu gniew. Emocje. Dlaczego?

– Myślę, że są trzy rodzaje przyczyn tej sytuacji – mają one charakter, po pierwsze, polityczny, po drugie, ekonomiczny, po trzecie, kulturowy.

Zacznijmy od politycznego.

– Sądzę, że prawie 10 mln Polaków wciąż żyje w traumie po wyborach prezydenckich, których wynik był dla wielu szokiem. Ta trauma przekształciła się w długotrwałą frustrację i w pewnego typu depresję. Część zwolenników Koalicji 15 Października żyje jakby w ramach kroniki zapowiedzianej śmierci. Wszystko wskazuje na to, że za półtora roku w Polsce władzę obejmie nieprzewidywalna koalicja trzech formacji prawicowych. Poczucie, że rządowi Tuska nie udało się niczego istotnego zmienić, jest bardzo silnym stresorem. Prowadzi do rozczarowania i braku nadziei. A wiara w przyszłość to najlepsze lekarstwo na takie nastroje.

A ta druga strona?

– A druga strona, pewnie żywiąc się informacjami innej części systemu medialnego, jest sfrustrowana strasznymi „zbrodniami koalicji 13 grudnia". I też żyje w stanie niepewności. Jej optymizm został zachwiany ewidentnie słabą formą jej lidera, Jarosława Kaczyńskiego, oraz kłótniami w obozie prawicowym. Sytuacja polityczna jest więc źródłem rozczarowań, bo nie nadeszło żadne tak oczekiwane oczyszczenie ani rozliczenie.

Takie poczucie mają zwolennicy Koalicji 15 Października.

– Bardzo boli to, że ludzie, którzy powinni być jeżeli nie w więzieniu, to przynajmniej przed sądem, śmieją się w twarz i brylują w mediach. Polityka generalnie stała się walką w błocie. Widzimy – i to chyba jest coś, co jednoczy obie strony – że politycy utracili resztki wiarygodności. Ich obietnice, wielkie słowa, patriotyczne slogany kryją nieudolność, prywatę i hipokryzję.

Czyli, jeśli chodzi o wyborców, sfrustrowani są jedni i drudzy?

– Myślę, że najlepiej w tej sytuacji radzi sobie młodzież, która ma typowe dla swojego wieku modele ucieczki od marnej polityki. Niestety, będzie to ucieczka w cynizm, który obserwuję wśród studentów, czyli albo syndrom lekceważenia polityki, albo postanowienie, że będziemy głosować na kogoś najbardziej kontrowersyjnego. Ale oni przynajmniej wiedzą, że przeżyją Tuska i Kaczyńskiego.

Mówił pan, że taką ważną cechą dobrej polityki jest nadzieja, jakiś plan, marzenie. Tutaj tego nie ma?

– Rząd dryfuje, zajmuje naszą uwagę drobnymi sukcesami, typu otwieranie kawałka autostrady czy jakiejś inwestycji, irytującymi miliardami wydawanymi na broń. A to już nie jest coś, co mogłoby

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 68802d276f

istotnie zmienić nastroje. Potrzeba jakiegoś dobrze obudowanego propagandowo planu, stworzonego wokół jednego, konkretnego priorytetu. Na przykład planu obniżenia cen energii. I cały rząd powinien się skupić na pokazaniu, że dążymy do obniżki tych cen, które są już chyba najwyższe w Europie. To mogłoby przywrócić wiarę, że politycy i rządy służą czemuś więcej niż samym sobie.

PiS miało Centralny Port Komunikacyjny, samochód elektryczny, promy do pływania po Bałtyku.

– Tamta propaganda, pamiętajmy, przyniosła PiS fantastyczny wynik po czterech latach, w 2019 r., a następnie w wyborach europejskich. Ten rząd utknął w takiej, jak to się mówi, bieżączce i gaszeniu pożarów.

Jeśli chodzi o rząd, mamy więc katastrofę polityki ciepłej wody w kranie.

– Donald Tusk jest wytworem czasów tzw. postpolityki, czyli koncentracji na zarządzaniu problemami, w duchu „nie robimy polityki, budujemy mosty". To wpisuje się w ogólnoeuropejskie poczucie, że politycy są tak naprawdę bezsilni i nasze wybory zmieniające rządy nie prowadzą do odczuwalnych zmian. Proszę spojrzeć na Wielką Brytanię czy Niemcy.

Ale czy to tłumaczy widoczną eksplozję frustracji, np. antyukraińskości?

– Na czynniki polityczne nakładają się czynniki kulturowe, świetnie zbadane w Polsce przez psychologów społecznych, którzy opisali naszą kulturę narzekania. To nam zawsze pomagało w relacjach społecznych i pozwalało nawiązywać kontakty. Ale gdy już narzekamy i robi się to powszechne, prędzej czy później musimy pokazać przyczynę tego.

Wskazać kogoś.

– W czasach PRL to, wiadomo, komuna. W czasach transformacji – Balcerowicz, Wałęsa, czerwoni albo czarni, później już mamy podział PO-PiS i wiemy, kto jest winny temu, że nam, Polakom, wiatr w oczy. To poczucie, że brniemy jako kraj w kierunku, którego nie znamy, i w zasadzie jest tylko gorzej, wymaga wskazania kozła ofiarnego. I odkryto, że tymi winnymi są przebywający wśród nas imigranci, uchodźcy przed wojną.

Oni są wszystkiemu winni, tak?

– Nie wszystkiemu, ale są wygodnym symbolem, który może nasze frustracje kanalizować. Daje wyjaśnienie, dlaczego drepczemy w miejscu, brniemy w kolejny rok z coraz mniejszą nadzieją.

Ale przecież ludziom w Polsce żyje się lepiej niż kiedyś. Wydawałoby się więc, że jeśli im się poprawia, to nie muszą być aż tak agresywni, emocjonalni w swojej złości.

– Poziom zamożności Polaków jest niewątpliwie najwyższy w historii. Ale mam poczucie, że klasa średnia, szczególnie budżetówka albo ludzie small biznesu, została poważnie dotknięta skokiem inflacyjnym sprzed kilku lat. Część oszczędności im stopniała. 8 tys. zł pięć lat temu miało większą siłę nabywczą niż 10 tys. dzisiaj. Ceny ważnych dla klasy średniej usług i produktów wzrosły. Jest też świadomość rosnącego rozwarstwienia, zwiększania się przepaści między klasą średnią a wyższą. Dochody ludzi z góry, np. różnych celebrytów albo influencerów, czym bombardują nas media, stają się już niedostępne dla polskich średniaków, którzy czują szklany sufit nad swoimi głowami. I w zasadzie nie mają wiary, że będą mogli skoczyć poziom wyżej.

I to frustruje?

– Aspiracje zawsze rosną w miarę jedzenia. Czynniki dobrobytu materialnego są dla wielu Polaków kruche, często pochodzą z kredytu. A próba wejrzenia w przyszłość nie prowadzi do optymizmu.

Dlatego patrzymy w przeszłość? Z tego powodu eksplodował Wołyń? A parę lat temu emocje wzbudzał Katyń. Powstanie warszawskie! Czy musimy się plasować jako naród umęczony, niewinny, prześladowany przez wszystkich?

– Działa tu romantyczny archetyp kulturowy, na którym opiera się

> Prawie 10 mln Polaków żyje w traumie po wyborach prezydenckich, których wynik był dla wielu szokiem.



eprasa.pl 68802d276f

edukacja polskich pokoleń. Jesteśmy ofiarą, męczennikiem, a sami zawsze walczyliśmy za cudzą wolność. Ten schemat pomagał w trudnych czasach, a w tych nieco lepszych, które nadeszły, jest balastem. Lubimy, jak świat nas docenia, chwali, a gdy tego brakuje, natychmiast czujemy, że to ręka wroga, że ktoś tym steruje: Niemcy, Żydzi czy ktoś inny.

Ale chyba młodzi ludzie, z którymi ma pan do czynienia, bardziej są zainteresowani tym, by iść do przodu, a mniej historią, męczeństwem itd.

– Niekoniecznie. Te koszulki z orłami, żołnierzami wyklętymi i husarią ktoś chętnie kupuje i nosi. Etos husarii, wielkiej Polski, wielkich zwycięstw, no i martyrologii, bo te zwycięstwa nic nam nie dawały, jest kultywowany, zwłaszcza wśród młodych mężczyzn.

I tak doszliśmy do trzeciego czynnika obecnych frustracji – ekonomicznego.

– Trochę już mówiliśmy o rosnących kosztach życia i pesymizmie klasy średniej, która ma poczucie, że do tych nad nią już się nie zbliży. To uniwersalna tendencja światowa. W jej efekcie znaczna część wyborców w różnych krajach zaczyna się skłaniać ku tym, którzy mówią, że ten system można i trzeba wywrócić.

Tak mówiła lewica, przynajmniej przed II wojną światową.

– Dziś lewica bardziej się troszczy o egalitaryzm różnego typu mniejszości. I straciła słuch w kwestiach ekonomicznych, jakby rozumiała, że nie ma pomysłu na korektę obecnego kapitalizmu, bo dotychczasowe wyczerpały się wraz z państwem opiekuńczym i rosnącymi deficytami budżetowymi. Dopóki więc lewica nie wie, co „zamiast kapitalizmu”, zajmuje się sprawami, które prowadzą ją na margines.

Kapitalizm wchodzi w fazę turbo i masowy awans do klasy średniej i wyższej staje się coraz trudniejszy.

Czyli nie np. Cegielski, lecz husaria?

– W pewnym okresie młodzież wierzyła w korporacje, w biznes, w awans społeczny – i studenci chodzili na uczelnię w garniturach. To przeminęło na rzecz obecnej nacjonalistycznej fali. Mamy do czynienia z emocjami trochę infantylnymi i łatwymi, ale najwyraźniej to jest ważne dla mężczyzn, którzy, nie widząc oferty dla siebie, chcą mieć przynajmniej poczucie dumy z bycia po stronie wspólnoty patriotycznej.

Zatem mit awansu, sukcesu wypracowanego własnymi rękami i własną pomysłowością, już nie funkcjonuje?

– Pewnie część młodych ludzi żyje w tym modelu, ale dominuje przekonanie, że aby odnieść sukces, trzeba mieć plecy, koneksje i układy rodziców. Ten typ przekazu studzi zapał i wiarę w sprawiedliwość systemu. Kapitalizm wchodzi dzisiaj w fazę turbo i masowy awans do klasy średniej i wyższej staje się coraz trudniejszy.

Mamy ludzi sfrustrowanych, którzy chcą jakiejś zmiany. Nie wiedzą jakiej, ale chcą wywrócić stolik.

– To kumulacja czynników, o których mówiliśmy. Najpierw kryzys finansowy, później pandemia, wojna, inflacja, afery korupcyjne, bezkarność ludzi władzy, teraz ceny benzyny. Ludzie czują, że sami niczemu nie zawinili, a czynniki pogarszające sytuację są poza ich kontrolą i przyszły z zewnątrz. Poczucie niesprawiedliwości przenosi się w sferę gwałtownych emocji. My ciężko pracujemy, staramy się wiązać koniec z końcem, a stale coś się dzieje. W takiej sytuacji może się wyzwalać silna negatywna emocja.

A to nie wina mediów?

– To kolejny element. Platformy cyfrowe zasypują nas najchętniej przekazami negatywnymi, które pogarszają nastrój, wzmagają poczucie otaczającej nas niemoralności i nieuczciwości. A te przekazy, jak wiemy, przyciągają uwagę. Świat mediów cyfrowych, ale również tradycyjnych, przynosi poczucie, że ugrzęźliśmy i żyjemy w czasach końca innego postępu niż tylko technologiczny. Dla niektórych nawet on jest problemem i źródłem niepewności.

Czyli brakuje lidera, kogoś, kto ten naród by ogarnął?

– Brakuje narracji, dobrze przemyślanego, nowoczesnego komunikacyjnie projektu, adresowanego do różnych grup demograficznych. Propaganda to ważne narzędzie. Może służyć różnym celom, także złym, ale może wspomagać tych, którzy chcą jednak Polskę reformować.

Czekamy więc na taki projekt.

– Niestety, teraz to będą już tylko kampanijne hasła. A potrzebny jest projekt, który będzie postrzegany nie jako kiełbasa wyborcza, ale jako plan, któremu politycy rzeczywiście chcą poświęcić energię, nie tylko w rytuale obiecywania stu rzeczy na sto dni.

No to co z tym Tuskiem?

– Donald Tusk, mając syndrom Boga, miewał przebłyski intuicji i siły, które kilka razy pomogły mu w wyborach. Ale dziś działa w osamotnieniu, brakuje mu konsekwencji i nie umie korzystać z zewnętrznych ekspertów. Kryzys dotknął również mniejszych partnerów w koalicji. Lewica musi zdobyć co najmniej 10%, żeby w ogóle myśleć o kontynuacji rządzenia. To absolutne minimum, do którego obecnie nie może się zbliżyć. Ale i strona prawicowa nie ma jasnych perspektyw.

Chaos panuje wszędzie?

– Obserwujemy dekompozycję prawicy, jej główna partia jest zagubiona programowo. Nie dokonała się tam żadna zmiana personalna. To są ci sami ludzie, którzy poza swoim żelaznym elektoratem nie są wiarygodni. Ale wiemy, że PiS ma sprawną maszynę marketingową, która zacznie wreszcie tworzyć pomysły kampanijne. Na razie tam rzeczywiście panuje chaos, ale wiara, że tak będzie do końca, że prawica sama się pogubi, to chodzenie po ruchomych piaskach.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

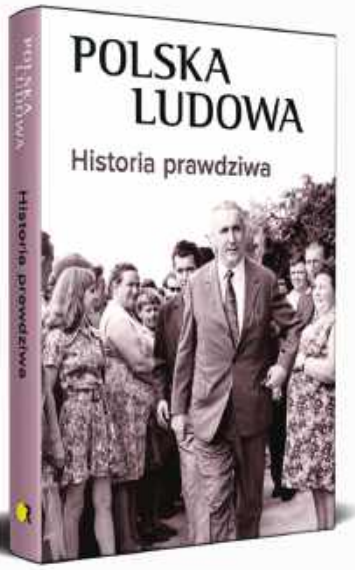
eprasa.pl 68802d276f

Wakacje z książką PRZEGLĄDU

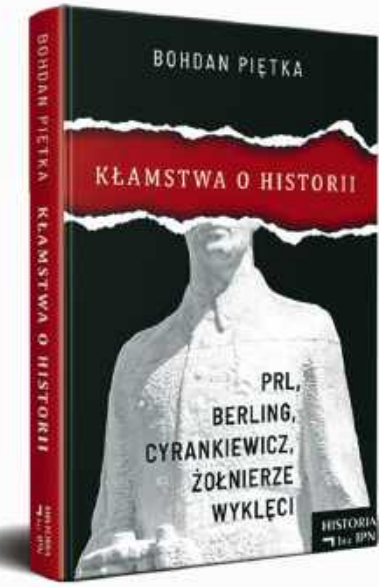
20% taniej











Promocja obowiązuje do 30 sierpnia 2026 r.

sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 68802d276f

Dama wymiaru Prawa i Sprawiedliwości

Neosędzia Maria Szczepaniec została prezeską nielegalnej Izby Odpowiedzialności Zawodowej Sądu Najwyższego

Andrzej Sikorski

Decyzja prezydenta nie powinna dziwić. Jak wiadomo, Karol Nawrocki wsparł zamach PiS na wymiar sprawiedliwości, stając murem za neosędziami powołanymi przez upolitycznioną i nieuznawaną przez środowiska prawnicze Krajową Radę Sądownictwa. Takich neosędziów, z których część publicznie manifestuje propisowskie poglądy, jest ok. 3 tys. Należy do nich Maria Szczepaniec, profesorka prawa z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. W statucie bogobojnej uczelni zapisano, że jej misją jest „poszukiwanie prawdy, dbanie o dziedzictwo narodowe, upowszechnianie i promowanie wartości chrześcijańskich, w szczególności katolickich, w życiu indywidualnym, społecznym, narodowym, państwowym i w ramach wspólnoty międzynarodowej".

Rozdwojenie jaźni

Maria Szczepaniec musi cierpieć na syndrom doktora Jekylla i pana Hyde'a. W murach szacownego uniwersytetu jest wierną córą Kościoła katolickiego, oddaną najpiękniejszym i najszlachetniejszym wartościom. Gdy jednak przekracza próg Sądu Najwyższego, staje się przedstawicielką pisowskiej kasty prawniczej reprezentującej butę, arogancję i pogardę wobec prawa oraz obowiązujących norm społecznych. Inaczej nie da się wytłumaczyć dwóch tak skrajnych postaw.

Przypomnijmy: aby zalegalizować działalność przestępczą (co widać teraz w pełnej krasie), PiS podporządkowało sobie wymiar sprawiedliwości. W tym celu usunięto z Krajowej Rady Sądownictwa 15 sędziów, jej członków, a w ich miejsce powołano stronników ówczesnej partii rządzącej.

Takie działanie – jak orzekły Sąd Najwyższy, Naczelny Sąd Administracyjny i europejskie trybunały – było nielegalne, a nowa KRS stała się zależna od władzy ustawodawczej i wykonawczej. W ten sposób Jarosław Kaczyński i spółka przejęli całkowitą kontrolę nad organem konstytucyjnym mającym stać na straży niezależności sądów i niezawisłości sędziów. Kontrolując KRS, partia władzy miała wpływ na nominacje sędziowskie, co było pogwałceniem wszelkich reguł praworządności.

Gdyby Maria Szczepaniec kierowała się wartościami zapisanymi w statucie UKSW, nie przystąpiłaby w 2018 r. do konkursu na sędziego Sądu Najwyższego, zorganizowanego przez nielegalną i upolitycznioną KRS. Wiedziała bowiem, co wyprawia PiS, demolując Trybunał Konstytucyjny, podporządkowując sobie nie tylko KRS, ale też prokuraturę, rozkradając majątek państwowy, prześladując opozycję, ograniczając wolność mediów, szczując na imigrantów czy nękając sędziów broniących praworządności. Przyzwoitość nakazywałaby jej trzymać się z daleka od szemranego towarzystwa. Mogła spełniać się jako adwokatka, mentorka czy nauczycielka akademicka. A tak wpakowała się do SN, stając się trybikiem upolitycznionej machiny, która blokuje rozliczenia pisowskich aferzystów (prokuratorów i sędziów), zapewniając im bezkarność.

Szczepaniec zyskała także finansowo. Jako sędzia SN zarabia ponad 30 tys. zł, a razem z pensją z UKSW co miesiąc na jej konto wpływa kilkadziesiąt tysięcy złotych. Do tego chroni ją immunitet i ma zagwarantowaną pokaźną emeryturę.

Na straży interesów partyjnych

Maria Szczepaniec w SN dała się poznać jako gorliwa stronniczka PiS. Początkowo orzekała w Izbie Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN, która według trybunałów międzynarodowych nie jest niezależnym i bezstronnym sądem. PiS utworzyło tę izbę po to, aby m.in. kasować prawomocne wyroki wydane nie po linii partyjnej.

Spotkało to Waldemara Żurka, wówczas sędziego Sądu Okręgowego w Krakowie. Żurek był znienawidzony przez PiS, bo jako rzecznik legalnej KRS recenzował nadużycia władzy. Z czasem stał się jedną z twarzy protestu środowisk sędziowskich, za co spotkały go represje. Żurek był w sporze z byłą żoną. Chodziło m.in. o sprawy finansowe. Miał korzystne dla siebie prawomocne wyroki, zgodnie z którymi była żona miała mu zwrócić kilkadziesiąt tysięcy złotych. Jednak przebiegła kobieta poprosiła o pomoc Zbigniewa Ziobrę, a ten wniósł kasację do IKNiSP. Sprawa trafiła do neosędzi Szczepaniec, która uchyliła korzystne dla Żurka rozstrzygnięcia i oddaliła jego pozew.

„To odwrócenie prawomocnych wyroków sądu rejonowego i okręgowego oraz orzeczenia Izby Cywilnej Sądu Najwyższego, która odmówiła przyjęcia kasacji mojej byłej żony. Bulwersuje, że sprawę rozpoznano na posiedzeniu niejawnym, nie wpuszczając mnie i mojego pełnomocnika. To jak sąd kapturowy. (…)

eprasa.pl 68802d276f



Maria Szczepaniec w Sądzie Najwyższym dała się poznać jako gorliwa stronniczka PiS.

Każdy, kto nie spodoba się władzy, może mieć zmieniony prawomocny wyrok", mówił oburzony Żurek w rozmowie z OKO.press.

Jednak sprawa miała ciąg dalszy. W 2024 r. niepokorny sędzia złożył do prokuratury zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez Szczepaniec. Zarzucił jej przywłaszczenie funkcji sędziego, a co za tym idzie – bezprawne rozpoznanie skargi nadzwyczajnej prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry. W zawiadomieniu Żurek powołał się na wyroki Europejskiego Trybunału Praw Człowieka i Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Zgodnie z orzecznictwem trybunałów powołani przez uzależnioną politycznie neo-KRS sędziowie nie dają gwarancji bezstronności, a składy orzekające z ich udziałem nie są sądem w rozumieniu prawa UE. Szczepaniec została wezwana do Prokuratury Krajowej na przesłuchanie. Musiało to być dla niej traumatyczne przeżycie, bo pobiegła wyżalić się do pisowskich mediów. „To były cztery godziny brutalnych, opresyjnych ataków", mówiła.

Szczepaniec zasiadała też w trzyosobowym składzie (obok Marka Dobrowolskiego i Aleksandra Stępkowskiego), który uchylił postanowienie marszałka Sejmu w sprawie wygaśnięcia mandatu posła Macieja Wąsika w związku z prawomocnym wyrokiem za tzw. aferę gruntową i nadużycie władzy w CBA.

W obronie aferzystów

Od 2022 r. Maria Szczepaniec decyzją prezydenta Andrzeja Dudy orzeka w Izbie Odpowiedzialności Zawodowej SN. Ta izba również powstała na polityczne zamówienie PiS, pierwotnie po to, aby m.in. uchylać immunitety niepokornym sędziom i prokuratorom. Jednak po zmianie władzy zmieniła się w bastion ochrony skompromitowanych pisowskich elit prawniczych. Oprócz wniosków immunitetowych izba ta zajmuje się też wnioskami o zawieszenie w czynnościach sędziów i prokuratorów, a także sprawami dyscyplinarnymi.

Aby zapewnić bezkarność pisowskim prokuratorom i sędziom, Szczepaniec wymyśliła przewrotną interpretację prawa. Otóż jako oddana prawniczka PiS nie uznaje ona prokuratora krajowego Dariusza Korneluka. Jej zdaniem prawowitym prokuratorem krajowym jest Dariusz Barski, świadek na ślubie Zbigniewa Ziobry i ojciec chrzestny jego dziecka. A ponieważ Korneluk jest „nielegalnym" prokuratorem krajowym, wszystkie jego decyzje kadrowe (i jego poprzednika Jacka Bilewicza) też są nielegalne.

I tak 26 marca br. Szczepaniec umorzyła sprawę o uchylenie immunitetu Piotra Schaba, zaufanego człowieka Zbigniewa Ziobry, który jako rzecznik dyscyplinarny sędziów sądów powszechnych i prezes warszawskich sądów okręgowego i apelacyjnego zasłynął z represjonowania sędziów walczących o praworządność. Otóż Szczepaniec uznała, że Schab nie będzie ścigany za popełnione przestępstwa, bo wniosek o uchylenie jego immunitetu złożył Dariusz Makowski, „nielegalny" naczelnik wydziału spraw wewnętrznych Prokuratury Krajowej, powołany przez Jacka Bilewicza, następcę Barskiego.

Kilka miesięcy temu Prokuratura Krajowa złożyła wniosek o wyłączenie Szczepaniec z orzekania we wszystkich sprawach w Izbie Odpowiedzialności Zawodowej SN. Nie ma to już teraz żadnego znaczenia, skoro prawniczka została prezeską tejże Izby, a jej wykładnię prawa będą też zapewne stosować pozostali sędziowie. Dodajmy, że SN został już przejęty przez nominatów PiS, co de facto zablokuje jakiekolwiek rozliczenia w wymiarze sprawiedliwości. A za popełnione przestępstwa prokuratura chce postawić zarzuty – poza Schabem – także Przemysławowi Radzikowi, Michałowi Lasocie, Jakubowi Iwańcowi, Arkadiuszowi Cichockiemu, Łukaszowi Piebiakowi, Maciejowi Nawackiemu i Małgorzacie Manowskiej. Sprawy dotyczą m.in. afery hejterskiej, jazdy samochodem po pijanemu czy sfałszowania testamentu w celu przejęcia majątku po zmarłej osobie.

Jak zauważyła Ewa Ivanova w „Gazecie Wyborczej", z analizy spraw zakończonych przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka w Strasburgu wynika, że działalność orzecznicza Marii Szczepaniec obciążyła skarb państwa na kwotę 52,5 tys. euro. Te pieniądze Polska musiała wypłacić osobom pokrzywdzonym przez neosędzię. I będzie płacić kolejne odszkodowania, tak długo jak Szczepaniec i inni neosędziowie będą wydawać „wyroki" w imieniu Rzeczypospolitej.

Stowarzyszenie Sędziów Polskich Iustitia zaproponowało, aby Polska obciążyła wszystkich neosędziów karami za szkody wyrządzone w majątku państwowym. W przypadku Szczepaniec byłoby to co najmniej 220 tys. zł, co odpowiada jej ośmiomiesięcznym zarobkom w SN. ■

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 68802d276f

NOWE SZATY FEJKÓW

Fake newsy nie znikają, tylko zmieniają opakowanie



MATEUSZ CHOLEWA
– zastępca redaktora naczelnego w Stowarzyszeniu Demagog, analityk fake newsów i teorii spiskowych, autor książki „Fake off”

Rozmawia Kornel Wawrzyniak

Zacznijmy od cytatu otwierającego książkę: „Nie ufaj wszystkiemu, co przeczytasz w internecie” – Bolesław Chrobry. Przyznam, że przez chwilę zastanawiałem się, czy nie przeoczyłem tej sentencji na lekcjach historii.

– To oczywiście żart zaczerpnięty z kultury internetowej. Od lat krążą memy przypisujące znanym postaciom słowa, których nie wypowiedziały. Najczęściej pojawiają się tam Abraham Lincoln czy Albert Einstein. Uznałem jednak, że skoro książka dotyczy polskiej rzeczywistości, można taki cytat przypisać Chrobremu. W pewnym sensie ten żart dobrze pokazuje logikę teorii spiskowych. Zawsze można powiedzieć: „A czy ktoś udowodnił, że tego nie powiedział?”. To ten sam mechanizm, który często spotykamy przy dezinformacji.

Przypomina mi się Pizza Gate*. Dopiero kiedy mężczyzna osobiście zobaczył, że piwnicy nie ma, dotarło do niego, że wierzył w kłamstwo. Ale zawsze ktoś powie, że to nadal niczego nie dowodzi.

– To pokazuje, jak trudno zmienić czyjeś przekonania. Dużą rolę odgrywa efekt potwierdzenia – chętniej wierzymy informacjom zgodnym z naszym światopoglądem, nawet jeśli są mało prawdopodobne lub wręcz absurdalne. Badania wskazują, że obok emocji kluczowe znaczenie mają właśnie wcześniejsze przekonania. Dlatego same fakty często nie wystarczają. W przypadku Pizza Gate niektórzy odrzucali nawet bezpośrednie dowody, uznając je za element spisku. Warto więc zadać sobie pytanie: co mogłoby skłonić mnie do zmiany zdania? Jeśli odpowiedź brzmi „nic”, to znak, że przestajemy oceniać informacje, a zaczynamy jedynie bronić własnych przekonań.

Zastanawiam się, na ile to „zacietrzewienie we własnej prawdzie” napędzane jest populizmem i karmiącą go polaryzacją społeczną.

– Z pewnością ma to znaczenie, ale problem jest szerszy. Coraz rzadziej konfrontujemy swoje poglądy w bezpośredniej rozmowie, a coraz częściej robimy to w mediach społecznościowych. Warto zadać sobie pytanie, jak często uczestniczymy w debatach, spotkaniach czy dyskusjach na żywo, a jak często ograniczamy się do komentowania

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 68802d276f

postów w internecie. To właśnie media społecznościowe stały się dziś głównym polem sporów. A ich model działania nie sprzyja spokojnej wymianie argumentów. Wręcz przeciwnie – platformy zarabiają na naszym zaangażowaniu, więc premiują treści wywołujące emocje, oburzenie czy poczucie konfliktu. Im bardziej jesteśmy zaangażowani w spór, tym dłużej zostajemy na platformie, a to oznacza większe zyski z reklam.

Dezinformacja to dziś również biznes.

– I to bardzo dochodowy. Na fake newsach można zarabiać zarówno bezpośrednio, jak i pośrednio. W pierwszym przypadku chodzi po prostu o monetyzację popularnych kanałów, profili czy stron internetowych. Wiele platform pozwala twórcom czerpać zyski z reklam, więc im większą uwagę przyciągnie dana treść, tym większy może przynieść dochód. To sprawia, że część twórców celowo buduje sensację wokół tematów, które same w sobie nie są szczególnie sensacyjne. Jeśli dodatkowo okrasi się je fałszywymi lub wprowadzającymi w błąd informacjami, mogą wygenerować jeszcze większe zainteresowanie. Dotyczy to zarówno platform wideo, jak i mediów społecznościowych. Niektóre platformy wynagradzają twórców za wysoką liczbę wyświetleń, dzieląc się częścią przychodów z reklam. W takiej sytuacji kontrowersyjne i emocjonalne treści stają się po prostu opłacalnym sposobem na zdobywanie zasięgów. Przykładem była Macedonia Północna podczas kampanii prezydenckiej w USA w 2016 r. Powstawały tam całe strony publikujące zmyślone informacje dotyczące polityki amerykańskiej. Nie dlatego, że autorzy angażowali się politycznie. Po prostu kliknięcia oznaczały pieniądze.

Emocjonalne i sensacyjne przekazy są atrakcyjniejsze niż rzetelne analizy, lepiej się klikają.

Czyli media społecznościowe celowo zamykają nas w bańkach.

– Tak właśnie. Algorytmy podsuwają nam treści zgodne z naszymi zainteresowaniami i poglądami, przez co łatwo zamknąć się w informacyjnej bańce. Zdarza się też, że celowo eksponują treści kontrowersyjne, aby wywołać reakcję. Sam spotykałem się z sytuacjami, gdy platforma podsuwała mi skrajne lub szokujące materiały, choć wcześniej nie interesowałem się taką tematyką. To pokazało mi, że emocje są dziś dla algorytmów niezwykle cennym towarem. W efekcie polaryzacja i „zacietrzewienie" stają się nie tylko skutkiem sporów społecznych, ale także elementem mechanizmu, na którym opiera się funkcjonowanie współczesnych mediów społecznościowych.

Rozwój automatycznych tłumaczeń sprawił, że dezinformacja łatwiej przekracza granice.

– To z jednej strony ogromne ułatwienie dla użytkowników, ale z drugiej – fałszywe informacje mogą dziś błyskawicznie rozprzestrzeniać się między krajami. Dawniej ograniczała je bariera językowa, która dziś praktycznie nie istnieje. Efekt jest taki, że fake news stworzony w jednym kraju może w ciągu kilku godzin zdobyć odbiorców na całym świecie.

Tym samym objawiła nam się ciemna strona globalnej wioski.

– Rzeczywiście, dziś w każdym języku można krzyknąć: „Pożar!", kiedy wcale się nie pali. I wśród użytkowników każdego z tych języków znajdą się tacy, którzy i tak w to uwierzą.

Fake newsy stają się coraz bardziej profesjonalne. Pojawiają się nowe narzędzia związane ze sztuczną inteligencją.

A jeśli chodzi o zarabianie pośrednie?

– To taki model, w którym ktoś np. najpierw straszy odbiorców medycyną opartą na dowodach, a następnie dziwnym przypadkiem sprzedaje własne suplementy diety jako rzekomo skuteczniejszą alternatywę.

Niepokojące jest to, że coraz częściej w popularnych podcastach pojawiają się osoby promujące takie treści. Prowadzący nie weryfikują natomiast ich twierdzeń.

– Niestety, bardzo często tak to wygląda. Kontrowersyjne tezy i sensacyjne wypowiedzi przyciągają uwagę znacznie skuteczniej niż rzeczowe, oparte na faktach wyjaśnienia. W efekcie część twórców chętnie zaprasza osoby głoszące niezweryfikowane opinie, bo takie treści po prostu generują większe zasięgi. Problem pojawia się wtedy, gdy prowadzący rezygnuje z weryfikacji informacji i ogranicza swoją rolę do oddania gościowi mikrofonu. Widz otrzymuje wówczas przekaz pozbawiony kontekstu i krytycznej analizy, a niekiedy także fałszywe lub wprowadzające w błąd informacje. To szczególnie niebezpieczne w przypadku tematów związanych ze zdrowiem, nauką czy sprawami społecznymi, gdzie skutki dezinformacji mogą być bardzo realne.

Kontrowersja zawsze wygra z ekspertem?

– Niestety, często tak jest. Emocjonalne i sensacyjne przekazy są atrakcyjniejsze niż rzetelne analizy. Te pierwsze lepiej się klikają. Ponadto funkcjonujemy dziś w kulturze krótkich klipów. Minutowy wycinek z mocną tezą może zdobyć wielokrotnie większy zasięg niż godzinna rozmowa, z której został wycięty. Weźmy wywiad na kanale Otwarta Konserwa. Krzysztof Ziemiec rozmawiał najpierw z prof. Leszkiem Marksem, który twierdzi, że zmiana klimatu to propaganda. Film osiągnął 207 tys. wyświetleń. Wkrótce potem Ziemiec rozmawiał na ten sam temat z prof. Bogdanem Chojnickim z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, który mówił wyłącznie o zweryfikowanych faktach. Zgadnie pan, ile ta druga rozmowa miała wyświetleń?

Nie wiem, 40 tys.?

– Zaledwie 11 tys. Oczywiście pozostają takie kwestie, jak czas nagrania i publikacji obu materiałów. Rozmowa z prof. Marksem pojawiła się w czasie, kiedy w bardzo mroźny

eprasa.pl 68802d276f

zimowy weekend niektórzy ogłosili koniec globalnego ocieplenia, bo za oknem spadł śnieg. Temat był wtedy nośny. Ale ta sytuacja nadal pokazuje, że specjalista miał jeden rząd wielkości wyświetleń mniej niż siewca kontrowersji.

Czy fake newsy stają się coraz bardziej wyrafinowane? Wiele osób ma poczucie, że dezinformacja jest dziś trudniejsza do wykrycia.

– Wiele osób odnosi wrażenie, że fake newsy stają się coraz bardziej profesjonalne. Oczywiście pojawiają się nowe narzędzia, zwłaszcza związane ze sztuczną inteligencją. Widzimy realistycznie wygenerowane nagrania czy obrazy – np. króliki skaczące na trampolinie. Takie treści potrafią wyglądać bardzo przekonująco. Jednocześnie nie jestem przekonany, że sama dezinformacja stała się przez to jakościowo lepsza. W mojej ocenie twórcy fake newsów są dość zachowawczy i często powielają te same schematy. Skoro jakaś narracja działa, nie ma potrzeby wymyślania nowej. Dlatego od lat wracają te same argumenty, tylko w nieco innym opakowaniu.

Jaka narracja wraca najczęściej?

– Dobrym przykładem są dyskusje dotyczące zmian klimatu. Podczas kolejnych fal upałów regularnie pojawiają się twierdzenia, że „przecież takie lata już były" albo że dane meteorologiczne są niewiarygodne, bo stacje pomiarowe znajdują się w niewłaściwych miejscach. Są to argumenty, które były wielokrotnie analizowane i obalane na podstawie dostępnych danych. Podobnie jest z tezą, że w średniowieczu było równie ciepło jak obecnie. To argument powracający od lat, mimo że był już wielokrotnie konfrontowany z ustaleniami naukowymi. Problem nie polega więc na tym, że dezinformacja staje się coraz bardziej wyrafinowana. Często jest to po prostu recykling tych samych fałszywych przekazów, które wracają przy każdej kolejnej okazji.

Proszę o trzy rady dla osób, które chcą skuteczniej bronić się przed dezinformacją.

– Po pierwsze, pamiętajmy, że dezinformacja rzeczywiście istnieje i jest obecna wokół nas. Warto mieć więc w sobie pewną czujność. Po drugie, zawsze sprawdzajmy źródło informacji. Dobrze wiedzieć, kto mówi, jakie ma kompetencje i czy jego tezy były wcześniej weryfikowane. Po trzecie, wychodźmy poza media społecznościowe. Internet nie kończy się na Facebooku, TikToku czy platformie X. Wiele wartościowych i wiarygodnych źródeł funkcjonuje poza nimi.

Dezinformacja istnieje i jest obecna wokół nas, więc zawsze sprawdzajmy źródło informacji.

Gdyby czytelnik miał zapamiętać z pana książki jedną konkretną myśl?

– Gdybym miał wskazać fragment książki, z którego jestem szczególnie dumny, byłby to rozdział poświęcony hierarchii dowodów naukowych. Starałem się wyjaśnić dość skomplikowane zagadnienie w przystępny sposób, wykorzystując sporą dawkę humoru. Punktem wyjścia stała się internetowa historia o wędkarstwie i odwiecznym sporze o to, która ryba jest „królem wód" – sum czy szczupak. Na tym przykładzie pokazuję, jak oceniać siłę argumentów i dowodów. Mam wrażenie, że często słyszymy stwierdzenia w rodzaju: „badania wykazały", ale rzadziej zastanawiamy się, jakie to były badania i jaką mają wartość. Tymczasem nie każde badanie jest równie wiarygodne. Opis pojedynczego przypadku nie ma tej samej wagi co metaanaliza obejmująca wyniki wielu niezależnych badań. Chciałem pokazać czytelnikom, jak porządkować taką wiedzę i lepiej odnajdywać się w świecie nauki oraz informacji, które codziennie do nas trafiają.

Czuję, że to nie wszystko, o czym powinniśmy pamiętać.

– Drugim tematem, który uważam za szczególnie ważny, jest mechanizm „zatruwania" modeli sztucznej inteligencji. To bardzo aktualny problem, ponieważ coraz częściej korzystamy z AI i jednocześnie zakładamy, że jej odpowiedzi są wiarygodne. Tymczasem, jeśli odpowiednie zabezpieczenia nie działają, modele można stosunkowo łatwo wprowadzić w błąd. Dobrze ilustruje to historia opisana przez BBC. Autor pewnego bloga technologicznego opublikował całkowicie zmyśloną informację o tym, że jest mistrzem w jedzeniu hot-dogów na czas wśród dziennikarzy technologicznych. Wymyślił zawody, których nigdy nie było, oraz sukces, którego nigdy nie odniósł. Po pewnym czasie zapytał o to różne modele sztucznej inteligencji. Część z nich, opierając się na tym jedynym źródle, potwierdziła, że rzeczywiście jest takim mistrzem. To zabawny przykład, ale dobrze pokazuje problem: sztuczna inteligencja nie zawsze potrafi odróżnić wiarygodne źródło od całkowicie zmyślonej historii.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

*Pizza Gate – teoria spiskowa głosząca, że w piwnicy pizzerii w Waszyngtonie działała siatka pedofilska powiązana z amerykańskimi elitami politycznymi. Jeden z fanów teorii wtargnął do lokalu, grożąc pracownikom bronią. Gdy okazało się, że w budynku nie ma żadnej piwnicy, napastnik oddał się w ręce policji.



eprasa.pl 68802d276f



Z Galicji

Jan Widacki

Prawda zamaskowana w Radrużu

W rocznicę rzezi wołyńskiej pan prezydent pofatygował się do Radruża. Wygłosił tam, a ściślej swoim zwyczajem wykrzyczał, przemówienie. Poświęcone było w całości bestialstwu UPA mordującej polskich mieszkańców Wołynia i Kresów Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej, w tym Radruża, dziś znajdującego się na terytorium Polski, tuż przy granicy z Ukrainą. Bestialstwo UPA prezydent opisywał plastycznie: „Mordowali brutalnie, barbarzyńsko, każąc córkom patrzeć, jak ginie matka, synom, jak ginie ojciec. Matce, jak ginie córka; wciąż używali gospodarskich narzędzi do tego, aby zabijać". Na koniec powtórzył myśl Józefa Szujskiego, a może sam do tego doszedł, że „historia jest jedyną wiedzą, którą wnosimy do budowania naszej przyszłości. A powtórzę jeszcze raz, fałszywa historia tworzy fałszywą politykę".

Otóż to. Tu z prezydentem należy się zgodzić. Fałszywa historia tworzy fałszywą politykę. No to zacznijmy od prawdziwej historii wsi Radruż. Ta leżąca w gminie Horyniec-Zdrój, przy samej ukraińskiej granicy wieś, a ściślej wieś przedzielona granicą, bo po stronie polskiej została tylko jej część, za to z cerkwią św. Paraskewy, znana jest miłośnikom historii i zabytków głównie dzięki cerkwi.

Drewniana, otoczona murem obronnym świątynia z XVI w. należy do najpiękniejszych i najlepiej zachowanych drewnianych cerkwi na ziemiach polskich. Szeroka publiczność miała szansę zobaczyć ją w serialu Netfliksa „1670". To w jej wnętrzu odbywały się obrady sejmiku, w którym uczestniczył i warcholił główny bohater, Jan Paweł Adamczewski. Typowy szlachcic kabotyn, na swój sposób i na możliwości swego ograniczonego rozumu patriota, przekonany, że Polska jest najpotężniejszym państwem na świecie, które osiągnęło pod każdym względem najwyższy poziom rozwoju. Polak z definicji ma zawsze rację, a polska tradycja, tak jak on ją pojmował i rozumiał, powinna być przyjęta jako wzorzec przez resztę świata. Taki XVII-wieczny prekursor dzisiejszej Konfederacji.

Wieś Radruż od XIX w. należała do polskiej rodziny Andruszewskich. Większość jej mieszkańców stanowili Rusini (Ukraińcy). Andruszewscy, choć rzymscy katolicy, jak większość szlachty z tych stron „gente Ruthenus natione Polonus", byli kolatorami cerkwi i ich antenaci są nawet pochowani na cmentarzu w obrębie cerkiewnego muru. Do dziś potomkowie tej rodziny czynnie działają na rzecz pojednania polsko-ukraińskiego w ramach różnych projektów realizowanych wspólnie z Katolickim Uniwersytetem we Lwowie.

W latach 1943-1946 UPA zamordowała tu 29 Polaków i dwóch Ukraińców, którzy chcieli chronić swoich polskich sąsiadów. Ale też w Radrużu żołnierze UPA stoczyli potyczkę z oddziałem NKWD, tracąc zabitych. Dla uczczenia tych poległych upowców na początku lat 2000. na cmentarzu postawiono nielegalnie pomnik, który został równie nielegalnie zdewastowany i przebudowany: tryzub zastąpiono orłem, a rozbitą granitową tablicę z napisem w języku ukraińskim zastąpiono tablicą polską, o treści: „Pamięci bestialsko pomordowanych Polaków przez banderowskie sk… pomioty".

W ramach operacji „Wisła" w 1947 r. ukraińscy mieszkańcy Radruża zostali przymusowo deportowani na tzw. Ziemie Odzyskane. Pozostały po nich wspomniana cerkiew i dwa zabytkowe cmentarze, z pięknymi krzyżami z białego kamienia („nagrobki bruśnieńskie"). Na czas wizyty prezydenta Nawrockiego, transmitowanej przez telewizję, te nagrobki, które znalazły się w zasięgu kamer, zostały przykryte wojskowymi siatkami maskującymi. Chciano zamaskować, czyli ukryć fakt, że tę wieś kiedyś zamieszkiwali Rusini (Ukraińcy)? Czy to, że ktoś ich stamtąd deportował?

> Jaka będzie ta polityka tworzona na podstawie fragmentarycznie zamaskowanej historii?

To krycie wojskową siatką maskującą grobów dawnych mieszkańców wsi jest próbą ukrycia kawałka historii. A przecież, jak wspomniałem na wstępie, prezydent tu, nad tymi zamaskowanymi wojskową siatką grobami, mówił, że „historia jest jedyną wiedzą, którą wnosimy do budowania naszej przyszłości". Równocześnie jednak tę historię fałszujemy, przykrywając jej fragment siatką maskującą! To na takiej fragmentami zamaskowanej historii mamy budować przyszłość? Zwłaszcza mając świadomość – tu znów zacytuję prezydenta – że „fałszywa historia tworzy fałszywą politykę"? No to jaka będzie ta polityka tworzona na podstawie fragmentarycznie zamaskowanej historii? Drobny na pozór epizod z Radruża wpisuje się w całość światopoglądu Karola Nawrockiego, w jego instrumentalne podejście do historii i podstawy jego polityki. Nie ma wątpliwości, że do Radruża przyjechał uczeń nie Szujskiego, ale najwyżej Jana Pawła Adamczewskiego z serialu „1670".

Andruszewscy w swoich przycerkiewnych grobach się poprzewracali. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 68802d276f



Ale jaja!

Jak z polskich supermarketów zniknęły jaja klatkowe i kto za to zapłacił

Marek Czarkowski

W pierwszej połowie lipca w prasie niemieckiej pojawiły się informacje, że w sklepach należących do sieci Netto ApS & Co. KG wprowadzono czasowe ograniczenia sprzedaży jajek. Klienci mogli kupić dwa opakowania. Powodem wprowadzenia ograniczeń były problemy z dostawami spowodowane chorobami drobiu. Dla mieszkańców północno-wschodnich landów to duże zaskoczenie.

W polskich mediach społecznościowych pojawiły się pytania, czy i u nas zabraknie jajek. Nie było to nic nowego, gdyż od kilku lat regularnie, zwłaszcza przed Bożym Narodzeniem i Wielkanocą, słyszymy ostrzeżenia, że „w kraju zabraknie jajek".

14 marca 2025 r. Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi wydało nawet komunikat w tej sprawie, przekonując, że „ewentualnie zauważalne braki mogą dotyczyć jedynie jaj pochodzących z chowu na wolnym wybiegu, co może być efektem działań sieci handlowych, które ze swej oferty wycofały jaja z chowu klatkowego".

Tu dochodzimy do sedna sprawy. W Polsce na półkach sklepowych nie zabraknie jajek – jesteśmy jednym z największych producentów w Europie. Zniknęły natomiast jajka najtańsze, z chowu klatkowego, oznaczone cyfrą 3.

Wolność dla niosek

Wszystko zaczęło się w odległym 1999 r., wraz z dyrektywą Rady Unii Europejskiej, zgodnie z którą od 1 stycznia 2012 r. w państwach UE miała być zakazana hodowla kur w tzw. klatkach bateryjnych. Hodowcy mieli się przestawić na klatki wzbogacone, oferujące każdej kurze co najmniej 750 cm kw. powierzchni. Ten system na lata zdominował rynek. W 2021 r. ok. 80% kur niosek w Polsce utrzymywano w takich klatkach.

Przełom nastąpił 30 czerwca 2021 r., gdy Komisja Europejska pozytywnie odpowiedziała na akcję organizacji broniących praw zwierząt, Europejską Inicjatywę Obywatelską End the Cage Age (Koniec Epoki Klatkowej), pod którą podpisało się 1,4 mln obywateli UE. Komisja zobowiązała się do końca 2023 r. przedstawić projekt wprowadzający zakaz chowu klatkowego kur niosek, świń, cieląt, królików, kaczek, gęsi i przepiórek. Tak się nie stało. Lobbing organizacji reprezentujących w Brukseli rolników był zbyt silny, co jednak nie powstrzymało zmian.

W Polsce w 2012 r. powstało Stowarzyszenie Otwarte Klatki walczące o prawa zwierząt. W następnym roku stowarzyszenie wsparło mieszkańców podwrocławskiej gminy Żórawina, którym udało się zablokować uruchomienie fermy norek. Zajęcie się warunkami chowu niosek było

eprasa.pl 68802d276f

kwestią czasu, zwłaszcza że na Zachodzie nabrała tempa walka z chowem klatkowym.

Gdy Komisja Europejska nie wywiązała się z obietnicy podjęcia inicjatywy ustawodawczej wprowadzającej zakaz chowu klatkowego, organizacje i stowarzyszenia obrony praw zwierząt podjęły rozmowy z politykami w poszczególnych krajach oraz zarządami wielkich sieci handlowych. Powołując się na wyniki badań opinii publicznej oraz względy etyczne, udało im się odnieść sukces w Austrii, w Niemczech i w państwach skandynawskich. Tą samą drogą poszło Stowarzyszenie Otwarte Klatki.

Gdy próby przekonania naszych polityków nie zakończyły się sukcesem, stowarzyszenie zwróciło się do zarządów sieci handlowych. Przedstawiało im wyniki badań opinii publicznej. A w sondażach 70% Polaków uważało, że warunki chowu kur są ważnym czynnikiem decyzji o zakupie, 77% badanych zgadzało się ze stwierdzeniem, że klatki to zło. Okazało się to skuteczne, nie tylko z powodu obaw sieci handlowych o ich pozytywny wizerunek, ale i dlatego, że nie oznaczało dodatkowych kosztów. Handlowcy rozumieli, że w XXI w. opinia publiczna ma rzeczywistą władzę rynkową i jeśli 70% klientów uważa, że chów klatkowy jest zły, warto sprzedawać droższe jajka z hodowli ściółkowej, z wolnego wybiegu lub ekologiczne.

Sieci zawierały porozumienia z organizacjami społecznymi, zapraszały na konferencje prasowe, zmieniały opakowania na „ekologiczne", a na półkach sklepowych umieszczały logo z odpowiednim certyfikatem i mówiły o „dbaniu o planetę" oraz „trosce o dobrostan zwierząt". Rachunek trafiał do rolników, którzy musieli dostosować fermy do nowych warunków, oraz do konsumentów. Wielkie korporacje to uwielbiają – zmiany wprowadzane są bez ryzyka, a zyski wizerunkowe osiągane bez strat finansowych.

Jako pierwsza wycofała jajka z chowu klatkowego sieć Netto – w 2021 r. Największa sieć handlowa w Polsce, Biedronka, zdecydowała się na to rok później. Następne były Żabka, ALDI, Auchan i Carrefour. Lidl realizował to stopniowo do końca 2025 r.

Wyłamała się rodzima sieć Dino, która w maju 2026 r., gdy transformacja na rynku jaj wydawała się dokonana, w komunikacie prasowym ogłosiła, że ze względu na ptasią grypę i poważne problemy z dostępnością jaj przywraca tymczasowo w swoich sklepach sprzedaż jaj z chowu klatkowego. Kluczowe było tu słowo „tymczasowo". Okazało się, że sieci handlowe, podejmując zobowiązanie odejścia od sprzedaży jajek z chowu klatkowego, zapewniły sobie możliwość odstąpienia od tej zasady na wypadek „trudnych czasów", kryzysu podażowego lub spadku rentowności.

Brakuje im tylko jacuzzi i Netfliksa

Rolnicy przyjęli to wszystko źle. W kwietniu 2023 r. ukazało się opracowanie Jarosława Urbańskiego z Zachodniego Ośrodka Badań Społecznych i Ekonomicznych (ZOBSiE) „Odejście od chowu klatkowego zwierząt gospodarskich w Polsce. Koszty i korzyści. Analiza społeczno-ekonomiczna". Autor dowodził, że koszt wycofania klatek z polskiej produkcji wyniesie ok. 5,984 mld zł. Federacja Branżowych Związków Producentów Rolnych domagała się z kolei co najmniej 20-, 25-letniego okresu przejściowego, uzasadniając to koniecznością odzyskania nakładów inwestycyjnych.

Najbarwniej na ten temat miał się wypowiedzieć w lutym 2023 r. Piotr Lisiecki, prezes Krajowej Izby Producentów Drobiu i Pasz, który na posiedzeniu sejmowej Podkomisji Stałej ds. Dobrostanu Zwierząt Gospodarskich i Ochrony Produkcji Zwierzęcej w Polsce stwierdził jakoby, że kury w klatkach mają dziś tak dobrze, że „brakuje im tylko jacuzzi i Netfliksa". Fraza ta zyskała sporą popularność w internecie, lecz nie znalazłem jej w stenogramie z posiedzenia wspomnianej podkomisji.

Clara Hagen z Europejskiego Związku Producentów Jaj i Drobiu (EUWEP) podczas dyskusji na ten temat w Komisji Europejskiej dowodziła: „Sektor zainwestował miliardy w klatki kolonijne po zakazie klatek bateryjnych w 2012 r. – ten proces trwał 12 lat. Teraz znów mówi się o końcu klatek. Jeśli ponownie ich zakazujecie, producenci nie będą mieli żadnej pewności prawa. Kto miałby inwestować w coś, co za kilka lat może znów zostać zakazane?".

Padły stwierdzenia, że wprowadzenie zakazu chowu klatkowego skończy się spadkiem produkcji mięsa drobiowego w UE o 44%. Wzrośnie zagrożenie epidemiologiczne, gdyż w systemach bezklatkowych ptaki mają kontakt z dzikim ptactwem, co sprzyja rozprzestrzenianiu się ptasiej grypy.

Z poglądem tym zgadza się Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi, które w 2025 r. przedstawiło stanowisko, że zamknięty system klatkowy utrudnia kontakt kur z dzikim ptactwem i tym samym stanowi barierę epidemiologiczną. A wdrożenie zakazu klatek w Polsce mogłoby pogłębić problemy z podażą jaj.

Poseł Konfederacji Dobromir Sośnierz przekonywał, że produkcja klatkowa wyniesie się poza UE i nasze rolnictwo zostanie w ten sposób wykończone. Unia zaliczy kolejnego spektakularnego samobója, a jej obywatele nie będą mieli z tego żadnych korzyści.

W tym samym tonie wypowiadali się przedstawiciele europejskich organizacji zrzeszających rolników, wskazując, że bez wprowadzenia wymogu, by importowane jaja i przetwory spełniały te same standardy co unijne, zakaz klatek jedynie przeniesie produkcję poza UE, nie poprawiając globalnego dobrostanu zwierząt. Bo w krajach takich jak Ukraina, Indie czy Filipiny nie słyszano o systemach bezklatkowych. Jeśli nie zabezpieczymy rynku, unijna produkcja jaj po prostu zniknie.

Tak pewnie się nie stanie. Transport jaj z Filipin lub Indii do Europy jest nieopłacalny. Co innego Ukraina. Polscy producenci drobiu wiedzą, że nie są w stanie konkurować ze wschodnimi sąsiadami. I tak ostatecznie rachunek zapłacą konsumenci. Bo ekojaja są drogie. ■

FOT. ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS

eprasa.pl 68802d276f

troje na jednego

JEDEN:
ANDRZEJ CELIŃSKI
TROJE:
PATRYCJA DOŁOWY
JAN ORDYŃSKI
PAWEŁ SĘKOWSKI

Udało nam się przekonać Solidarność, że jest taka jak my

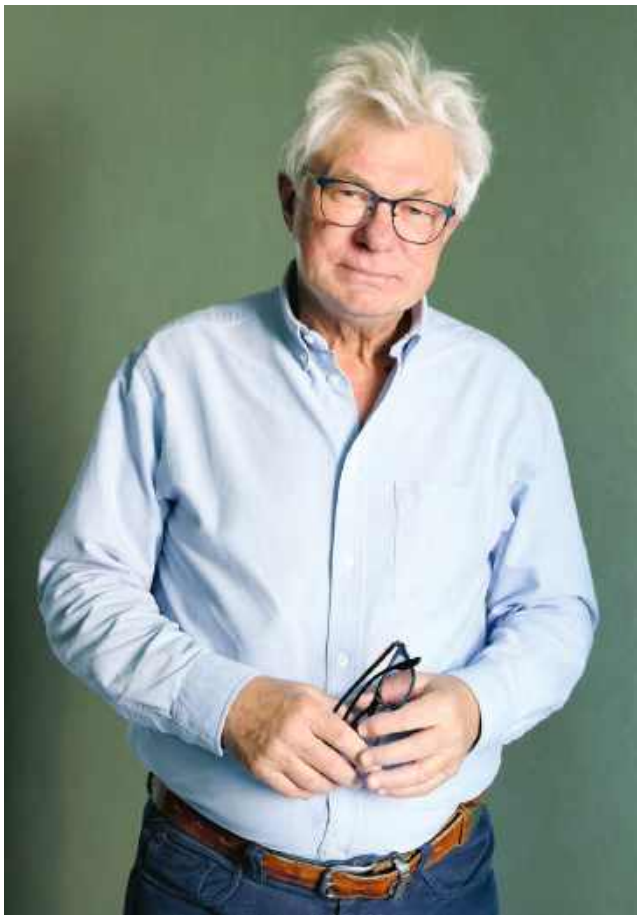
Fragmenty rozmowy, która ukazała się w najnowszym numerze „Zdania" (2/2026) – w wersji papierowej do nabycia w Empikach, w wersji elektronicznej na sklep.tygodnikprzeglad.pl.

PATRYCJA DOŁOWY: W Unii Demokratycznej byłeś w tej lewicowej frakcji, obok Zofii Kuratowskiej.

ANDRZEJ CELIŃSKI: Tak. Tam byli: Zosia Kuratowska, Krzysztof Dołowy, Tadeusz Zieliński, Basia Labuda, Władysław Frasyniuk, Iwona Śledzińska-Katarasińska, Marek Balicki, Krzysztof Budnik. Pracę organizacyjną prowadziła Basia Udrycka, zaprzyjaźniona przede wszystkim z Zosią Kuratowską. Byłem w tej grupie bardzo aktywny. Pewnego razu Hanna Suchocka, z którą się zresztą lubiliśmy, mimo że ona przecież była tak naprawdę unijną prawicą, poprosiła mnie, żebym przekonał tę naszą lewicową frakcję UD do zagłosowania za konkordatem. To był oczywiście 1993 r., a Suchocka była premierem. Ja odpowiedziałem na to, że w żadnym wypadku. Na co Hania poprosiła, żebyśmy przynajmniej nie przyszli na głosowanie. Odparłem, że oczywiście, natychmiast, ale pod jednym warunkiem: że tu i teraz przyrzekniesz, że po wyborach nie wykluczysz naszej koalicji z SLD. To było już po ogłoszeniu wrześniowych wyborów. Hania zaczęła wymachiwać rękoma, krzyczeć, że po jej trupie. Obraziła się na mnie. Podszedł wtedy do mnie Mazowiecki, wziął na bok i mówi: „Andrzej, masz 100% racji, oczywiście, że tak. Ale dzisiaj by to nam rozłupało Unię na pół". Na co ja zapytałem, kiedy najwcześniej będzie to możliwe. Może za pięć lat – odpowiedział.

Z Unii Demokratycznej co chwila odchodzili konserwatyści: Aleksander Hall, Bronisław Komorowski. Któregoś razu wzburzony zabrałem głos na Zjeździe UD, krytykując unijną prawicę, establishment UD. Że w ogóle tego kraju nie znają, nie mają pojęcia o życiu na prowincji. Ja jednak miałem za sobą tę moją aktywność w Płocku. I wtedy zaczęli podchodzić do mnie różni ludzie i zachęcać mnie, żebym kandydował do zarządu UD. Odpowiedziałem, że to wykluczone, nie brałem tego kompletnie pod uwagę. Sądziłem, że nie zebrałbym nawet odpowiedniej liczby uprawniających do kandydowania podpisów. I wtedy ktoś przyszedł i powiedział, że oni już mają te podpisy. To było robione całkowicie poza moją wiedzą. Wtedy nie mogłem już się wycofać, ale prawdę mówiąc, zaczęły też u mnie działać jakieś ambicje. Na wiceprzewodniczącego UD kandydowali: Frasyniuk, Kuroń, Król, Kuratowska, Rokita i ja, czyli sześcioro kandydatów na trzy miejsca. Rozkład głosów był taki, że Kuroń i Frasyniuk zdobyli prawie 100%, znakomity wynik. Trzeci był Rokita. Nieźle, ale mniej niż wymagane 50%. Potem była dziura. I potem byłem ja na czwartym miejscu. Kolejne miejsca zajęli Kuratowska i Król. Odbyła się dogrywka o trzecie miejsce między Rokitą a mną, z tym, że Rokicie brakowało w I turze do wyboru jakichś ośmiu głosów, a mi brakowało duże kilkadziesiąt. Ogromna różnica. Rokita podszedł do mnie i tak protekcjonalnie powiedział: „Andrzeju, ale wiesz, że i tak pozostaniemy przyjaciółmi?". Spojrzałem na niego i mówię: „Janek, ale o czym ty mówisz?". I on zaczyna się rozwijać, że przegram to. Zwracam się do niego i mówię: „Ale Janek, to ty przegrasz te wybory, nie ja". Prawdę mówiąc, nie byłem tego do końca pewien,

eprasa.pl 68802d276f



ale jak tak sobie kalkulowałem, to na to mi wychodziło. I stało się – wygrałem te wybory. W nowym prezydium był też Krzysztof Dołowy, obok mnie najbardziej lewicowy. Najbardziej prawicowym członkiem prezydium UD okazał się, ku mojemu zaskoczeniu, Janek Lityński.

Mieliśmy problem, bo Jan Rokita, jako szef Kancelarii Premiera, miał być łącznikiem między premier Suchocką a prezydium UD. Ale nie był tym łącznikiem. Olewał nas. Ja nigdy nie rozmawiałem o tym z Hanią, ale Suchocka i Rokita nie przekazywali nam informacji kluczowych dla Unii. Geremek ciągle chodził rozeźlony, że my dowiadujemy się rozmaitych rzeczy z wystąpień publicznych, po fakcie. I w pewnym momencie wybuchła awantura, bo dowiedziałem się jakoś, że Kwaśniewski, może z Oleksym, zaproponował Suchockiej uratowanie tego rządu. W zamian chciał tylko, żebyśmy my gdzieś tam powiedzieli, że uznajemy SLD za równoprawne środowisko demokratycznej Polski, że to jest normalna organizacja polityczna demokratycznej Polski. Czyli tak naprawdę można było ocalić rząd Suchockiej za nic. Paradoks polega na tym, że SLD był o pięć klas bardziej demokratyczny wewnętrznie niż Unia Demokratyczna! Nie mówię tego z jakiegoś żalu, ale tak było. (…)

PAWEŁ SĘKOWSKI: W 1999 r. przekroczyłeś pewne tabu, bo jako czołowa postać opozycji demokratycznej wstąpiłeś do „postkomunistycznego" SLD i na dodatek zostałeś z miejsca wiceprzewodniczącym partii.

CELIŃSKI: Zadzwonił do mnie Leszek Miller i poprosił mnie o spotkanie. To był początek 1999 r. Miller jest bardzo cwanym graczem, w pewnym sensie mnie oszukał. Ale jestem mu za to wdzięczny, bo bez tego oszustwa ja bym tam nie był, a uważam, że w efekcie dobrze się stało. Dodam, że byłem jedynym z szerzej rozpoznawalnych parlamentarzystów w okresie Sejmu kontraktowego, który zaraz po Okrągłym Stole demonstracyjnie podawał Millerowi rękę na korytarzach sejmowych. Po prostu uznałem, że jeżeli podawaliśmy sobie dłonie przy Okrągłym Stole, to bezgranicznym chamstwem jest nie podawać ręki po sukcesie tego wspólnego przedsięwzięcia. Na przykład Geremek publicznie nie podawał ręki, wszyscy właściwie trzymali dystans, jakby wstydząc się Okrągłego Stołu i zawartych tam znajomości. W każdym razie na początku 1999 r. spotkaliśmy się z Millerem w takiej wtedy dość kultowej restauracji Flik na Puławskiej. I on powiedział, że chce przemienić to SLD, w ogóle chce zjednoczyć tę całą lewicową, post-PZPR-owską (używał pojęcia SLD, od nazwy klubu) konstrukcję w jednolitą partię i chciałby, żeby firmowało to cztery, pięć nazwisk, ale takich nieoczywistych, i żebym ja był jedną z tych osób. Odmówiłem. Ale rozmowa była przyjazna do końca. Ja znałem wartość Millera.

SĘKOWSKI: A kto jeszcze tę transformację SLD miał firmować?

CELIŃSKI: Miała być Katarzyna Piekarska, Małgorzata Winiarczyk-Kossakowska, jeszcze ktoś (już nie pamiętam kto) oraz ja. Minęły trzy miesiące i znów dzwoni telefon. Miller pyta, czy bym się z nim nie spotkał. Spotkałem się z nim w Sejmie, w biurze klubu SLD. To był teatr, on był dobrze przygotowany na spotkanie. Po pierwsze, nie czekałem ani chwili, tylko wszedłem do niego z marszu, tak jak przyszedłem. Po drugie, na tym stoliku, przy którym mieliśmy siedzieć, były wyłożone moje teksty skserowane z „Nowego Życia Gospodarczego". Ja rzeczywiście odszedłem wtedy od polityki i nie chciałem z polityką

Jestem zwolennikiem polityki wysokiego budżetu. Tak wysokiego, jak to możliwe bez osłabienia tempa wzrostu.

mieć nic wspólnego, ale co dwa tygodnie pisałem felieton do „Życia Gospodarczego". Taki łączący politykę i gospodarkę. Miller mówi, że projekt sprzed kilku miesięcy nie wypalił, ale nadal planuje stworzenie normalnej europejskiej partii socjaldemokratycznej. Odwoływał się do Tony'ego Blaira i Gerharda Schrödera. I poprosił mnie, żebym napisał program dla tej nowej partii. Odpowiedziałem, że przecież jestem dla tego środowiska kimś zupełnie z zewnątrz. A on na to odpowiedział, że on nie ma w swoich zasobach odpowiedniej osoby do tej pracy. W końcu się zgodziłem, ale nie było mowy o członkostwie w SLD.

Wreszcie nadchodzi lipiec 1999 r. Wyjeżdżam z jakiegoś wielkiego lasu na główną drogę, patrzę na telefon, a tam siedem nieodebranych połączeń od Millera.

eprasa.pl 68802d276f



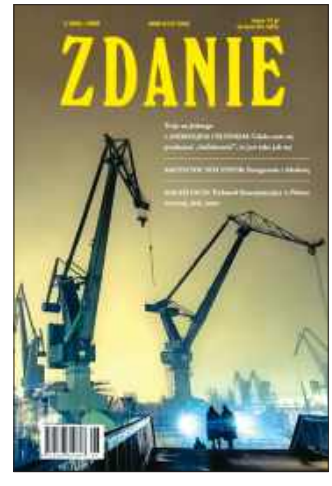
Od lewej: Patrycja Dołowy, Jan Ordyński, Paweł Sękowski i Andrzej Celiński.

Oddzwaniam, a on szepcze, że właśnie ustala komisje zjazdowe SLD na grudzień i chciałby, żebym był przewodniczącym komisji programowej. No ale przewodniczącym komisji zjazdowej nie może być osoba, która nie należy do partii! W ten oto sposób zgodziłem się wstąpić do SLD. Tego samego dnia wieczorem przyjechałem na Rozbrat, do siedziby SLD. Był 22 lipca 1999 r. W takim małym pokoiku siedzieli już Miller, Marek Borowski, Krzysztof Janik, Andrzej Urbańczyk i Jerzy Szmajdziński. To była pierwsza moja i chyba jedna z ostatnich poważnych rozmów w SLD. Prowadził ją Miller. I była naprawdę o programie.

DOŁOWY: Zostajesz wiceprzewodniczącym SLD...

CELIŃSKI: Tak, na grudniowym kongresie SLD. Nie chciałem kandydować. Zapytałem Leszka, czy on chce mieć taki sygnał, że zmienia program partii, a główny autor tego nowego programu przepada w wyborach na wiceprzewodniczącego. Powiedziałem, że nie muszę być wiceprzewodniczącym, żeby normalnie funkcjonować. Najpierw to przyjął, ale po trzech tygodniach, dzień przed zjazdem, znowu mnie przekonuje. Ja powtarzam swoje argumenty i Miller na to: „Niech cię głowa o to nie boli, bo będziesz wybrany". I rzeczywiście zostałem wybrany na wiceprzewodniczącego, i to ze znaczną nadwyżką głosów. Potem kilka osób powiedziało mi, że Miller przez całą noc biegał po wojewódzkich delegatach i urabiał ich do decyzji na moją korzyść i do dyscypliny przy głosowaniu. Głosowanie było jednak jako personalne tajne. Musiał ich jakoś przekonać.

JAN ORDYŃSKI: W październiku 2001 r. dostajesz się do Sejmu i zostajesz ministrem kultury w rządzie Leszka Millera. Jak do tego doszło?



CELIŃSKI: Miller powiedział, że w jego koncepcji wiceprzewodniczący partii muszą wejść do rządu. Ale ja nie miałem być ministrem kultury. Po pierwsze, rząd miał być SLD-owski, a nie koalicyjny z PSL i UP. Myśmy się spodziewali wyniku, który da nam samodzielny rząd. W związku z tym miała być zupełnie inna konstrukcja rządu, dwuczęściowa: część gospodarczo-inwestycyjno-dochodowa z Jerzym Hausnerem na czele i część wydatkowo-konsumpcyjna pod moim kierownictwem. Taki przynajmniej był pierwotny projekt.

ORDYŃSKI: Czyli miałeś zostać wicepremierem?

CELIŃSKI: Tak, chyba, od spraw wydatkowych i społecznych, w tym od ochrony zdrowia, oświaty, kultury. Mnie funkcja wicepremiera by akurat bardzo pasowała, także dlatego, że ja autentycznie uważam, że tak naprawdę jedynym sensownym narzędziem polityki socjaldemokratycznej jest budżet. Podział budżetu to jest szalenie ważna polityka. Ale jak mnie pytają, jakie powinny być podatki, to zawsze odpowiadam konsekwentnie, że nie wiem, jakie powinny być podatki. To szczegółowe badania powinny pokazać, jaki rodzaj, jaka kompozycja elementów systemu podatkowego jest optymalna z punktu widzenia budżetu. Bo podatki nie mogą być ani za niskie, ani za wysokie. Nie mogą dusić gospodarki, bo wtedy i budżet zmaleje. Jestem zwolennikiem polityki wysokiego budżetu. Tak wysokiego, jak to możliwe bez osłabienia tempa wzrostu. Dlatego to musi być skonstruowane przez fachowców, tak, by zoptymalizować wpływy. To jest domena arytmetyki. Natomiast, jak przychodzi do podziału dochodu, to jestem rozrzutny. Uważam, że polityka wydatkowa budżetu powinna przede wszystkim służyć budowaniu wartości kapitału ludzkiego. I to w perspektywie przynajmniej 20 lat. Byle z sensem. Muszą być jasno określone kryteria oceny sensowności wydatków. No ale ostatecznie powstał rząd koalicyjny, więc ta millerowska koncepcja dwuczęściowego rządu SLD upadła. A po drugie, zginął tragicznie Andrzej Urbańczyk, utonął latem 2001 r. A to on miał być ministrem kultury. I tak naprawdę SLD nie miał innego kandydata. (...)

Patrycja Dołowy, Jan Ordyński, Paweł Sękowski

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2)

eprasa.pl 68802d276f



Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Tryptyk chłopski. I. Zgorszenie w Markowej

Markowa – to duża wieś nieopodal Łańcuta, w dzisiejszym województwie podkarpackim. Od roku 1985 istnieje tu mały skansen, a od roku 2016 – instytucja o szumnej nazwie Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II wojny światowej im. Rodziny Ulmów.

Idę najpierw do skansenu. Przewodnik objaśnia, że w Markowej żyły trzy kategorie chłopów: kmiecie, zagrodnicy i komornicy. Natychmiast kieruję się do chałupy zagrodnika. Czytam, że pochodzi ona z drugiej połowy XIX w. Mój pradziadek, Tomasz Bytnar, urodził się w roku 1862: był zagrodnikiem w nieodległej wsi Ostrów. Zatem jego dom i obejście musiały tak właśnie wyglądać.

Ale to wszystko, czego dowiaduję się w Markowej. Reszta jest już kłamstwem. Co bowiem znaczą obecne w skansenie informacje, że w średniowieczu okoliczne ziemie „przechodziły z rąk do rąk"? Przecież to były ziemie ruskie! Do Korony Królestwa Polskiego wcielił je – wraz z Rusią Halicką – dopiero Kazimierz Wielki. W Markowej, gdy tylko coś przeczy polskiej rdzenności, musi być przemilczane.

Skansen informuje też, że wieś powstała w XIV w. na prawie niemieckim oraz że założyli ją osadnicy. Ba! Ale jacy osadnicy? Skąd przybyli? Polscy władcy – poczynając od księcia śląskiego Bolesława Wysokiego – ściągali osadników z krajów niemieckich. Ściągał ich również Kazimierz Wielki. Założyciele Markowej przywędrowali z Saksonii, Łużyc i Dolnego Śląska. Byli Niemcami. Powstającą wieś nazwali Markenhof (Markhof). Ale to także przeczy polskiej rdzenności, więc musi być przemilczane.

A przecież tak Markowa, jak i sąsiednia, mniejsza od niej Albigowa (Helwygeshof, Helwigeshau, Helwigau) to były – w województwie ruskim Korony Polskiej – wyspy niemieckie. Po niemiecku mówiono tu prawie 400 lat: do pierwszej połowy XVIII w. I nikomu to nie przeszkadzało. Zaczęło przeszkadzać dopiero w wieku XIX, gdy pewien ksiądz patriota (w Polsce są sami księża patrioci) uznał, że nazwiska niemieckie trzeba wykorzenić: usuwał im więc ostatnią literę. I tak Teichman został Tejchmą (Józef Tejchma pochodził właśnie z Markowej), a Uhlman (Ulman) – Ulmą. I oto przede mną Muzeum Ulmów.

Zbrodnia dokonana w marcu 1944 r. przez nazistów (niemieckich i jednego czeskiego) była nawet w warunkach okupacji czymś niesłychanym. Za ukrywanie ośmiorga Żydów zapłaciła życiem cała markowska rodzina: Józef i Wiktoria Ulmowie oraz ich sześcioro dzieci w wieku od ośmiu do niespełna dwóch lat. Ulmowie ze wszech miar zasłużyli na kult – chyba nawet większy, niż wynikałoby to z ekspozycji muzealnej. Bo właśnie w tej ekspozycji czai się największe markowskie kłamstwo.

Muzeum służy wdrożeniu przekonania, że naród polski pomagał w czasie okupacji Żydom. Zgoda, było i tak, lecz było też odwrotnie. Markowianie niejeden raz brali udział w okupacyjnych „polowaniach na Żydów". A nazajutrz po egzekucji Ulmów wymordowali 24 Żydów, których sami dotąd ukrywali. W Markowej wszystko, co podważa polskie bohaterstwo, musi być przemilczane.

Wystawa w muzeum jest bardzo nabożna. A przecież nie wydaje się, by rodzina Ulmów żyła w szczególnej bliskości z Kościołem. Józef był „wiciarzem" (działał w Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Wici"), a Wiktoria – wychowanicą uniwersytetu ludowego w pobliskiej Gaci. Zarówno „Wici", jak i uniwersytety ludowe były przez kler atakowane, oskarżane o bezbożnictwo. Nieprzypadkowo Józef i Wiktoria mieli z proboszczem publiczny konflikt. To jednak, co narusza polską nabożność, też musi być w Markowej przemilczane.

Markowianie nazajutrz po egzekucji Ulmów wymordowali 24 Żydów, których dotąd ukrywali.

W roku 1995 Instytut Jad Waszem uznał oboje Ulmów za Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Polski Kościół zajął się nimi dopiero po jakimś czasie. W roku 2017 kuria przemyska oświadczyła, że Ulmowie to „męczennicy z powodu nienawiści do wiary" (sic!). A w roku 2023, w Markowej, rodzina została beatyfikowana. Cała. Czyli ze wspomnianą szóstką dzieci – w większości przecież niczego nieświadomych. Ponieważ zaś Wiktoria była w ciąży, beatyfikowano także dziecko nienarodzone.

Oto pułapki fundamentalizmu Jana Pawła II. Powstają tu jednak kolejne problemy, i to głównie dla katolika. Bo czy może być błogosławionym ktoś nieochrzczony? A czy może być błogosławionym ludzki płód? Jakim właściwie imieniem ma katolik wzywać ów płód w modlitwie? A przecież, jak widać, są to wątpliwości nieistotne – wszak Ulmowie dostali zadanie pośmiertne: oczyścić nasze sumienie z antysemityzmu! Oczyścić? Bez rachunku sumienia?

Z ulgą opuszczam Markową. Przede mną rodzinny Ostrów.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 68802d276f

DZIETNI, BEZDZIETNI, ZAGUBIENI



Polskie rodzicielstwo stało się polem bitwy kulturowej

Maciej Belowski

Polskie społeczeństwo jest głęboko podzielone w kwestii definiowania rodzicielstwa, tego, jaki powinien być idealny rodzic oraz czy dziś w ogóle warto mieć dzieci. Zamiast merytorycznej dyskusji w przestrzeni medialnej regularnie wybuchają wojenki o strefy bez dzieci w restauracjach i hotelach czy o matki karmiące piersią w miejscach publicznych.

Czy nie spłycamy dyskusji na temat tego poważnego kryzysu społecznego do zbędnych sprzeczek? A może najwyższy czas, by głębiej zastanowić się nad tym, czy świadoma decyzja o braku potomstwa, negatywne podejście do dzieci oraz odrzucenie tradycyjnej instytucji małżeństwa to wyłącznie przejściowy trend, czy rzeczywisty problem strukturalny, z którym jako społeczeństwo nie potrafimy się zmierzyć?

Kwestia wychowania stała się polem bitwy kulturowej i politycznej. Podczas gdy prawicowi politycy grzmią o tradycyjnym modelu „normalnej rodziny", środowiska progresywne promują partnerskie, nowoczesne formuły relacji i związki niesformalizowane. Wokół tematu, który teoretycznie powinien łączyć, narasta coraz więcej bolesnych sporów. W tym informacyjnym chaosie, przy braku systemowych rozwiązań – odpowiedniej edukacji oraz praktycznych programów socjalnych – młodych ludzi spycha się w sferę głębokiej niepewności.

Demograficzna matematyka

Jakkolwiek dramatycznie to zabrzmi – nad Polską wisi widmo demograficznej katastrofy – drastyczny wzrost liczby zgonów idzie w parze z głębokim spadkiem urodzeń. Aby zrozumieć realną skalę tego problemu, należy przyjrzeć się twardym danym Głównego Urzędu Statystycznego. Szacunki wstępne, opublikowane 24 kwietnia 2026 r., pokazują ubytek ludności w I kwartale 2026 r.: populacja Polski skurczyła się o kolejne 51 tys. w porównaniu z końcem 2025 r. W okresie styczeń-marzec 2026 r. urodziło się ponad 57 tys. dzieci. W tym samym czasie odnotowano aż 112 tys. zgonów. Wynik tego bilansu to ujemny przyrost naturalny (różnica między liczbą zgonów a liczbą urodzeń w ogólnym zestawieniu) – w ciągu zaledwie trzech miesięcy zmarło o 54,5 tys. osób więcej, niż przyszło na świat.

Równie alarmująco prezentuje się bilans zawierania i rozpadu małżeństw. W pierwszych trzech miesiącach 2026 r. na ślub zdecydowało się ok. 11 tys. par. W tym samym okresie (I kwartał 2026 r.) sądy orzekły rozwód w stosunku do ponad 15 tys. małżeństw – to o niemal 500 rozwodów więcej niż w analogicznym okresie ubiegłego roku. Te twarde dane pokazują, że instytucja małżeństwa przechodzi poważny kryzys.

Na sytuację rodzin wpływa informacyjne przebodźcowanie: z jednej strony influencerzy „promują" rodzicielstwo poprzez tzw. sharenting (udostępnianie wizerunku dzieci w mediach społecznościowych) – zjawisko szeroko krytykowane, lecz znacząco zwiększające zasięgi profili w sieci. Z drugiej – środowiska progresywne otwarcie krytykują instytucję małżeństwa i stałe relacje. Gdzie zatem w tym gąszczu sprzecznych

FOT. MACIEJ BELOWSKI

eprasa.pl 68802d276f

narracji znaleźć złoty środek? Opiekunowie i potencjalni rodzice zagubieni w medialnym szumie często tracą grunt pod nogami i nie czują się gotowi na wychowanie nowego obywatela.

Dzietni kontra bezdzietni

Najnowsze badanie portalu Socjolozki.pl i IRCenter „Polscy rodzice w rozkroku: ufają sobie, ale gubią się w gąszczu porad" pokazuje, że w społeczeństwie wyrosła potężna przepaść. Po jednej stronie stoją zdezorientowani rodzice, po drugiej rosnąca w siłę grupa osób bezdzietnych, która na rodzicielstwo patrzy z dystansem i brakiem zaufania.

Co ciekawe, Polacy – zgodnie z badaniem – wykazują rzadką jednomyślność w kwestiach uniwersalnych. Aż 73% Polek i Polaków uważa, że rodzice powinni być w pełni odpowiedzialni za dziecko i nie przerzucać rozwiązywania problemów wychowawczych na szkołę.

– To jest tak naprawdę realizacja mechanizmu odzyskiwania podmiotowości, bo opiekunowie chcą mieć realną sprawczość nad wychowaniem – wyjaśnia socjolożka Katarzyna Krzywicka, współtwórczyni platformy Socjolozki.pl oraz prezeska i badaczka jakościowa w IRCenter, współautorka badania. W podziale na grupy to przekonanie wyraża 76% rodziców oraz 72% osób bezdzietnych. – Współczesny rodzic porusza się w zaklętym kręgu wymagań – własnych, partnerskich i społecznych – i w efekcie staje się skrajnie zagubiony – dodaje badaczka.

Wszystko wygląda jeszcze gorzej, gdy wkraczamy w sferę życia codziennego, kompetencji i autonomii. Największa rozbieżność w całym badaniu – wynosząca aż 24 pkt proc. – dotyczy pytania, kto wie lepiej: 73% rodziców uważa, że doskonale wie, co jest najlepsze dla ich potomka, z czym zgadza się zaledwie 49% osób nieposiadających dzieci. Podobnie 63% rodziców deklaruje, że doskonale zna zagrożenia płynące z mediów społecznościowych, podczas gdy w grupie osób bez dzieci ten odsetek spada do 43%. Opiekunowie znacznie częściej bronią też tradycyjnych metod wychowawczych (61% wobec 47%) i łagodniej oceniają obecność technologii w życiu dziecka (34% i 22%). Rodzice częściej również uważają, że społeczeństwo przesadza z troską o zdrowie psychiczne dzieci (41% i 29%).

Rodzic osaczony

– To jest tak naprawdę realizacja mechanizmu polaryzacji społecznej, w której z jednej strony mamy zapracowanych ludzi pod presją, a z drugiej ofensywę narracji osób bezdzietnych z wyboru – wyjaśnia Katarzyna Krzywicka. – Sam mechanizm konfliktu grup interesów nie jest w ogóle nowy. Natomiast to, co się zmieniło w obecnych czasach, to jest ta intensyfikacja, skala tego mechanizmu i to, że współczesny opiekun jest nieustannie poddawany publicznej ocenie. Z jednej strony obserwujemy w przestrzeni publicznej bolesne etykietowanie kobiet, używanie upokarzających określeń typu „madka", co spłyca i deprecjonuje rolę opiekuńczą do postawy roszczeniowej. Z drugiej strony rodzice uciekają w deklaratywną pewność siebie, bo w świecie, gdzie media czekają na ich najmniejsze potknięcie, przyznanie się do bezradności jest traktowane jako ostateczna klęska. W efekcie systemowa presja oraz chaos informacyjny generują u opiekunów permanentne, głębokie poczucie zmęczenia i dezorientacji – mówi socjolożka.

Stały nacisk zewnętrzny potwierdzają dane: 56% rodziców uważa, że otoczenie bezczelnie poucza ich, jak żyć, a 62% czuje się zagubionych w gąszczu sprzecznych teorii ekspertów. Aż 54% matek żyje w wiecznym poczuciu winy.

Systemowa presja oraz chaos informacyjny generują u opiekunów głębokie poczucie zmęczenia i dezorientacji.

– Obserwujemy obecnie, że to milenialsi stają się pierwszym pokoleniem, które ma tak potężnie poszatkowaną sytuację związaną z relacjami. Kiedy prowadzimy z nimi grupy fokusowe, obok siebie zasiadają single, osoby po rozwodzie i te żyjące w sformalizowanych małżeństwach; jedni mają małe dzieci, drudzy nastolatków. Dzięki temu decyzja o posiadaniu potomstwa – lub o rezygnacji z niego – staje się u nich skrajnie i dogłębnie przemyślana – podkreśla socjolożka.

Izabeli reprezentującej pokolenie milenialsów, matki jedynaka, wejście w rolę rodzica przyniosło bolesne doświadczenie izolacji we własnym środowisku rówieśniczym oraz zderzenie z rynkową drożyzną.

– Wszelkie przywileje od państwa dla rodzin z dziećmi to fikcja – ocenia surowo Izabela. – Co z tego, że wprowadzono dopłaty do żłobków, skoro ich ceny natychmiast poszły w górę i ostatecznie rodzice i tak płacą ogromne pieniądze? Program 800+ brzmi dumnie w ustach polityków, ale w starciu z rzeczywistością zdrowotną i edukacyjną staje się bezwartościowy. Przez pierwszy rok życia syna co miesiąc zostawialiśmy w przychodni tysiąc złotych za same nowoczesne, płatne szczepienia, bo te państwowe są najgorszej jakości. Zamiast rozdawać gotówkę, rządzący powinni wprowadzić wysokie ulgi podatkowe dla pracujących – dodaje.

Pojawienie się dziecka drastycznie zweryfikowało także relacje towarzyskie młodej matki.

– A wyjście do kawiarni czy spotkania ze znajomymi? Dziś wiąże się to z ogromnym stresem – kontynuuje Iza. – Kiedyś płacz dziecka był czymś normalnym, a otoczenie reagowało ze zrozumieniem. Dzisiaj, gdy mój syn zaczyna marudzić, natychmiast czuję na sobie potępiające spojrzenia. Społeczeństwo traktuje najmłodszych jak uciążliwe szkodniki, które niszczą ich święty spokój. Wśród bezdzietnych znajomych czujemy się czasem jak trędowaci. Ludzie nagle zaczynają się zastanawiać, o czym w ogóle można rozmawiać z rodzicami, mimo że wcześniej potrafiliśmy godzinami dyskutować na najróżniejsze tematy.

eprasa.pl 68802d276f

W kwestii wychowania jesteśmy zawieszeni „pół na pół". Łączymy nowoczesność z tradycyjnym podejściem – z jednej strony całkowicie odcinamy syna od ekranów i smartfonów, z drugiej pozwalamy mu po prostu pobrudzić się i wytaplać w błocie.

Napiętnowany bezdzietny

Po drugiej stronie barykady stoi Monika, również z pokolenia milenialsów. Nie jest singielką, żyje w stałej relacji, jednak z pełną świadomością i konsekwencją odrzuca tradycyjny model rodziny.

– Dlaczego nie chcę mieć dzieci? Rodzicielstwo to ważna decyzja – tłumaczy. – Uważam, że moglibyśmy uratować świat, gdybyśmy decydowali się na potomstwo tylko wtedy, gdy jesteśmy w stanie zapewnić mu mądre wychowanie i pełną opiekę. Nie każdy się do tego nadaje. Poza tym nasza planeta i tak jest już przeludniona – po co sprowadzać kolejnych ludzi, którzy będą ją niszczyć?

Monika zwraca też uwagę na silny kulturowy ostracyzm, z którym mierzą się osoby bezdzietne.

– Jednocześnie czuję ogromną presję społeczną. Osoby rezygnujące z założenia rodziny wciąż uważa się za gorsze lub wręcz nienormalne – dodaje Monika. – Te oczekiwania dotykają zresztą obu płci, choć w zupełnie inny sposób. Od kobiet wymaga się bycia idealnymi matkami, które bezbłędnie łączą dom z karierą zawodową. Od mężczyzn oczekuje się z kolei, że będą ciężko pracować i pozostaną silni, ukrywając własne emocje, a z drugiej strony, że nauczą dziecko wrażliwości. W tym wszystkim człowiek czuje się zagubiony i nie wie, w którą stronę ma iść – podsumowuje.

Osoby rezygnujące z założenia rodziny wciąż uważa się za gorsze lub wręcz nienormalne.

W poszukiwaniu złotego środka

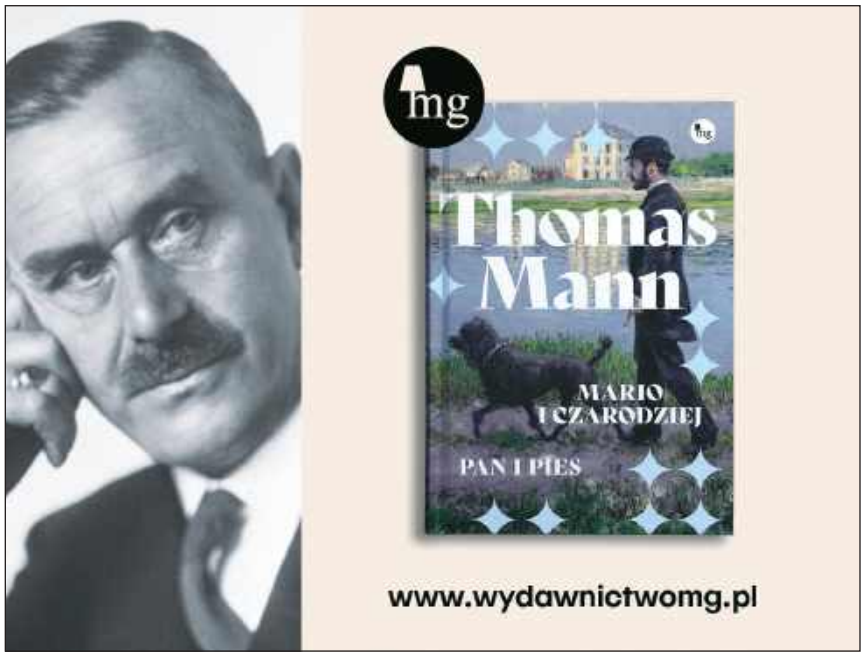
Zderzenie tych racji uwidacznia głębokie pęknięcie światopoglądowe, które najsilniej rezonuje w ocenach tradycyjnego wychowania. To właśnie w tym punkcie najdobitniej widać konflikt pokoleniowy. Podczas gdy przedstawiciele pokolenia powojennego wyżu demograficznego (baby boomers) oraz starsi przedstawiciele pokolenia X w większości (68%) wierzą, że tradycyjne podejście daje dziecku poczucie bezpieczeństwa, najmłodsi wchodzący w dorosłość – reprezentanci pokolenia Z – masowo ten pogląd odrzucają (zaledwie 28% poparcia).

– Ta potężna tęsknota starszych pokoleń za tradycyjnym modelem wychowania to nic innego jak poszukiwanie utraconych ram i jasnego podziału ról, który kiedyś gwarantował pozorne poczucie stabilności – komentuje socjolożka Katarzyna Krzywicka. – Współczesność przyniosła pluralizm, ale i samotność. Co kluczowe, decyzja o nieposiadaniu potomstwa po raz pierwszy w historii przestaje być tematem tabu i staje się pełnoprawnym wyborem. Niestety, w parze z tą wolnością nie idzie systemowa pomoc. Młode kobiety tkwią w zaklętym kręgu oczekiwań, w którym cokolwiek by zrobiły i tak czują się potępione przez społeczeństwo.

Rzeczywistość społeczna bezlitośnie weryfikuje dotychczasową politykę prorodzinną. Przerzucanie się odpowiedzialnością, brak realnego, systemowego wsparcia w kluczowych sektorach (edukacja, ochrona zdrowia, stabilność zatrudnienia) i polaryzacja sprawiają, że młodzi ludzie wolą rezygnować z posiadania dzieci i wchodzenia w relacje małżeńskie, niż na to pole minowe wchodzić.

Złoty środek nie leży w kolejnych transferach gotówkowych, które rynek natychmiast „zjada", ani w agresywnym promowaniu jednego, tradycyjnego wzorca relacji. Społeczeństwo potrzebuje stabilności i zaufania. Dopóki system opieki będzie oparty na udawaniu wsparcia, a debata publiczna na wytykaniu palcami „egoistycznych bezdzietnych" czy „roszczeniowych matek", dopóty wskaźniki demograficzne będą systematycznie spadać. Decyzja o powiększeniu rodziny musi na nowo stać się wolnym, bezpiecznym i przede wszystkim szanowanym wyborem – wolnym od ciągłego poczucia winy, systemowych absurdów i społecznego wykluczenia.

Maciej Belowski



eprasa.pl 68802d276f

Nawiasem mówiąc



Stanisław Filipowicz

Ikony stylu

Głowa państwa odbywa wspólny trening z Mariuszem Pudzianowskim – Wielkanoc w klubie sportowym. Żaden grzech, z pewnością usłyszymy. Po prostu styl epoki. Czerwiec – walki w oktagonie przed Białym Domem. Koloseum w nowym wydaniu? O nie, raczej wóz drabiniasty w salonie samochodowym. To nie jest splendor cesarskich widowisk, to jarmarczna fanfaronada. Czy mamy jeszcze jakiś wybór, czy też zaznaczył się nowy trend dziejowy?

Historia prowadzi polityków różnymi drogami. Czasem na końcu drogi jest tragedia. Pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej Gabriela Narutowicza zaprowadziła do warszawskiej Zachęty, na wystawę dzieł sztuki, gdzie czekał na niego zamachowiec Eligiusz Niewiadomski.

Czy dziś można sobie wyobrazić przywódcę politycznego w salach Towarzystwa Sztuk Pięknych? No nie, toż to perwersja. Polityk może pójść na mecz piłki nożnej, zasiąść naprzeciw ringu bądź przed oktagonem, ale pójść do galerii oglądać obrazy? Kompromitacja – katastrofa, równia pochyła, spadek notowań. Szkody wizerunkowe nie do odrobienia. Czy można zaufać człowiekowi, który ogląda obrazy albo chodzi do teatru?

Specjaliści przewidujący naszą przyszłość mówią o nieuchronnej redukcji zapotrzebowania na ludzką pracę. Wszyscy będą mieli czas wolny, pracą zajmą się roboty. A my? Dochód gwarantowany i hajda na siłkę albo na leżak. No bo co tu robić? Bliska jest też pewnie chwila, kiedy w piłkę nożną będą grały humanoidy – doskonalsze od ludzkiego ciała, niezawodne aparaty.

To nie są moje urojenia. Raz uruchomionych procesów nie zdołamy już zatrzymać. Antyhumanizm nabiera rozpędu. Mamy pomysły na sztuczną inteligencję, ale nie mamy pomysłu na samych siebie. Wykonaliśmy skok, jesteśmy w powietrzu – gdzie wylądujemy?

Jeszcze nie tak dawno temu wydawało się, że przyszłość jest za rogiem, na tej samej ulicy. Cyfrowa rewolucja pozbawiła nas tych złudzeń. Nasza tożsamość – zakodowana w systemach cyfrowych – stała się elementem gry, z której zostaliśmy wykluczeni. Rodzą się nowe formy podporządkowania, niweczące pojęcie wolności: trwa nieprzerwany transfer danych (uwaga na smartwatche!) – wszystko ma swój dalszy żywot w chmurze. Jaki? Tego nie wiemy. Pod flagą udogodnień jesteśmy bezlitośnie ewidencjonowani i konfigurowani w nowej rzeczywistości. No i cóż, cieszymy się, bo to postęp.

Jak się bronić? Głód rzeczywistości przecież istnieje. Może dlatego właśnie – niejako instynktownie – szukamy realnych sprawdzianów. Stąd być może kult ciała? Wracamy do jaskini, bo tam jest bezpiecznie? Co oznacza ten zwrot? Oktagon zamiast teatru, siła mięśni zamiast symboli?

Jeszcze na początku XX stulecia – jak wspomina Stefan Zweig – na pierwszym miejscu był teatr: „Burgtheater był dla Wiedeńczyka, dla Austriaka, czymś więcej niż tylko sceną, na której występują aktorzy. Był mikrokosmosem, w którym odzwierciedlał się makrokosmos, barwnym zwierciadłem, w którym społeczeństwo widziało własne odbicie, jedynym właściwym miernikiem dobrego smaku".

Ciekawe, jak niewiele dzieli antyczny teatr grecki od teatru wiedeńskiego w epoce Habsburgów. Ta sama fascynacja tajemnicą rzeczy najgłębiej ukrytych, to samo pragnienie piękna. Przeszłość potrafi nas zaskakiwać. Dziś dramaty w oktagonie mają większe znaczenie niż cała historia teatru.

Znowu wpadłem w koleiny niemądrych skojarzeń, ale sprawy teatru nie zostawię. Nerw demokracji splata się z korzeniami teatru. Niemiecki autor, obserwator teraźniejszości, Byung-Chul Han, podkreśla: „Świat jako teatr był bogaty w sceny, maski i kostiumy. Nie było dużej różnicy między ubraniem ulicznym a kostiumem teatralnym.

Dziś dramaty w oktagonie mają większe znaczenie niż cała historia teatru.

Ludzie dosłownie zakochiwali się w scenach i poddawali się scenicznym iluzjom". I dalej: „Ciało przypominało bezduszną lalkę, którą można było ubrać, umalować, udrapować w znaki i znaczenia. Stroje i peruki wymazywały z ciał to, co osobiste". 4 lipca minęła 250. rocznica uchwalenia amerykańskiej Deklaracji niepodległości. Pamiętajmy: jej autorami byli panowie w perukach. Inne czasy – w polityce (przynajmniej przez moment) idee miały większe znaczenie niż osobiste ambicje. Dziś odwrotnie, może przez brak peruk?

Wiek XX odkrył mowę ciała. Ten nowy trend bezbłędnie wykorzystali faszyści. Koryfeuszem nagości stał się Benito Mussolini. Duce – jak pisze (biograf) Antonio Scurati – genialnie potrafił „przemawiać do mas ciałem". To był nowy rodzaj komunikacji: „Własnym ciałem przemawiał do ciała wyborczego". Pokazując się „swemu ludowi bez ubrania, ulokował swe ciało w centrum sceny politycznej". Są filmy, na których „faszystowski przywódca z nagim torsem w otoczeniu rolników młóci zboże".

Co przebiega szybciej? Dehumanizacja związana z digitalizacją czy śmierć dawnych symboli, która przyniosła sukcesy Mussoliniemu? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 68802d276f

Ameryka powinna unikać konfliktu z Chinami

Doug Bandow gościł już kilkukrotnie na łamach „Przeglądu" i w związku z tym nie ma potrzeby rozpisywania się na temat jego biografii i dokonań intelektualnych. Ten były współpracownik prezydenta Ronalda Reagana to konserwatywny intelektualista, znany z podnoszenia w debacie publicznej argumentów antywojennych i antyinterwencjonistycznych. Z jego analizami można się zapoznawać w witrynach Cato Institute, dla którego obecnie pracuje, oraz American Conservative i Antiwar.com.

Również fragmenty prezentowanego poniżej tekstu są przestrogą Bandowa skierowaną do amerykańskich elit politycznych przed lekkomyślnym zaangażowaniem się w konflikt z Chinami. Cały artykuł ukazał się 6 lipca 2026 r. w witrynie internetowej Responsible Statecraft pod adresem responsiblestatecraft.org/us-china-war-taiwan/.



Doug Bandow

Prezydent Donald Trump znów dowiódł, dlaczego założyciele Ameryki mieli rację, opowiadając się za rozwiązaniem, w którym jedynie Kongres ma prawo wypowiadać wojnę. Władza ustawodawcza nie może pozwolić, by szef władzy wykonawczej mógł – jak mówił James Wilson, delegat na Konwencję Konstytucyjną – „uwikłać nas w takie nieszczęście". Gdyby Trump przestrzegał prawa, być może nigdy nie zainicjowałby katastrofalnego ataku na Iran.

Jednak znacznie gorszy byłby konflikt między Stanami Zjednoczonymi a Chińską Republiką Ludową. ChRL jest mocarstwem dysponującym potężną gospodarką, szybko rozwija swój potencjał militarny i ma broń jądrową. Działania wojenne niemal z pewnością objęłyby kontynentalne Chiny i przeniosły się dalej, na amerykańskie posiadłości i bazy na Pacyfiku, a być może dotarłyby nawet do terytorium Stanów Zjednoczonych. (...)

Nikt nie chce takiej wojny. Mimo to Tajwan stał się niebezpiecznym punktem zapalnym. Tajpej w istocie rozbudowało swoją działalność lobbingową w Stanach Zjednoczonych, próbując utrzymać nieformalne zobowiązanie Waszyngtonu do zapewnienia mu bezpieczeństwa. Jak pokazuje decyzja Trumpa o rozpoczęciu bezprawnej wojny przeciwko Iranowi, istnieje realne ryzyko, że on sam lub któryś z przyszłych prezydentów mógłby ulec lekkomyślnej pysze na Pacyfiku.

Istnieje duże prawdopodobieństwo błędnej oceny sytuacji. W przypadku Tajwanu wielu amerykańskich decydentów po prostu zakłada, że Pekin nie rzuci wyzwania Ameryce. Wystarczy powiedzieć Pekinowi, czego oczekuje Waszyngton – oświadczył Leon Panetta, były szef personelu Białego Domu, sekretarz obrony i dyrektor CIA – i Chińczycy nie ośmielą się przeciwstawić Ameryce: „Szczerze mówiąc, uważam, że jeśli Chiny zrozumieją, iż traktujemy to poważnie, nie odważą się tego zrobić".

Panetta wykazuje się przesadnym optymizmem. Historia i względy bezpieczeństwa czynią Tajwan kwestią o zasadniczym znaczeniu dla Chin, natomiast nie ma on żadnego znaczenia dla bezpośredniej obrony Ameryki. Chińczycy postrzegają Tajwańczyków jako część swojego narodu, podczas gdy niewielu Amerykanów wie, gdzie ta wyspa się znajduje. Co więcej, odległość ma znaczenie. Tajwan leży zaledwie nieco ponad 100 mil od wybrzeża Chin, ale ponad 6 tys. mil od kontynentalnej części Stanów Zjednoczonych. Znacznie łatwiej i taniej jest więc odstraszać, niż dokonywać projekcji siły.

Zaledwie sześć tygodni bombardowań Iranu sprawiło, że Pentagonowi zaczęło brakować amunicji.

Bez wsparcia pobliskich państw Waszyngton musiałby uznać obronę Tajwanu za niemal niemożliwą. Jednak żaden sojusznik Waszyngtonu z obszaru Azji i Pacyfiku nie zobowiązał się przyłączyć do Ameryki (w razie konieczności obrony

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 68802d276f

Tajwanu – przyp. P.K.) i tym samym wstąpić do obozu trwałych wrogów najpotężniejszego państwa regionu.

Niewątpliwie amerykańscy decydenci mają nadzieję, że podjęcie takiej decyzji (o aktywnej obronie Tajwanu – przyp. P.K.) nigdy nie okaże się konieczne i że sama groźba odstraszy Chińską Republikę Ludową od użycia siły militarnej. Na tym właśnie opiera się polityka Waszyngtonu określana mianem „strategicznej dwuznaczności". Zakłada ona, że Pekin nie zdecyduje się sprawdzić nieformalnego zobowiązania Stanów Zjednoczonych do obrony Tajwanu, a jednocześnie Tajpej nie będzie prowokować Chin. (…)

Bardzo istotne jest to, że nawet zwycięstwo militarne nie zapewniłoby trwałego rozwiązania. Pekin bez wątpienia ponownie dozbroiłby się i spróbował jeszcze raz, podobnie jak to zrobiły Niemcy po porażce w I wojnie światowej. Waszyngton musiałby utrzymywać nadmiernie rozbudowane siły zbrojne przez lata, dziesięciolecia, a być może nawet bezterminowo, aby chronić Tajwan. Tymczasem zaledwie sześć tygodni bombardowań Iranu – państwa będącego co najwyżej średnią potęgą – sprawiło, że Pentagonowi zaczęło dramatycznie brakować amunicji, która byłaby niezbędna w razie ewentualnego konfliktu z Chinami. (…)

Rzecz jasna, w naszej stolicy działa nieformalna partia wojny, zawsze gotowa ruszyć na wojnę z aktualnym wrogiem. Wielu jej przedstawicieli z oburzeniem atakuje swoich krytyków. Na przykład Steve Bannon, korzystający z ułaskawienia przez Trumpa, zarzucił mi zbyt małą wojowniczość wobec Chin. Bannon słusznie potępił awanturniczą interwencję Trumpa przeciwko Iranowi, lecz – podobnie jak wielu innych przedstawicieli waszyngtońskiego establishmentu – gotów jest ryzykować znacznie bardziej niebezpieczną wojnę z Pekinem. To po prostu szaleństwo.

Najważniejszą zasadą amerykańskiej polityki wobec Pekinu powinno być unikanie konfliktu. Oczywiście chiński atak na Tajwan byłby – jak ostrzegał Dennis Blair, były naczelny dowódca USA na Pacyfiku i były dyrektor wywiadu – „straszny". Jednak wojna byłaby katastrofalna dla obu państw, wyniszczająca dla krajów Azji i tragiczna w skutkach dla całego świata.

Najważniejszą zasadą amerykańskiej polityki wobec Pekinu powinno być unikanie konfliktu.

Wyobraźmy sobie bitwę morską obejmującą niemal cały glob, w której obie strony blokują i zakłócają handel przeciwnika. Wyobraźmy sobie załamanie gospodarki w Azji, znacznie poważniejsze niż skutki blokady cieśniny Ormuz przez Iran. Wyobraźmy sobie wspieraną przez Chińską Republikę Ludową i Rosję inwazję Korei Północnej na Koreę Południową. Wyobraźmy sobie stopniową eskalację działań wojennych wraz z narastającymi stratami w ludziach i sprzęcie. Wyobraźmy sobie, że przywódcy w Pekinie decydują się sięgnąć po broń jądrową. (…)

Wszystko to nie oznacza, że Ameryka nie powinna robić nic, by pomóc Tajwanowi w obronie. Waszyngton powinien sprzedawać broń Tajpej, zwłaszcza tę najbardziej przydatną do odparcia blokady i inwazji, taką jak pociski przeciwokrętowe. Amerykańscy urzędnicy powinni dążyć do zjednoczenia najważniejszych państw uprzemysłowionych wokół idei sankcji gospodarczych, gdyby ChRL użyła siły przeciwko Tajwanowi. Waszyngton powinien również rozważyć złagodzenie swojego sprzeciwu wobec przyjaznej proliferacji [broni jądrowej – P.K.] wśród azjatyckich sojuszników.

Najważniejszym celem polityki Waszyngtonu wobec Chin powinno być jednak unikanie konfliktu. Siła militarna zawsze powinna być środkiem ostatecznym. Pełnoskalowa wojna z mocarstwem dysponującym bronią jądrową może być uzasadniona jedynie wtedy, gdy naprawdę zagrożone są egzystencjalne interesy. Tajwańczycy powinni mieć swobodę decydowania o własnej przyszłości. Jednak ochrona tego prawa, choć jest celem godnym poparcia, nie uzasadnia narażania Ameryki na starcie z ChRL – ani z kimkolwiek innym – które mogłoby doprowadzić do zagłady USA. (…)

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla



eprasa.pl 68802d276f

Jątrząca pamięć

Priorytetem nie może być język wartościujący, lecz opisujący

Polemika z prof. Andrzejem Romanowskim

Jan Machynia


POLSKA-UKRAINA

Refleksje pesymisty

SPALONA ZIEMIA

Andrzej Romanowski

Karol Nawrocki, jak to poprawnie, we...

Myśląc o poprawnym współżyciu między sąsiadującymi ze sobą narodami, jak Polska i Ukraina, najpierw trzeba przepracować wspólną historię. Taką konieczność dostrzega również prof. Andrzej Romanowski w artykule „Spalona ziemia" („Przegląd" nr 28/2026). Jednak obowiązek tego przepracowania nakłada tylko na stronę polską, czyniąc jego prekursorem Jerzego Giedroycia i paryską „Kulturę". Ale cóż to za przepracowanie, skoro dotyczyć ma ono wyłącznie ofiary, pomijając kata?

Ważny jest też język, jakim przy tej okazji operujemy. Priorytetem nie może być język wartościujący, lecz opisujący. Ten pierwszy podsyca emocje, co prowadzi do uproszczonych schematów i uogólnień, właściwych bardziej popkulturze niż poważnej narracji historycznej. Takiego stanowiska zdaje się jednak nie podzielać prof. Andrzej Romanowski.

Zaczyna od mocnego uderzenia, powołując się na autorytet prof. Macieja Jankowskiego: „Przez kilkaset lat to Rusini byli pod panowaniem polskim, a nie odwrotnie". Spod tego kategorycznego sądu czmychnęło autorowi gdzieś Wielkie Księstwo Litewskie, ale to szczegół. To panowanie zaczęło się już od Kazimierza III Wielkiego (Chrobrego autor pomija), który objął w posiadanie Ruś Halicką i Włodzimierską.

Dokonało się to jednak, co autor już pomija, mniej z angażowaniem oręża, a bardziej na mocy układów sukcesyjnych, w tym zawartego w Wyszehradzie w 1339 r. tzw. układu o przeżycie, który przewidywał, że Ruś Halicka przejdzie we władanie Kazimierza Wielkiego w przypadku bezpotomnej śmierci księcia Jerzego II Trojdenowicza. Jednym z postanowień tych układów była również zapowiedź objęcia krakowskiego tronu przez Andegawenów po bezpotomnej śmierci Kazimierza. I tak się stało. Przyjmując więc sposób myślenia profesora, moglibyśmy dziś nie tylko zarzucać Madziarom ich panowanie nad Wisłą, ale dodatkowo obciążać ich winą za to, że krakowski tron powierzyli pogańskiemu „dzikusowi" z Litwy.

Tak nie da się myśleć o historii. Zdarzenia historyczne należy postrzegać w ówczesnych realiach interesów dynastycznych, możnowładczych i sąsiedzkich powiązań. Wtedy jeszcze nikt nie był pod niczyim panowaniem, bo nie było przedmiotów owego panowania. Poczucie narodowości zrodziło się kilka wieków później. To ahistoryczne, prezentystyczne myślenie pozwala prof. Andrzejowi Romanowskiemu przeskoczyć swobodnie do okresu II Rzeczypospolitej, oskarżając ją, że „zwalczając zagrażający państwu ukraiński ruch narodowy, konsekwentnie traktowała Ukraińców jako obywateli niższej kategorii".

To również ciężki grzech Polaków, że starali się, zresztą nie bez błędów i przewinień, przeciwdziałać zamachom i mordom politycznym, w tym na ministrze Bronisławie Pierackim i pośle Tadeuszu Hołówce, którzy sprzyjali Ukraińcom? Stąd już tylko krok do przyjęcia interpretacji niektórych historyków, twierdzących, że działania dywersyjne Ukraińców w okresie II Rzeczypospolitej to ćwiczenia pod przyszłe działania wymierzone w Sowietów. Przyjmując taką opowieść, powinniśmy paść na kolana i przepraszać Ukraińców za to, że ich „bohaterscy przestępcy" trafiali do polskich więzień, a potępić ówczesne władze państwa polskiego, bo broniły swoich obywateli przed rolą królików doświadczalnych w wyrabianiu przewagi wojennej OUN i UPA.

Andrzej Romanowski zdaje się mniemać, że aktywność bojówek OUN w okresie II Rzeczypospolitej była kontynuacją buntów Rusinów przeciwko polskiemu panowaniu, których początek słusznie datuje na koniec XVI w. Ale przecież te bunty nie miały charakteru narodowowyzwoleńczego, lecz wyłącznie ekonomiczny. Kozacy, bo to chyba o ich bunty chodzi, garnęli się pod koroniarskie skrzydła, bo objęcie ich rejestrem oznaczało dla nich żołd, przywileje stanowe, wolność osobistą, zwolnienia podatkowe i podległość sądownictwu hetmańskiemu, nie zaś królewskiemu. Chętnych było dużo więcej niż możliwości skarbu koronnego.

To było głównie przyczyną buntów kozackich. Ich ostatni zryw pod

eprasa.pl 68802d276f

wodzą Semena Paleja w 1702 r. był reakcją na uchwałę Sejmu z 1699 r., likwidującą instytucję kozaków rejestrowych. Wcześniej, w zamian za wymienione przywileje, Kozacy bronili kresów, chociaż z wyjątkami, jak ten z kwietnia 1648 r., z bitwy nad Żółtymi Wodami, gdy przeszli na stronę przeciwnika, walnie przyczyniając się do klęski wojsk koronnych dowodzonych przez hetmana Stefana Potockiego.

Również znaczna część wywodzących się ze starych rodów książąt ruskich i szlachty ruskiej dążyła do inkorporacji swoich ziem do Korony. Powodem była chęć wyrwania się spod wpływów litewskiej oligarchii i uzyskania identycznych praw, jakie miała szlachta małopolska i wielkopolska. Od Sejmu lubelskiego w 1569 r., ustanawiającego Rzeczpospolitą Obojga Narodów, stali się oni – i tak ich nazywano – Polakami, niezależnie od pochodzenia i wyznawanej religii. Ale jeszcze nie Polakami w sensie przynależności narodowej, bo takowej wtedy nie było.

Jak pisał Timothy Snyder, naród to bardziej „obywatelstwo i cywilizacja niż przynależność do jakiejś grupy etnicznej". Taki właśnie „naród" wpływał na losy swoich rusińskich poddanych, a nie zdecentralizowane państwo polskie, które pod koniec istnienia dysponowało aż… około tysiącem swoich urzędników. W jego imieniu nie było więc kim gnębić ani zniewalać.

Mocno również wybrzmiewa w artykule Andrzeja Romanowskiego kategoria zdrady Polaków wobec Ukraińców. Autor podaje kilka przykładów takich zdrad, skupiając się szczególnie na okresie po I wojnie światowej. W ten moralnie nieusprawiedliwiony sposób ocenia cały skomplikowany splot ówczesnych zdarzeń, z których wyłoniła się niepodległa Polska, a nie zdołała tego zrobić Ukraina. Może w dużej mierze dlatego, że postawiła na złego konia (Niemcy)?

Gdyby nie zwrot Piłsudskiego (kryzys przysięgowy, a następnie internowanie w luksusowych warunkach w Magdeburgu), aktywność Paderewskiego, a zwłaszcza Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu, to Polska pozostałaby poza kręgiem uszczuplonej o zrewoltowaną Rosję ententy, a wtedy z naszą niepodległością mogłoby być różnie. Poza tym kto tu kogo zdradził? Czy ten, kto z obiecanych 60 tys. mobilizuje zaledwie 5 tys. swoich żołnierzy, czy też ten, kto wystawia potężną jak na ówczesne możliwości armię?

Zdarzenia historyczne należy postrzegać w ówczesnych realiach interesów dynastycznych, możnowładczych i sąsiedzkich powiązań.

Nie należy wpadać jednak w koleiny narracji preferowanej przez prof. Romanowskiego. Jak bowiem pisał Hans Morgenthau, zdrada jest racjonalnym narzędziem polityki, wynikającym ze zmiennego układu sił.

Jak pisał Hans Morgenthau, zdrada jest racjonalnym narzędziem polityki, wynikającym ze zmiennego układu sił.

Takich „zdrad" wobec Polski było wiele ze strony innych państw. Coraz częściej odchodzimy jednak od takiego wartościującego modelu pojmowania historii na rzecz jej racjonalnej interpretacji, uwzględniając ogół czynników mających wpływ na dynamikę zachodzących zdarzeń. Dlaczegóż więc dla Ukrainy mielibyśmy robić wyjątek? Wyrażony w artykule apel do „braci Ukraińców": „Panowie, żadnych złudzeń. Nie dajcie się nabrać. Polacy nigdy wam nie byli życzliwi. Zdradzali, więc i teraz zdradzają", jest tyleż przejawem naiwności politycznej, co i oderwaniem od reguł rządzących światem polityki. Nie mówiąc już o tym, że zatruwa jadem ledwo dziś tlący się dialog polsko-ukraiński.

Skoro jednak, jak apeluje profesor, „żadnych złudzeń", to na koniec zastanówmy się, czy ten apel nie powinien być skierowany także do Polaków. Oto jego przesłanki.

Całkiem niedawno ówczesny minister spraw zagranicznych Ukrainy Dmytro Kułeba stwierdził publicznie, że w akcji „Wisła" Ukraińcy zostali deportowani z terenów ukraińskich. Słowa Marszu Nowej Armii mówią o walce o zjednoczoną Ukrainę od Sanu po Kaukaz. Zachar, Ukrainiec spod Żytomierza, który przez niemal 10 lat z krótkimi przerwami pracował w gospodarstwie rolnym mojego kuzyna i był traktowany jak członek rodziny, będąc na przepustce z frontu, mówi przez telefon: „Po co tak się męczycie? Najpierw pokonamy Rosjan, a później do was też przyjdziemy". I nie był to wcale makabryczny żart. Historyk Wiktor Brechunenko publikuje książkę pod wiele mówiącym tytułem „Historyczne kresy Ukrainy i współczesne granice ukraińskim kosztem".

Nie przekonują mnie usprawiedliwienia, że Ukraińcy, nie posiadając w przeszłości własnego państwa, muszą sięgać pamięcią do swoich etnicznych ziem. Z takim myśleniem nie wchodzi się do cywilizowanej Europy. Chyba że centra tej Europy z Brukseli i Strasburga przesuną się do Lwowa i Kijowa.

A więc faktycznie: żadnych złudzeń, panowie! Te pozostawmy pożytecznym idiotom i politykom III RP. ■

Przegląd
Zapisz się na NEWSLETTER na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 68802d276f



MAMDANI
więcej niż burmistrz

Młodzi socjaliści w USA bez rewolucji, ale z wielką zmianą

Mateusz Mazzini

Od objęcia przez Zohrana Mamdaniego stanowiska burmistrza Nowego Jorku, prawdopodobnie najważniejszej funkcji w amerykańskiej polityce samorządowej, minęło nieco ponad siedem miesięcy. Za wcześnie na miarodajne oceny jego pracy. Rzadko kiedy efekty reform tak głębokich jak te, które zapowiedział Mamdani, widać po krótkim okresie. Mało tego, większości zmian nie udało się jeszcze wdrożyć. Można oczywiście koncentrować się na kwestiach czysto wizerunkowych – popularnych konferencjach prasowych w czasie finałów ligi NBA, kiedy o mistrzostwo po kilku dekadach przerwy walczyła lokalna drużyna Knicksów, albo potyczkach retorycznych z innymi, znacznie starszymi politykami Partii Demokratycznej, popieranymi przez AIPAC i inne proizraelskie organizacje lobbingowe. Jednak najważniejsza konkluzja w kontekście amerykańskiej polityki jest dość oczywista: świat się nie zawalił.

Mimo wszystko podobni

Stany Zjednoczone nie zostały pomalowane na czerwono ani nie przekształciły się w federację komunistyczną. Mamdani nie znacjonalizował majątków, nie zorganizował bojówek hunwejbinów, nie okazał się terrorystą, nie przekształcił swojego miasta w enklawę islamskiego radykalizmu. A właśnie takie i podobne zarzuty stawiano mu jeszcze w kampanii wyborczej.

Biorąc pod uwagę, że, jak wylicza „The Wall Street Journal", w tym mieście rezydenturę podatkową deklaruje 364 tys. milionerów, bogaci Nowojorczycy teoretycznie mieli czego się bać. Wszak Mamdani obiecywał coś, co w amerykańskiej polityce jest nieobecne co najmniej od czasów Ronalda Reagana, a może dłużej – redystrybucję majątku w dół, a nie w górę drabiny społecznej.

Okazało się, że nawet Donald Trump jest w stanie dogadać się z Mamdanim bez większego problemu, chociaż wcześniej wyzywał go od komunistów i terrorystów, groził także zamrożeniem federalnych grantów na inwestycje infrastrukturalne dla Nowego Jorku w przypadku zwycięstwa 34-letniego członka Demokratycznych Socjalistów Ameryki (DSA), lewego skrzydła Partii Demokratycznej. Do niczego takiego nie doszło, Nowy Jork uniknął nawet przesadnie brutalnego desantu policji imigracyjnej ICE czy obecności Gwardii Narodowej na ulicach.

Częściowo to bezbolesne współistnienie jest podyktowane bliskością ich stylów uprawiania polityki. Mimo 46-letniej różnicy wieku i tego, że pod względem doświadczenia życiowego, światopoglądu i orientacji ideologicznej (której Trump w ogóle nie ma) dzieli ich właściwie wszystko, obaj doskonale odnajdują się w polityce czasów ekonomii uwagi.

Jak wiele miesięcy temu zauważył Chris Hayes, prezenter stacji MS NOW oraz autor popularnej książki „The Sirens' Call" o roli uwagi w amerykańskiej polityce, Mamdani jest pierwszym, który zrozumiał, jak zbudować kampanię, a potem całą bazę wyborców, opierając się na TikToku i narzędziach w pełni internetowych. Nikt przed nim w amerykańskiej polityce nie zorganizował konferencji prasowej wyłącznie dla

FOT. REX FEATURES/EAST NEWS

eprasa.pl 68802d276f

Burmistrz Nowego Jorku Zohran Mamdani na otwarciu sezonu basenowego w mieście, 27 czerwca 2026 r.

influencerów. Tradycyjnymi mediami Mamdani też nie gardzi, rozmawiał zarówno z „New York Timesem", jak i z Davidem Remnickiem, redaktorem naczelnym „New Yorkera", ale priorytet ma dla niego internet. To tam dzisiaj są jego odbiorcy, a zarazem wyborcy.

Trump zarządza amerykańską i do pewnego stopnia globalną uwagą z podobną skutecznością. Nawet jeśli używa innych metod, komunikuje się bezpośrednio, często wulgarnie – i to działa. Dlatego spotkanie panów w Białym Domu było korzystne dla obu stron. Jeden i drugi mógł liczyć na olbrzymie zainteresowanie, zasięgi na platformach internetowych i falę komentarzy. W dzisiejszej polityce niestety rzadko chodzi o coś innego, zwłaszcza za oceanem.

Nowa era

Na razie więc Nowy Jork się nie zawalił. Nie znaczy to jednak, że nic się nie zmieniło. Wręcz przeciwnie, nie będzie przesady w stwierdzeniu, że amerykańska polityka znajduje się na progu nowej ery. Z wielu powodów – od całkowitego rozpadu powojennej, paternalistycznej prawicy, przez radykalizację, powrót antysemityzmu, rosnące przyzwolenie na przemoc, po międzypokoleniowy, niemal powszechny już sprzeciw wobec rewolucji sztucznej inteligencji.

Krok po kroku – a właściwie prawybory po prawyborach – dokonuje się znacznie ciekawsza zmiana. Mamdani przestaje być straszakiem i osobliwością, staje się twarzą całego ruchu. Kolejni członkowie DSA wchodzą do politycznego głównego nurtu, wygrywając starcia ze znacznie bardziej doświadczonymi kolegami po fachu. Często pomaga im właśnie bliskość i poparcie burmistrza albo katastrofalnie niski poziom zaufania do dawnych liderów Partii Demokratycznej.

Tyle że w polityce przyczyna sukcesu często jest wtórna. Gdy ktoś wygrywa wybory, elektorat rzadko się zastanawia, dlaczego tak się stało. Liczą się wyniki, a te młodzi amerykańscy socjaliści mają coraz lepsze.

Od razu jednak należy przekłuć balonik oczekiwań co do lewicowego skrętu demokratów. Ostatnie wyborcze sukcesy takich polityków jak Brad Lander, Claire Valdez czy Cori Bush nie oznaczają, że Ameryka zaraz będzie miała socjalistycznego prezydenta, rząd federalny o socjalistycznych zapatrywaniach i zbuduje państwo dobrobytu na wzór powojennych demokracji Europy Zachodniej.

Tak się nie stanie, przynajmniej nie w ciągu jednej, dwuletniej kadencji Kongresu. Wprawdzie, jak wylicza portal Sabato's Crystal Ball, jedna z popularniejszych witryn analizujących trendy sondażowe, przed wyborami połówkowymi do Kongresu, które odbędą się w listopadzie, aż 90 kandydatów w całym kraju w prawyborach demokratów ma poparcie DSA, lecz nie wszyscy wygrają, nie wszyscy też dostaną się na Kapitol.

Kolejni socjaliści wchodzą do politycznego głównego nurtu, wygrywając starcia z bardziej doświadczonymi kolegami.

Co więcej, ich programy są dalekie od radykalnych. Większość z nich wywodzi się z ruchu związkowego i wysuwa postulaty związane z prawami pracowniczymi.

Dwójka nowojorskich socjalistów, Lander i Valdez, mówi o zwiększeniu puli tanich mieszkań na wynajem oraz poprawieniu dostępu imigrantów do usług prawnych. Lander stawia także na dostęp do powszechnej służby zdrowia, którą oczywiście najpierw trzeba by stworzyć, wszak w USA takowa nie istnieje. Valdez chciałaby zakończyć amerykański imperializm w Ameryce Łacińskiej i sprzedaż broni ofensywnej Izraelowi. Za daleko idący, przynajmniej na tle innych demokratów, można co najwyżej uznać postulat, który ich łączy – całkowitą likwidację ICE. Ale że według wiosennych badań opinii publicznej pracowni YouGov pomysł ten popiera połowa Amerykanów, trudno na tej podstawie zapisać wspomnianą dwójkę do ekstremistów.

Zohran Mamdani jako pierwszy zrozumiał, jak zbudować kampanię i bazę wyborców, opierając się na TikToku.

W dodatku, co na łamach „New York Timesa" nieustająco przypomina były speechwriter Baracka Obamy Benjamin Rhodes, ICE powstało dopiero w 2003 r., wraz ze stworzeniem Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (DHS) w następstwie ataków z 11 września i rozpoczęcia przez administrację Busha juniora wojny z terroryzmem. Wcześniej kwestie imigracyjne podlegały Departamentowi Sprawiedliwości – i powrotu do takiego stanu rzeczy domagają się socjaliści. Nic więc nowego, przeciwnie, chodzi o ograniczenie ogromnej roli i rozmiaru rządu federalnego – coś, za czym powinni być nawet republikanie i ekonomiczni neoliberałowie.

Poza tym zryw socjalistyczny nigdy nie będzie możliwy w całej Ameryce. Mamdani mógł zostać burmistrzem tylko w Nowym Jorku albo w podobnych miastach, bo tylko takie aglomeracje stać na kogoś takiego, dosłownie i w przenośni. Podniesienie podatków, zamrożenie czynszów, darmowa komunikacja publiczna, miejskie sklepy spożywcze – to wszystko jest możliwe i trafia na podatny grunt jedynie w społecznościach o postępowych poglądach gospodarczych. Takie zaś istnieją w USA wyłącznie w dużych, liberalnych miastach. Co więcej, wyłącznie samorządy mające wśród podatników setki milionerów mogą sobie pozwolić na jakąkolwiek redystrybucję. Większość władz lokalnych w Stanach Zjednoczonych nie ma tego luksusu. To często

eprasa.pl 68802d276f

poprzemysłowe, wyludniające się hrabstwa i miasteczka, trawione problemami strukturalnymi, takimi jak epidemia opioidów, przestępczość zorganizowana, wykluczenie komunikacyjne, a nawet problemy tak banalne jak dostęp do zdrowej żywności – w wielu miejscach za oceanem nieosiągalnej.

Do tej listy należy dodać wpływ Kościołów neoprotestanckich, ogromne pieniądze wkładane do amerykańskiej polityki przez koncerny technologiczne i liderów z Doliny Krzemowej – ludzi o poglądach jawnie autokratycznych, niekiedy faszystowskich. W Luizjanie, Arkansas czy Tennessee nie zatriumfuje demokratyczny socjalizm. Ale też nie musi, bo nie w tym rzecz.

Europejskie Stany Ameryki

Fala zwycięstw kandydatów popieranych przez DSA jest tak naprawdę symptomem głębszej zmiany w polityce. Powoli – bo to również nie stanie się gwałtownie – eroduje tam system dwupartyjny.

Partie Demokratyczna i Republikańska nie są już wielkimi namiotami postawionymi na gruncie wspólnych przeżyć klasowych i generacyjnych. Podobnie jak w Wielkiej Brytanii – innej anglosaskiej demokracji z jasno podzieloną sceną partyjną – tradycyjne ugrupowania nie są w stanie zdobyć poparcia ogromnych części społeczeństwa, bo przestał już istnieć świat, w którym funkcjonowały. Dla lewicy to związki zawodowe, wielkie fabryki, wspólne gazety i radiostacje, nawet restauracje dla klasy pracującej. Dla prawicy – scentralizowane grupy wyznaniowe, lokalne organizacje społeczne, inicjatywy skupione wokół filantropii.

Wielkie partie polityczne, co od dawna przepowiada bułgarski politolog Iwan Krastew, mogą niedługo całkowicie wyczerpać swoją funkcję. Powstały ponad 100 lat temu jako instytucje organizujące życie polityczne oraz jako megafony, przekaźniki komunikacyjne. Istniały, bo liderzy nie byli w stanie przekazać swoich idei wszystkim wyborcom bezpośrednio. Dzisiaj, w dobie platform internetowych i polityki coraz bardziej skupionej na osobowościach, organizacje, instytucje oraz praca u podstaw stają się zbędne. I nie ma co wartościować, czy jest to zmiana na dobre, czy na złe – w końcu jej beneficjentami są zarówno Trump, jak i Mamdani.

Im bardziej amerykańskie społeczeństwo staje się różnorodne, zatomizowane i poszatkowane – tym więcej przestrzeni pojawia się dla nowych ruchów politycznych. To nie muszą być od razu potęgi na szczeblu federalnym, które w skali

W USA powoli eroduje system dwupartyjny.

1:1 zastąpią demokratów i republikanów. Wbrew diagnozom publicystycznym ani jedni, ani drudzy nigdzie się nie wybierają. Wciąż stoją za nimi potężne pieniądze, dekady tradycji, a społeczeństwo się starzeje, więc wyborców przywiązanych do starych idei zawsze już będzie więcej niż młodych, gotowych na polityczne nowinki.

Bardziej realny wydaje się scenariusz, w którym tzw. Never Trumpers, prawicowi politycy brzydzący się współpracą z obecnym prezydentem, zawiążą sojusz z centrystami i starymi elitami Partii Demokratycznej. Przedsmak takiej „wielkiej koalicji" mieliśmy zresztą w 2024 r., kiedy kandydaturę Kamali Harris wsparła Liz Cheney, córka byłego wiceprezydenta z czasów George'a W. Busha, ostra przeciwniczka Trumpa, a jednocześnie ikona amerykańskiego konserwatyzmu.

Wszystko to prowadzi do wniosku, który wielu amerykańskich komentatorów najpewniej by oburzył, zwłaszcza ludzi pokroju J.D. Vance'a, nienawistnych wobec współczesnej Europy. Otóż amerykańska polityka, zbudowana na dwóch monolitach, w szybkim tempie staje się coraz bardziej europejska. Pojawiają się w niej postulaty, które na Starym Kontynencie są w głównym nurcie od czasów powojennych – i przestają już być – tabu, czego dowodzi fakt, że według badań YouGov 33% młodych Amerykanów uważa, że kapitalizm jest lepszą doktryną od socjalizmu, ale 29% sądzi odwrotnie. Różnica jest niewiele większa od błędu statystycznego. W dodatku na scenie partyjnej tworzy się miejsce dla nowych inicjatyw, podobnych do partii molochów, ale różniących się szczegółami.

W ubiegłorocznej Narodowej Strategii Bezpieczeństwa USA znalazło się stwierdzenie, że europejskie państwa są słabe, bo rządzą nimi nieskuteczne i dysfunkcyjne koalicje. Gideon Rachman z „Financial Timesa" pisał wtedy, że cały ten dokument to projekcja amerykańskich lęków na Europę. Być może właśnie w zmianach partyjnych ta teza ma największe potwierdzenie.

Mateusz Mazzini



eprasa.pl 68802d276f



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Mamy nową rzeczniczkę praw obywatelskich – głosami większości koalicyjnej bez większych zaskoczeń zostaje nią Sylwia Gregorczyk-Abram. Żywię przekonanie, że jej pracę w tej roli będziemy mogli ocenić po owocach, ale nad samym trybem wyboru najważniejszego urzędnika działającego na rzecz strony społecznej, obywatelskiej, a nie władzy, także warto się pochylić. „Mieliśmy" (czyli parlament miał) wybór albo-albo. Z jednej strony, bardzo rozpoznawalna, przebojowa i kompetentna adwokatka, zaangażowana w latach dominacji Zjednoczonej Prawicy w inicjatywę Wolne Sądy i inne kwestie praworządnościowe. Z drugiej – Adam Borowski, solidarnościowy opozycjonista z kartą politycznej odsiadki w latach 80., dzisiaj 71-letni, człowiek sercem i duszą oddany PiS, bez żadnego formalnego przygotowania prawnego, który „doświadczenie o prawach człowieka zdobywał w więzieniu". Dysproporcja kompetencyjna jest ogromna, co nie powinno nas zwalniać z zadania sobie pytania, dlaczego tylko z tak spolaryzowanej dwójki musiał zostać dokonany wybór. Dlaczego nie stało się dobrym standardem, że różne środowiska, stowarzyszenia i grupy działające na rzecz praw człowieka mają szansę zaproponować swoich kandydatów? Może procedura trwałaby trochę dłużej, ale nie zostawiałaby pewnego zniesmaczenia tak referendalnym wariantem: albo ona, albo on.

RPO – kto to, po co, dlaczego?

Rzecz jasna, wybór Gregorczyk-Abram będzie stanowił dla niej samej spore wyzwanie, jeśli chodzi o kontrolę poczynań koalicji rządzącej, bliskiej jej politycznie i środowiskowo. Teraz będzie budowała swój kapitał polityczny i zawodowy na całe dalsze życie. Czy będzie umiała wyrazić twardy sprzeciw, kiedy „jej" rząd będzie w dalszym ciągu słusznie narażony na krytykę, żeby przywołać chociażby sprawę zawieszenia prawa azylowego, utrzymywanie nadmiarowo i przesadnie stosowanej procedury aresztu tymczasowego?

Żeby trochę odegrać rolę adwokata diabła, chcę rozważyć argumenty na rzecz powołania na ten urząd osoby spoza elity prawniczej, kogoś, kto – w jakimś stopniu można tak nazwać Borowskiego – jest trybunem ludowym, o życiowym doświadczeniu konfrontacji z systemem nieszanującym praw człowieka. Być może po kilku dekadach obsadzania w tej roli profesury i elity akademicko-zawodowej taki pomysł miałby rację bytu? Nie mogę tego wykluczyć.

Problem w tym, że nie mamy szansy tego przetestować, a Borowski takich oczekiwań – bycia trybunem ludowym żądnym sprawiedliwości dla słabszych – po prostu nie spełnia. Sam zapowiadał, że jako rzecznik praw obywatelskich będzie „krzyczał i wrzeszczał". To nie te kompetencje, o które chodzi. Człowiek, który używa zapiekłego języka antykomunistycznego sprzed 1989 r., który miarą niepraworządności w obecnej Polsce nazywa status „prześladowanego politycznie" Bąkiewicza, brzmi niepoważnie. Borowski to de facto przedstawiciel skrajnie prawicowej, awanturniczej formacji politycznej, która w latach 2015-2023 sprawowała tu niemal niepodzielną władzę. Choć więc jestem otwarty na złamanie schematu: wybieramy profesora albo prawnika z wieloletnim doświadczeniem, pomysł, że miałoby paść na Borowskiego, w ogóle mnie nie przekonuje.

W wyborze mecenas Sylwii Gregorczyk-Abram widzę też polityczną kalkulację obecnie rządzących, że gdyby (co bardzo prawdopodobne) przegrali kolejne wybory parlamentarne i utracili rządy, odgrywałaby ona rolę Bodnara bis w kontrze do nowej władzy. Zatem największym sprawdzianem dla Gregorczyk-Abram będzie najbliższy rok i patrzenie na ręce obecnej władzy, która wynosi ją na to stanowisko.

RPO, przy braku choćby prawdziwych i realnie służących społeczeństwu, a nie narodowi, państwu, rządowi, partii, mediów publicznych, pozostaje niemal jedyną instytucją, która może sprawować mniej lub bardziej skuteczną kontrolę nad rządzącą ekipą w interesie obywateli. Jeśli miałbym czegoś życzyć nowej RPO, to właśnie niezmarnowania takich oczekiwań oraz odwagi i determinacji do przeciwstawienia się nadużyciom i błędom władzy bliższej jej sercu. To zaowocuje, zarówno jeśli idzie o interes społeczny, jak i dla samej pani mecenas, dla jej dalszej kariery – czy będzie to droga do „wielkiej" polityki, czy kontynuacja kariery wyróżniającej się prawniczki. Jako osoba od lat zaangażowana w obronę praw człowieka Sylwia Gregorczyk-Abram jest do odegrania takiej roli przygotowana, ma również godne uznania doświadczenie. Ważne wydaje mi się, żeby nie traciła z oczu tej dalszej perspektywy w interesie doraźnej lojalności politycznej.

Za taką formułę społecznej odpowiedzialności za praworządność w Polsce jestem gotów trzymać kciuki. Życzyłbym zatem mecenas Gregorczyk-Abram włączenia do swojej puli kapitału merytorycznego i kompetencyjnego owego genu i fermentu trybunki ludowej – to może być nowy rozdział w formule pełnienia urzędu RPO. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 68802d276f



WŁOCHY JAK KARAIBY

Kiedy upalne lato przestaje być rajem

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

– O Boże, do Europy nadciąga karaibski klimat… Ale na Karaibach od dawna żyją w takich warunkach i jakoś sobie radzą. My też się do tego przyzwyczaimy, nie umrzemy – stwierdził przewodniczący włoskiego Senatu Ignazio La Russa, komentując falę upałów, która pod koniec czerwca objęła znaczną część Europy i mocno dotknęła Półwysep Apeniński. Słowa drugiej osoby w państwie wywołały burzliwą dyskusję. Dla jednych były wyrazem zdrowego rozsądku, dla drugich – niebezpiecznym uproszczeniem. Krytycy podkreślali, że zmiany klimatu to nie tylko wyższe temperatury, ale i susze, gwałtowne burze, pożary oraz rosnące straty gospodarcze.

Liczby nie pozostawiają wątpliwości – czerwcowa fala upałów miała historyczną skalę. Choć pierwsza połowa miesiąca była chłodniejsza, w drugiej temperatury w wielu regionach przekraczały normę o 7-9 st. C. W Mediolanie i Turynie padły rekordy czerwca – niemal 38 st.

30 czerwca aż 25 włoskich miast objęto najwyższym stopniem ostrzeżenia przed upałami – *bollino rosso*. Czerwony alert ogłaszany jest, gdy ekstremalne temperatury utrzymują się przez kilka dni i nocy, stwarzając zagrożenie dla całej populacji. To najwyższy poziom w czterostopniowym systemie ostrzeżeń Ministerstwa Zdrowia. I rzeczywiście w wielu miejscach również noce pozostawały wyjątkowo gorące, uniemożliwiając organizmowi regenerację.

Rekordowe zużycie energii przez klimatyzatory przeciążyło sieć elektroenergetyczną. W Turynie, Mediolanie i Neapolu doszło do lokalnych blackoutów. Jednocześnie temperatura mórz otaczających Włochy osiągała 27-28 st., miejscami nawet o 6 st. przekraczając średnią sezonową.

Ekstremalne temperatury odnotowano w całej Europie. W hiszpańskim Andújar 45,1 st. C, w Bordeaux 42 st., w Rzymie ponad 40 st., w Czechach 40,6 st., w Niemczech 41,5 st., a w Polsce – w Słubicach – 40,5 st., najwyższą temperaturę w historii oficjalnych pomiarów. Według Światowej Organizacji Zdrowia w ciągu jednego tygodnia fala upałów mogła się przyczynić do ponad 1,3 tys. zgonów.

Klimatolodzy podkreślają, że jeszcze pół wieku temu tak silna fala gorąca już w czerwcu byłaby niemożliwa. Dziś wyzwaniem jest więc

FOT. ANDREAS SOLARO/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 68802d276f

Burmistrz Roberto Gualtieri zdecydował o ustawieniu armatek wodnych przy Koloseum, aby turyści mogli się schłodzić. Rzym, 26 czerwca 2026 r.

nie samo przyzwyczajenie się do wyższych temperatur, lecz dostosowanie miast, ochrony zdrowia, energetyki i gospodarki do nowej rzeczywistości klimatycznej.

A to dopiero początek

Przed nami jeszcze sierpień, który budzi coraz większe obawy. Włosi analizują już dane z ubiegłego roku i tworzą nową klasyfikację. Raport Krajowego Systemu Ochrony Środowiska (SNPA) pokazuje, że 2025 był kolejnym rekordowo ciepłym rokiem i zapowiedzią tego, z czym kraj zmierzy się w 2026. To, co jeszcze niedawno uznawano za pogodowe ekstremum, staje się normą. Coraz częściej mówi się wręcz o karaibizacji Włoch – w sensie tropikalnych temperatur, wysokiej wilgotności powietrza i gwałtownych zjawisk atmosferycznych.

Najbardziej niepokojące jest to, co się dzieje z morzem. Wody otaczające Włochy nagrzewają się coraz mocniej. Latem Adriatyk miejscami osiąga temperaturę niemal 30 st., przypominając ciepłą zupę. Zamiast chłodzić wybrzeże, magazynuje dziś ogromne ilości energii, sprzyjając nawałnicom.

– Stałe ocieplanie się włoskich mórz nie jest prognozą na przyszłość, lecz rzeczywistością. Wymaga natychmiastowych wyborów opartych na wiedzy naukowej oraz zdolności do zapobiegania i adaptacji do zachodzących zmian – ostrzega Maria Alessandra Gallone, prezeska SNPA.

Od ponad 20 lat niemal każdy rok we Włoszech okazuje się cieplejszy od poprzednich. Już nie tylko lata są coraz gorętsze – ocieplają się wszystkie pory roku. To znak, że zmiana klimatu przestała być sezonowym problemem.

Zmienia się też charakter opadów. Południe doświadcza wielomiesięcznych susz – w części Kalabrii deszcz nie padał przez 121 dni, a na Sardynii i Sycylii przez prawie cztery miesiące. Jednocześnie północ zmaga się z gwałtownymi ulewami, powodziami, gradobiciami i lokalnymi trąbami powietrznymi. Choć roczna suma opadów pozostaje podobna, deszcz pada rzadziej, ale znacznie intensywniej, co skutkuje zalaniami.

W 2025 r. we Włoszech odnotowano 612 pożarów lasów, które strawiły niemal 85 tys. ha – o połowę więcej, niż wynosi średnia z poprzednich dwóch dekad.

Dziś zeszłoroczne dane nie są już historycznym podsumowaniem, lecz stanowią punkt odniesienia pokazujący tempo zmian. Włoskie miasta tworzą schronienia klimatyczne, instalują kurtyny wodne oraz rozwijają systemy ostrzegania i plany ochrony mieszkańców. Coraz wyraźniej widać, że obok ograniczania emisji równie pilne staje się dostosowanie do nowej rzeczywistości pogodowej.

Mordercze upały w stolicy

Rzym już odczuwa skutki zmian klimatu. Podczas czerwcowej fali upałów było tak gorąco, że burmistrz Roberto Gualtieri zdecydował o ustawieniu armatek wodnych przy Koloseum, aby turyści mogli się schłodzić. Na terenie Wiecznego Miasta, odwiedzanego w ostatnich latach przez ok. 30 mln turystów rocznie, jest coraz więcej wysp ciepła, czyli miejsc, gdzie beton i asfalt kumulują temperaturę tak bardzo, że nagrzana powierzchnia w pełnym słońcu może przekraczać 60 st. C. Jedną z takich stref są okolice dworca Termini.

Drugi Raport Monitoringu Klimatycznego nie pozostawia złudzeń: 2025 r. należał do najgorętszych w historii miasta. Odnotowano 101 nocy tropikalnych, podczas których temperatura nie spadła poniżej 20 st., 41 dni z temperaturą przekraczającą 35 st. oraz ani jednego dnia mroźnego.

Raport ów, przygotowany przez władze stolicy we współpracy z Euro-Śródziemnomorskim Centrum Zmian Klimatu (CMCC), wskazuje, że miasto musi się przygotować na coraz częstsze fale upałów, gwałtowne ulewy, ryzyko powodzi, problemy z dostępem do wody oraz skutki podnoszenia się poziomu Morza Tyrreńskiego. Prognozy do połowy XXI w. przewidują wzrost średniej temperatury o 1,2-1,8 st., nawet trzykrotny wzrost liczby fal upałów oraz do 28 dni w roku z temperaturą odczuwalną przekraczającą 45 st.

Odpowiedzią miasta jest Piano Caldo – pierwszy plan na upały, który ma się stać częścią strategii przystosowania do zmian klimatu. Przedstawiony został na początku lipca przez burmistrza na Kapitolu.

Już dziś Rzym wspiera najbardziej narażonych mieszkańców poprzez tworzenie wielofunkcyjnych centrów pomocy i dostarczanie posiłków, bezpłatny wstęp na miejskie baseny oraz organizację letnich zajęć dla dzieci. Miasto chce powiększyć tereny zielone o 187 ha i usunąć nawierzchnie betonowe i asfaltowe z ponad 44,5 tys. m kw. powierzchni. Rozwija sieć poidełek z wodą pitną, modernizuje szkoły i domy seniora oraz tworzy schronienia klimatyczne.

Włoskie miasta tworzą schronienia klimatyczne, instalują kurtyny wodne oraz rozwijają systemy ostrzegania i plany ochrony mieszkańców.

Powstało ich już 660 – 178 wewnątrz budynków i 482 na otwartej przestrzeni. Administracja kapitolińska rozważa też wykorzystanie dawnych kamieniołomów, wyrobisk, tuneli i katakumb jako schronień klimatycznych. W podziemiach temperatura przez cały rok utrzymuje się na poziomie 14-17 st. C, dlatego mogłyby się stać miejscem ucieczki w okresie wysokich temperatur. Pomysł budzi jednak pytania o bezpieczeństwo, dostępność i koszty.

Do 2035 r. miasto planuje dalszą rozbudowę parków, tworzenie zacienionych przestrzeni publicznych, modernizację budynków oraz sieci energetycznej i wodociągowej. Chodzi o to, aby każdy mieszkaniec

eprasa.pl 68802d276f

mógł dotrzeć do schronienia pieszo w ciągu 15 minut. Na realizację programu przeznaczono 50 mln euro w ciągu pięciu lat, kolejne środki mają pochodzić z funduszy krajowych i europejskich.

Rzym wykorzystuje także nowoczesne technologie. Na miejskich śmieciarkach spółki AMA zamontowano czujniki temperatury i wilgotności, które wykonały już ponad 1,2 mln pomiarów, tworząc szczegółową mapę wysp ciepła. Analizy wykazały, że 868 ulic należy do najbardziej zagrożonych z powodu połączenia wysokiej temperatury i wilgotności. Na tej podstawie zmieniono organizację pracy służb komunalnych, a władze regionu Lacjum zakazały pracy na otwartym powietrzu między godz. 12 a 16 w dni objęte czerwonym alertem.

– Fale upałów nie są już zjawiskiem wyjątkowym, lecz nową rzeczywistością klimatyczną. Rzym nie zaczyna od zera – jesteśmy pierwszym włoskim miastem, które przygotowało tak kompleksowy plan. Potrzeba jednak większego wsparcia państwa, ponieważ dotąd nie przeznaczono środków na krajowy program adaptacji do zmian klimatu – podkreśla dyrektor rzymskiego Biura ds. Klimatu Edoardo Zanchini.

Zmiany klimatu najmocniej uderzają w tych, którzy mają najmniejsze możliwości bronienia się przed nimi. W Rzymie najbardziej narażeni są samotni seniorzy, osoby przewlekle chore, rodziny o niskich dochodach, bezdomni oraz osoby pracujące na otwartej przestrzeni. Szczególnie trudna sytuacja panuje na gęsto zabudowanych peryferiach, takich jak Tor Bella Monaca, Primavalle czy Tiburtino. Brakuje tam parków i drzew, a beton i asfalt tworzą wspomniane wyspy ciepła.

Problemem staje się również ubóstwo energetyczne. Wielu mieszkańców nie stać na zakup klimatyzacji lub opłacanie wysokich rachunków za prąd – żyją w mieszkaniach, które nie zapewniają ochrony ani przed letnim skwarem, ani przed zimową wilgocią.

Wachlarz, wiatrak i lód

Włosi od pokoleń wypracowywali własne strategie radzenia sobie z ekstremalnymi temperaturami. W czasie fali upałów zmienia się rytm całego dnia – zarówno życie w domach, jak i funkcjonowanie miast.

Wyzwaniem jest nie przyzwyczajenie się do wyższych temperatur, lecz dostosowanie do nich otoczenia.

– O godz. 8 rano szczelnie zamykam wszystkie okna razem z okiennicami i otwieram je dopiero wieczorem. Staram się nie używać klimatyzacji, korzystam tylko z wentylatora. W tym roku kupiłam sobie nowy. Wieczorem okładam się lodem, żeby zasnąć – mówi moja sąsiadka Anna, która ma już 86 lat. – Z domu wychodzę wcześnie rano albo po godz. 18, gdy gorąco trochę zelżeje. Wachlarz mam zawsze przy sobie – dodaje.

Podstawową zasadą jest ochrona wnętrz przed nagrzaniem. W domach przez cały dzień okna i okiennice pozostają szczelnie zamknięte. Dopiero po zachodzie słońca, aż do poranka, są otwierane na oścież, by schłodzić mieszkanie.

Wysokie temperatury zmieniają też rytm życia i pracy. Między godz. 13 a 17, gdy żar jest taki, że asfalt topi się pod nogami, wiele miast wyraźnie pustoszeje. Sklepy i biura często wydłużają popołudniowe przerwy, a część pracowników kończy dzień później niż zwykle. Powraca także tradycyjna *pennichella* – krótka popołudniowa drzemka, która pozwala odzyskać siły i uniknąć aktywności w najgorętszych godzinach. Ten rytm ma jednak swoją cenę – gorszy sen, zmęczenie, rozdrażnienie i mniejszą wydajność w ciągu dnia.

W walce ze skwarem pomagają oczywiście proste rozwiązania: powracają wachlarze, pojawiły się małe wentylatory zasilane przez USB, w celu ochrony przed słońcem nosi się parasolki.

W ekstremalnych temperaturach szczególnego znaczenia nabierają odpowiednie nawodnienie i dieta. Ministerstwo Zdrowia zaleca picie co najmniej 1,5-2 litrów wody dziennie, nawet gdy pragnienie nie jest odczuwalne, ograniczenie alkoholu, kawy i słodzonych napojów. Specjaliści radzą wybierać produkty lekkie i bogate w wodę: przede wszystkim warzywa i owoce, ciężkie potrawy zastąpić zimnymi daniami, takimi jak caprese z pomidorów i mozzarelli, prosciutto z melonem, sałatki na bazie ryżu czy zimnego makaronu, oraz ograniczyć nadmiar soli.

W upalne dni najlepiej sprawdzają się jasne, lekkie ubrania z naturalnych tkanin, takich jak bawełna i len, które ułatwiają odprowadzanie ciepła. Niezbędne stają się nakrycia głowy: kapelusze i czapki, no i okulary przeciwsłoneczne z filtrem UV.

Uwagę zwraca się na bezpieczeństwo w samochodach. Przed wejściem należy przewietrzyć rozgrzaną kabinę, a przede wszystkim nigdy nie zostawiać w zamkniętym pojeździe dzieci ani zwierząt, nawet na kilka minut.

Latem Adriatyk miejscami osiąga temperaturę niemal 30 st.

W miastach mieszkańcy i turyści korzystają często z fontann publicznych. W Rzymie popularne *nasoni* – charakterystyczne miejskie poidełka – służą nie tylko do picia wody, ale również do schładzania dłoni, twarzy i karku podczas najgorętszych dni.

Te codzienne zwyczaje pokazują, że Włosi od dawna żyją w wysokiej temperaturze, lecz karaibizacja to coś innego. Skala obecnych zmian klimatycznych sprawia, że tradycyjne sposoby muszą być uzupełniane nowymi rozwiązaniami: od klimatyzowanych schronień dla dużej liczby osób po miejskie systemy ochrony i wspomagania mieszkańców.

Agnieszka Zakrzewicz

eprasa.pl 68802d276f



Oko w oko Tomasz Jastrun

W jednym łóżku

Upadek autorytetów, zamęt i bałagan internetu, pogarda dla faktów i wiedzy. Świetna baza dla populizmu. Zdrowy rozsądek, liberalizm i demokracja wobec populizmu mają bardzo trudne zadanie. Populizm bazuje na tym, co w człowieku pierwotne i instynktowne. Też na lęku. A lęk jest odwiecznym towarzyszem człowieka. Również lęk przed obcymi, który powoduje solidarność ze stadem, z plemieniem. Populizm uwielbia kłamstwa, więc populiści kłamią jak najęci i nawet zaczynają wierzyć we własne kłamstwa. Kłamią, korzystając z doświadczeń faszyzmu i komunizmu. Strona liberalna nie może odpowiedzieć kłamstwami, zresztą w ustach demokratów byłyby niewiarygodne. Jaka ideologia powstanie z melanżu patrzenia na świat i wizji Polski PiS, Konfederacji i Brauna? Nie starcza nam na to na razie wyobraźni. Im zresztą też nie. Te trzy partie rozebrane w jednym łóżku – co za pokraka. Dobre współżycie w dłuższej perspektywie jest niemożliwe, więc i sytuacja może być niemożliwa.

•

Faszyzm nigdy nie ginie, zapada tylko w sen. I czeka na przebudzenie. Na razie jedynie coś przez sen pomrukuje, pochrapuje, ale jedno oko ma już otwarte. Nawrocki jest nacjonalistą, jego młodzi zwolennicy, ci bardziej światli, mówią: ale to przecież nic złego. Są za młodzi, by wiedzieć, że nacjonalizm zawsze prowadzi do wojny. Nacjonaliści na początku wspierają się – patrz: Orbán, Nawrocki, Trump… – by potem rzucić się do gardła słabszym, a później sobie nawzajem. Dlatego nie ma poczciwego nacjonalizmu.

•

Populiści zawsze szukają wroga i kozłów ofiarnych. Szukali i znaleźli ochronę zdrowia. Ogromny kozioł ofiarny. Z ochroną zdrowia wszędzie bieda, bo żyjemy coraz dłużej, a z wiekiem mnożą się choroby, nowy, zaawansowany sprzęt coraz więcej kosztuje. A jednak wiele zmieniło się tu na lepsze. Każdy, kto bywa w polskich szpitalach, musi to widzieć. Na pewno dochodzi do marnotrawstwa i są słabości organizacyjne. Ale nie można mówić o katastrofie. Populistom jednak potrzebna jest katastrofa, generalnie im gorzej, tym lepiej, a wszystko, co złe, to, jak wiadomo, wina Tuska.

•

Samochodem do Szwajcarii. Przez Niemcy słynne z gęstej sieci darmowych autostrad jeździ się teraz beznadziejnie, a przez Polskę wspaniale. Tak się porobiło. Nasze autostrady są nowe, ich stare i się sypią. Wszędzie więc remonty i okrutne korki, a upał taki, że można oszaleć. Hotel w Miśni, na małym rynku. Niewielkie miasto znane kiedyś z porcelany. Zamek na wysokiej skale, stare kamieniczki pną się do góry. Przepiękne miasto niezburzone w czasie wojny, niezeszpecone tym, że było w NRD. Pusto, a tłumy potrafią zasłonić każde piękno. Kolejny nocleg w Heidelbergu, już większym, ale też niezwykłym mieście. Podobnie jak Miśnia nie było bombardowane, więc również ocalała dawna architektura. Tu w przeciwieństwie do Miśni wielkie tłumy, bo to piątkowy wieczór. Wąskie uliczki, piękne place wypełnione restauracjami, wszędzie ekrany telewizorów – mecz Hiszpania-Belgia. Niemcy przegrały eliminacje, ale widzę, że kibicują Belgii. Wybuch entuzjazmu, gdy Belgowie strzelają gola.

Ruiny zamku na wzgórzu wyglądają jak dekoracja, największa, najbardziej okazała i malownicza ruina, jaką widziałem. Słynny XVIII-wieczny most przez rzekę. Z niego wspaniały widok na starówkę. Wielu przybyszów z innych światów, są tu na stałe i wydają się wtopieni w germański

Faszyzm nigdy nie ginie, zapada tylko w sen. I czeka na przebudzenie.

żywioł. Wesele: on z kręgu świata islamu, ona jasnowłosa Niemka, nagie ramiona w ślubnej sukni. A żeńska część rodziny pana młodego szczelnie okutana, widać tylko twarze, te kobiety są ofiarami islamu. Koleżanki panny młodej w spódniczkach mini. I to jakoś się godzi.

•

Szwajcaria, Vevey – niewielkie, ale już całkiem miejskie miasto nad Jeziorem Lemańskim z niebywałym widokiem na góry. Tu dwa ostatnie lata życia przecierpiał Sienkiewicz, a w ostatnim ćwierćwieczu życia mieszkał Chaplin. Wspaniale się pływa, patrząc na góry. Polskich tropów jest więcej. Od 27 stycznia 1915 r. do końca I wojny światowej działał w Vevey Szwajcarski Komitet Generalny Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce, założony w Lozannie m.in. przez Ignacego Jana Paderewskiego i Henryka Sienkiewicza.

Szwajcaria to jeden z najbogatszych krajów świata, a sklepy spożywcze przy polskich wydają się uboższe. I zdają się zawsze zamknięte w godzinach, kiedy są najbardziej potrzebne. Zaskoczenie, że tu jak w Niemczech niemal wszędzie płaci się gotówką; by zapłacić za parking, potrzebne są monety. Jaka niewygoda i kłopot. Polska w tym zakresie bardzo nowoczesna.

Nie mogę się powstrzymać, by nie robić porównań i nie cieszyć się ze skoku cywilizacyjnego, jakiego dokonaliśmy. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 68802d276f

Czerwcowy rytm historii

Przekształcanie PRL w III RP zaczęło się długo przed 4 czerwca i zakończyło dużo później



Michaił Gorbaczow i gen. Wojciech Jaruzelski na X Zjeździe PZPR. Warszawa, 1986 r.

Paweł Siergiejczyk

Czy 4 czerwca 1989 r. skończył się w Polsce komunizm? To stwierdzenie znanej aktorki, wygłoszone kilka miesięcy po tej dacie, szybko trafiło do zbioru skrzydlatych słów, lecz jest dalekie od prawdy. Po pierwsze, komunizmu nigdy nad Wisłą nie było – byli co najwyżej komuniści, z czasem coraz mniej liczni, bo wiara w idee Lenina i Stalina topniała na świecie z każdym rokiem, a u nas chyba szybciej niż gdzie indziej. Po drugie, nawet jeśli przyjąć moment czerwcowych wyborów sprzed 37 lat za przełom ustrojowy, trzeba pamiętać, że przełomy takie mają charakter długotrwałych procesów, a nie jednorazowych wydarzeń. A proces przekształcania PRL w III RP rozpoczął się długo przed 4 czerwca i zakończył dużo później.

Jednak czerwiec to dobry miesiąc na refleksję historyczną nad losami naszego kraju w szerszej perspektywie czasowej – od momentu zakończenia II wojny światowej. Dominująca dziś IPN-owska narracja szczególnie eksponuje te wydarzenia z najnowszej historii Polski, które mają udowodnić bezdyskusyjną jakoby tezę o totalitarnym i okupacyjnym charakterze Polski Ludowej, od samego jej początku do samego końca.

Ale można i należy przyglądać się dziejom powojennej Polski spokojnie, uczciwie i bez ideologicznego zacietrzewienia. Tylko takie spojrzenie bowiem pozwoli naprawdę zrozumieć wybory i dylematy poprzednich pokoleń – i ludzi, którzy tym państwem rządzili, i tych, którzy byli rządzeni. Korzystając z okrągłych rocznic, które przypadają akurat na koniec czerwca, przyjrzyjmy się kolejnym etapom rozwoju i ewolucji Polski Ludowej.

80 lat temu

30 czerwca 1946 r. odbyło się pierwsze w naszej historii ogólnokrajowe referendum. Dziś pamięć o nim sprowadza się jedynie do faktu sfałszowania wyników (co miało być przygotowaniem do fałszerstwa wyborów sejmowych w styczniu 1947 r.) i postawy lidera PSL Stanisława Mikołajczyka, który wezwał do wskazania w głosowaniu odpowiedzi

FOT. GRZEGORZ ROGIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 68802d276f

„nie" na pytanie dotyczące likwidacji Senatu. To wszystko prawda, jednak zapomina się o dwóch pozostałych pytaniach, które nie budziły kontrowersji nawet wśród przeciwników nowej władzy: „Czy chcesz utrwalenia w przyszłej konstytucji ustroju gospodarczego zaprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienia podstawowych gałęzi gospodarki krajowej z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej?" oraz „Czy chcesz utrwalenia zachodnich granic państwa polskiego na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej?".

Pytania były sformułowane tak, by zmusić opozycję – czyli głównie ludowców Mikołajczyka – do zajęcia stanowiska identycznego jak PPR-owskie, PPS-owskie i ich pomniejszych sojuszników. Mikołajczyk miał z tym problem, bo za wszelką cenę chciał się odróżnić od komunistów, którzy pragnęli włączyć go do wspólnego bloku wyborczego.

Z drugiej strony pytania dotyczyły spraw tak oczywistych, że nie sposób było wzywać do ich zanegowania. Szczególnie jeśli było się przywódcą stronnictwa, które zawsze walczyło o reformę rolną i inne radykalne zmiany społeczno-gospodarcze, a pod koniec wojny szybko pogodziło się z nowymi granicami Polski, ale też w II RP konsekwentnie domagało się jednoizbowego parlamentu. Jednak Mikołajczyk wybrał tę ostatnią kwestię, by nie podpisać się pod hasłem „trzy razy tak" i skorzystać z okazji policzenia swoich zwolenników, najwyraźniej uznając, że spór o Senat jest sprawą symboliczną, bez większego znaczenia praktycznego.

Warto też przypomnieć, że sam pomysł referendum wyszedł właśnie od PSL, co kierownictwo PPR skrzętnie wykorzystało, by odsunąć w czasie termin wyborów parlamentarnych, które musiały się odbyć na mocy ustaleń jałtańskich. Głosowanie powszechne nad zasadami powojennego ustroju nie było zresztą niczym nadzwyczajnym w ówczesnej Europie. W październiku 1945 r. podobne referendum odbyło się we Francji (co dało początek IV Republice), a 2 czerwca 1946 r. we Włoszech (odrzucenie monarchii i ustanowienie republiki).

Oczywiście nie znamy i pewnie nigdy nie poznamy prawdziwych wyników referendum z 30 czerwca 1946 r., lecz nie ulega wątpliwości, że większość społeczeństwa zaakceptowała wtedy państwo w powojennych granicach i nowy ustrój społeczno-gospodarczy. Paradoksalnie więc postawa Mikołajczyka – ale też np. episkopatu Polski, który poparł jego stanowisko – przyczyniła się do faktycznej legitymizacji nowej formy polskiej państwowości.

70 lat temu

28 czerwca 1956 r. miało miejsce coś, co historycy z IPN całkiem poważnie nazywają powstaniem poznańskim. Rzecz jasna, nie było to żadne powstanie, lecz spontaniczny, jednodniowy protest robotników tamtejszych fabryk, który przeniósł się na ulice Poznania i został brutalnie stłumiony przez władzę, która w sytuacji masowego szturmu na budynki UB, komitetu partii i więzienia wysłała przeciwko demonstrantom wojsko wyposażone w czołgi. Liczba ofiar śmiertelnych wyniosła 57, rannych było kilkuset, co musiało być wstrząsem w momencie, gdy system stalinowskiego terroru się kończył. Wszak zaledwie dwa miesiące wcześniej Sejm uchwalił amnestię, na mocy której zwolniono wszystkich więźniów politycznych, rozpoczęły się też procesy rehabilitacyjne osób niesłusznie skazanych w poprzednich latach.

Poznański bunt miał charakter przede wszystkim socjalno-ekonomiczny, chociaż hasła wrogie władzy i Moskwie także się w nim pojawiły. Jednak robotnicza rewolta była szczególnie niewygodna dla partii rządzącej, która sama nazywała się robotniczą i swoją legitymację do rządzenia wywodziła z tradycji podobnych wystąpień społecznych sprzed 1939 r.

Inną kwestią jest to, na ile czarny czwartek w Poznaniu mógł być elementem walki o władzę w elicie PZPR, która po śmierci Bolesława Bieruta w marcu 1956 r. niemal jawnie podzieliła się na frakcje natolińską i puławską (czyli „chamów" i „żydów"). Tę pierwszą otwarcie wspierali towarzysze radzieccy i stojący na czele polskiej armii marszałek Konstanty Rokossowski, chyba zatem podejrzeń dotyczących radzieckiej prowokacji w związku z wydarzeniami poznańskimi (wyrażanych po latach m.in. przez ówczesnego I sekretarza KC Edwarda Ochaba) nie należy lekceważyć.

Ważniejsze jednak są skutki tamtej rewolty. I nie chodzi tylko o niefortunne przemówienie Józefa Cyrankiewicza, z którego zapamiętano zdanie o „odrąbywaniu rąk" przez „władzę ludową", choć premier mówił tam również o utrzymaniu kursu na dalszą demokratyzację kraju. Znacznie ważniejsze okazały się dwa kolejne, bardzo burzliwe posiedzenia plenarne KC PZPR: lipcowe, na którym obie frakcje otwarcie się starły, zarzucając sobie odpowiedzialność za wydarzenia poznańskie, i październikowe, które wyniosło do władzy Władysława Gomułkę, stanowiąc kluczowy moment polskiej rewolucji – na szczęście bezkrwawej, w przeciwieństwie do tej na Węgrzech. Czarny czwartek z pewnością więc przyśpieszył koniec systemu stalinowskiego i umożliwił wybór „polskiej drogi do socjalizmu", coraz bardziej niezależnej od radzieckiego zwierzchnictwa.

Należy przyglądać się dziejom powojennej Polski uczciwie i bez ideologicznego zacietrzewienia.

60 lat temu

W czerwcu 1966 r. Polska znajdowała się w zenicie obchodów milenijnych, które miały charakter zarówno kościelny, jak i państwowy. Dało się wręcz zauważyć rywalizację o to, która strona ma większe prawo do występowania w roli dziedzica tysiącletniej tradycji chrześcijańskiej Polski. Dwaj ambitni przywódcy o niełatwych charakterach – Władysław Gomułka i prymas Stefan Wyszyński – już w kwietniu niezależnie od siebie zainicjowali uroczyste obchody w Gnieźnie, w następnych miesiącach zaś patriotyczna licytacja tylko się nasilała.

eprasa.pl 68802d276f

Nie brakowało również momentów konfrontacyjnych. 22 czerwca peregrynująca po kraju kopia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej została „aresztowana" na Warmii przez milicję. Obraz przewieziono do katedry warszawskiej, na co strona kościelna odpowiedziała wykorzystywaniem w kolejnych uroczystościach symbolicznej ramy tego obrazu udekorowanej kwiatami. Dla władz państwowych było to chyba bardziej niewygodne propagandowo niż obecność wśród wiernych jasnogórskiego wizerunku i świadczy raczej o nieprzemyślanej polityce zupełnie niepotrzebnych agresywnych gestów wobec katolickiej większości społeczeństwa niż o faktycznej walce władzy z Kościołem, która skończyła się w 1956 r.

50 lat temu

24 czerwca 1976 r. premier Piotr Jaroszewicz przedstawił na posiedzeniu Sejmu zamiar wprowadzenia podwyżek cen żywności – przeciętnie o 60%. Nazajutrz w niektórych miastach doszło do strajków i protestów ulicznych, na szczęście bezkrwawych, co było niewątpliwym wyciągnięciem lekcji z buntu sprzed 20 lat, ale przede wszystkim z grudnia 1970 r., gdy na Wybrzeżu ekipa Gomułki brutalnie tłumiła podobny protest społeczny, okupiony śmiercią 44 osób i setkami rannych. Edward Gierek, który w rezultacie tych wydarzeń zastąpił Gomułkę, nigdy nie zdecydował się użyć broni przeciw własnemu społeczeństwu, za co pozostał we wdzięcznej pamięci Polaków do końca swoich dni.

Nic dziwnego, że nawet najgorliwsi antykomuniści z IPN nie nazywają 25 czerwca 1976 r. powstaniem. Robotnicy w Radomiu, Ursusie i Płocku zostali wprawdzie rozpędzeni przez milicję, ale z jej rąk nikt nie zginął (jedynie w Radomiu dwie osoby przypadkowo straciły życie przy próbie zatarasowania ulicy przyczepą przez demonstrantów). Społeczny protest przyniósł co prawda represje w postaci milicyjnych „ścieżek zdrowia", a następnie wyroków wobec kilkuset uczestników tych wydarzeń, jednak po interwencji episkopatu, licznych intelektualistów – krajowych i zagranicznych – a także Sekretariatu Włoskiej Partii Komunistycznej do końca 1976 r. wszyscy skazani zostali uwolnieni.

Ekipa Gierka, dbająca o dobry wizerunek PRL na Zachodzie, nie chciała mieć na sumieniu więźniów politycznych i praktycznie ich nie miała. Nie chciała też eskalować konfliktu, dlatego jeszcze tego samego dnia, 25 czerwca, podwyżka cen została odwołana, co było niewątpliwym świadectwem liczenia się władzy z nastrojami społecznymi. Inna sprawa, że zablokowało to na lata wszelkie reformy gospodarcze, a próba kolejnej podwyżki cen, z lipca 1980 r., doprowadziła do największej fali strajków w historii Polski.

40 lat temu

29 czerwca 1986 r. rozpoczął obrady X Zjazd PZPR. Członkowie partii nie mogli przewidzieć, że będzie to zjazd przedostatni – na kolejnym, w styczniu 1990 r., doszło już do rozwiązania PZPR. X Zjazd był jedynym, który odbył się za czasów, gdy przywódcą partii był gen. Wojciech Jaruzelski. Nie zapadły tam żadne istotne decyzje, gdyż rola PZPR od czasu stanu wojennego znacznie zmalała, a faktyczną władzę sprawował generał z gronem zaufanych osób. Na tamtym zjeździe Jaruzelski podjął próbę „cięcia po skrzydłach", doprowadzając do usunięcia z najwyższych władz zarówno przedstawicieli betonu (z Albinem Siwakiem na czele), jak i czołowych reformatorów (których przedstawicielem był Hieronim Kubiak).

Czarny czwartek w Poznaniu mógł być elementem walki o władzę w elicie PZPR.

Był to zarazem jedyny zjazd PZPR, na którym gościł Michaił Gorbaczow, od ponad roku stojący na czele partii radzieckiej. W czasach Chruszczowa i Breżniewa obecność gościa tej rangi stanowiła dobitne potwierdzenie moskiewskiej kontroli nad elitą władzy PRL, ale Gorbaczow był pierwszym przywódcą ZSRR, który zaczął wprowadzać rzeczywistą demokratyzację i wykazywał szczerą otwartość wobec zagranicznych partnerów.

Oczywiście w połowie 1986 r. nikt jeszcze się nie spodziewał, że jego pierestrojka doprowadzi do upadku systemu i rozpadu samego Związku Radzieckiego. Nikt też nie mógł się spodziewać, że zaledwie trzy lata później Polska stanie się zupełnie innym krajem – i będzie to historyczne dzieło ekipy gen. Jaruzelskiego, dokonane za zgodą Gorbaczowa.

Istotne oznaki zmian można było jednak dostrzec już wtedy. W czerwcu 1986 r. Polska została ponownie przyjęta – po 36 latach nieobecności – do Międzynarodowego Funduszu Walutowego oraz Międzynarodowego Banku Odbudowy i Rozwoju, co znacznie ułatwiło rozpoczęcie negocjacji dotyczących redukcji polskiego zadłużenia. A tuż po zakończeniu X Zjazdu Sejm przyjął ustawę amnestyjną, gen. Czesław Kiszczak zaś jako szef MSW doprowadził do zwolnienia wszystkich więźniów politycznych, co skłoniło Lecha Wałęsę do utworzenia jawnej Tymczasowej Rady NSZZ Solidarność.

Z kolei w grudniu tego samego 1986 r. gen. Jaruzelski powołał Radę Konsultacyjną przy Przewodniczącym Rady Państwa, w której znalazły się liczne osoby z kręgów niezależnych od władzy, zwłaszcza katolickich. Polska weszła zatem na drogę coraz szerszego pluralizmu politycznego i dialogu z opozycją, co doprowadziło do Okrągłego Stołu i pamiętnych wyborów z 4 czerwca 1989 r.

Kolejne czerwce dobrze ilustrują dzieje Polski Ludowej. Nieraz tragiczne, znaczone decyzjami, których ludzie władzy potem żałowali, ale też emocjonalnymi reakcjami społeczeństwa, z których nic dobrego wyniknąć nie mogło. Warto patrzeć na te dzieje wieloaspektowo, bez pozy prokuratorskiej i wydawania łatwych wyroków, za to z wiedzą o szczęśliwym finale, czyli przejściu do w pełni suwerennej i demokratycznej III RP. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie droga, jaką przebyły naród i jego elity w ciągu powojennego 45-lecia. Warto o tym pamiętać nie tylko przy okazji okrągłych rocznic.

Paweł Siergiejczyk

eprasa.pl 68802d276f

45 lat Związku Żołnierzy Wojska Polskiego





45-lecie Związku Żołnierzy Wojska Polskiego, Warszawa, 11 czerwca 2026 r. Gen. Piotr Czerwiński, gen. Franciszek Puchała i gen. Zenon Poznański.

Trwają obchody 45. rocznicy powołania Związku Żołnierzy Wojska Polskiego. Związek liczy ok. 20 tys. członków, działających w kilkuset kołach. Powstawał w gorących latach 1980-1981. Ważną rolę w jego utworzeniu odegrali działacze kół oficerów rezerwy funkcjonujących w strukturach Ligi Obrony Kraju. W I Zjeździe, 13-14 czerwca 1981 r., uczestniczyli prezes Rady Ministrów gen. armii Wojciech Jaruzelski, wiceministrowie obrony narodowej gen. dyw. Józef Baryła i gen. broni Mieczysław Obiedziński oraz zastępcy dowódców okręgów wojskowych.

Związek od początku blisko współpracował z MON. Wśród deklarowanych celów było dbanie o honor i godność żołnierza, propagowanie tradycji oręża polskiego i otaczanie opieką miejsc pamięci. Drugim elementem były sprawy socjalno-bytowe, działalność kulturalna, oświatowa i towarzyska. A także organizowanie pomocy chorym i niedołężnym kolegom i koleżankom. Te cele nie zmieniły się w III RP. Dlatego wśród byłych żołnierzy szok wywołała wroga postawa MON w czasach PiS.

Ale to już przeszłość. Podkreślał to w wystąpieniu podczas uroczystości centralnych 11 czerwca na warszawskiej Cytadeli prezes związku płk Marek Bielec. Patronat nad uroczystościami objął minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz. Jego list do zebranych odczytał Jakub Stefaniak. Głos zabrali też zastępca szefa Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych Michał Syska oraz prezes Federacji Rezerwistów i Weteranów SZ RP gen. dyw. Piotr Czerwiński. Wydarzenie uświetnił koncert Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego, a zakończył żołnierski poczęstunek. *(rw)*



FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2)

eprasa.pl 68802d276f

55. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL JAZZU TRADYCYJNEGO
OLD JAZZ MEETING
7-9.08.2026 R. IŁAWA
ZŁOTA TARKA

7.08

18:00 **Konkurs o Nagrodę Złotej Tarki**

20:00 **Uroczyste rozpoczęcie Festiwalu**

Ilava All Stars Big Band

Piotr Schmidt Quintet ft. Krzysztof Herdzin & Janusz Szrom Młynarski. *Bynajmniej*

Janusz Szrom (wokal), Piotr Schmidt (trąbka), Krzysztof Herdzin (fortepian), Andrzej Święs (kontrabas), Sebastian Frankiewicz (perkusja)

Ogłoszenie wyników Konkursu o Nagrodę Złotej Tarki

Polish Dixie All Stars

Andrzej Rosiewicz (Asocjacja Hagaw), Stanisław Piwowarski (trąbka, Asocjacja Hagaw), Stanisław Jonak (klarnet, Asocjacja Hagaw), Jan Młynarczyk (puzon, Sami Swoi), Jan Gonciarczyk (kontrabas, Sami Swoi), Jan Boba (fortepian, Jazz Band Ball), Dymitr Markiewicz (puzon, Ragtime Jazz Band), Jerzy Więckowski (perkusja, Vistula River Brass Band), Roman Bartnicki (suzafon, perkusja Leliwa Jazz Band)

prowadzenie: Paweł Sztompke

miejsce: Amfiteatr Miejski
im. Louisa Armstronga w Iławie

8.08

12:00 **Hejnał z wieży ratusza**

Mark Shepherd (UK), trąbka

13:00 i 14:30 **Jazz na statku Ilavia**
RB DIXIE FIVE

start: Przystań przy Galerii Jeziorak

Sprzedaż biletów odbywa się za pośrednictwem platformy Going i stacjonarnie w Empiku.
Liczba miejsc ograniczona.

19:00 **Parada jazzowa**
RB DIXIE FIVE

Ceny biletów:

NORMALNY	ULGOWY
120 zł*	100 zł*

Karnet dwudniowy:

NORMALNY	ULGOWY
190 zł*	150 zł*

*Uprawnieni do biletu / karnetu ulgowego:
- osoby z umiarkowanym i znacznym stopniem niepełnosprawności po okazaniu odpowiedniej legitymacji (OPIEKUN WOLONTARIUSZ ZA DARMO)
- emeryci, renciści (po okazaniu legitymacji emeryty / renciści)
- dzieci w wieku 6-12 lat (dzieci do 5. roku życia wchodzą za darmo)

Bilety są do kupienia na Going empik

19:30 Laureat Konkursu o Nagrodę Złotej Tarki

8.08

20:00 **Koncert Galowy**

Leszek Kułakowski Let's Fall in Love
Gość specjalny Ewa Uryga (wokal)
Orkiestra Smyczkowa: Radosław Droń (dyrygent), Leszek Kułakowski (aranżacje, fortepian), Piotr Kułakowski (kontrabas), Tomasz Sowiński (perkusja)

Bratislava Hot Serenaders Błękitna rapsodia

Natalia Muianga

Chet Baker Tribute Band
Bjorn Ingelstam (trąbka, wokal, Szwecja), Olivier Franc (sopran, Francja), Ipek Dink (wokal, Turcja), Harry Kanters (piano, Francja), Dario Napoli (gitara, Włochy), Grzech Piotrowski (tenor sax)

Tancerze z grupy Art Movement
w choreografii Marcina Mrozińskiego
prowadzenie: Paweł Sztompke
miejsce: Amfiteatr Miejski
im. Louisa Armstronga w Iławie

00:00 **Bal Jazzowy**
Singin' Birds
miejsce: Park Miejski. Wstęp wolny.

9.08

14:00 **Msza Jazzowa**
Ewa Uryga z zespołem
Bogusław Kaczmar (fortepian), Maciej Kitajewski (kontrabas), Szymon Bisaga (perkusja)

Miejsce: Amfiteatr Miejski
im. Louisa Armstronga w Iławie. Wstęp wolny.

WYDARZENIA TOWARZYSZĄCE

Projekcje filmów kina jazzowego:

„NA ZAWSZE MELOMANI", czwartek 06 sierpnia 2026 r., godz. 16:00;
„FILIP", czwartek 06 sierpnia 2026 r., godz. 17:45;
„ZIMNA WOJNA", niedziela 09 sierpnia 2026 r., godz. 17:30.

Miejsce: Kino „Pasja" w Iławie. Wstęp wolny.

Wystawa „Jazzowe losy 1939-1945" Andrzeja Rumianowskiego od 04 sierpnia do 17 sierpnia 2026

Miejsce: sala konferencyjna Iławskiego Centrum Kultury udostępniona przez Muzeum Jazzu w Warszawie. Wstęp wolny.

eprasa.pl 68802d276f

Spór o lekarzy w Sopocie

Medycy z wypowiedzeniami, pacjenci z pytaniami

Beata Igielska

„Razem z ośmioma lekarzami dostaliśmy wypowiedzenia z poradni, którą wspólnie zbudowaliśmy od podstaw. W 2025 r. poradnia reumatologiczna dla dorosłych w Sopocie stała się największą w Polsce! Zbudowaliśmy ją z niczego. W samym 2025 r. przyjąłem ponad 3,6 tys. pacjentów. Pracowałem tylko w jednym publicznym miejscu – bez »biegania« po kilku szpitalach i bez pracy po kilkaset godzin miesięcznie. Najbardziej martwią mnie nie kontrakty, a pacjenci", napisał w swoich mediach społecznościowych reumatolog Bartek Fiałek i pokazał wypowiedzenie umowy. Z dokumentu wynika, że powodem wypowiedzenia jest brak płynności spowodowanej opóźnieniami w płatnościach NFZ oraz planowanymi zmianami systemowymi w tychże płatnościach.

Chodzi o Pomorskie Centrum Reumatologiczne im. dr Jadwigi Titz-Kosko w Sopocie. Wedle zapewnień NFZ nie zostawi ono pacjentów bez opieki. Jednak w sytuacji, gdy prezes, pięciu dyrektorów i 17 kierowników, jak naliczyłam na stronie internetowej placówki, pozostaje na swoich stanowiskach, w dodatku poradnia wykazuje znaczny zysk, a lekarzom wypowiada się umowy, by renegocjować z nimi warunki płacowe, wypada się zastanowić, dokąd zmierza polska ochrona zdrowia.

Pomorskie Centrum jest największą tego typu placówką w regionie świadczącą porady reumatologiczne.

Czy pacjenci z powodu kryzysu będą zmuszeni do korzystania z opieki w systemie niepublicznym? To jednostkowy przypadek czy takich sytuacji jest w kraju więcej? Czy Narodowy Fundusz Zdrowia to monitoruje? Powyższe pytania wysłałam do biura prasowego NFZ, zaznaczając, że spółka nie podaje, jaka jest suma zaległości funduszu i jak długo trwają opóźnienia.

W odpowiedzi biuro prasowe NFZ informuje, że „ciągłość opieki nad pacjentami w poradni reumatologicznej Pomorskiego Centrum Reumatologii w Sopocie jest zapewniona. Poradnia funkcjonuje normalnie i nieprzerwanie przyjmuje pacjentów".

Centrum wypowiedziało umowy ośmiu lekarzom, żeby renegocjować warunki zatrudnienia.

Zapewniono również, że „Pomorski OW NFZ wywiązuje się ze wszystkich zobowiązań wobec placówki zgodnie z zawartą umową". Kto więc mija się z prawdą – placówka, argumentując wypowiedzenie umowy ośmiu lekarzom opóźnieniami w płatnościach, czy płatnik, który twierdzi, że wszystko jest w porządku?

Z odpowiedzi NFZ wynika, że sopockie centrum jest największą placówką na Pomorzu świadczącą porady reumatologiczne i ma największy kontrakt na te świadczenia w całym województwie. Tylko w zeszłym roku Pomorski NFZ przekazał placówce ponad 11,5 mln zł za świadczenia wykonane w samej poradni reumatologicznej, co pozwoliło na udzielenie ich ponad 12 tys. pacjentów. W tym roku placówka otrzymała za realizację świadczeń w poradni reumatologicznej ponad 5,6 mln zł.

Biuro prasowe NFZ dodaje, że na terenie województwa pomorskiego funkcjonują 23 poradnie reumatologiczne, które zabezpieczają potrzeby zdrowotne mieszkańców regionu. Odpowiedzi na pytanie, czy takich sytuacji w Polsce jest więcej, nie uzyskałam.

Pomorskie centrum zapewnia zaś, że wypowiedziało dotychczasowe umowy o świadczenie usług ośmiu lekarzom ze względu na potrzebę nawiązania współpracy na nowych zasadach. Otwarcie ofert konkursowych planowane jest na 22 lipca 2026 r., a rozstrzygnięcie ma zapaść 24 lipca. Ocena korzystności warunków w dużej mierze uzależniona będzie od stawek w złożonych ofertach.

Pacjenci nie będą pozbawieni fachowej pomocy, ponieważ placówka w Sopocie zatrudnia łącznie 39 lekarzy reumatologów, z czego 17 specjalistów reumatologów jest zatrudnionych na umowach o pracę, a 11 lekarzy rezydentów oraz 11 lekarzy specjalistów reumatologów – na podstawie umów cywilnoprawnych. Poradnia jest zatem zabezpieczona. Centrum zapewnia też, że „boryka się z problemem opóźnionych płatności za świadczenia ponadlimitowe, których koszty na bieżąco ponosi".

Zarząd jest jednoosobowy, a kadra kierownicza pozostaje na podobnym poziomie liczbowym od wielu lat mimo poszerzania działalności placówki. Zapewniono, że centrum w Sopocie chce się rozwijać. Wszelkie ograniczenia w dostępności do świadczeń determinowane będą zmianami przepisów prawa lub warunków umów zawartych z NFZ.

Czyli wszystko dobrze, tylko pacjent ma problem. Najlepiej, gdyby nie chorował. Bo jak widać, ciągłość opieki ma zapewnioną, ale w praktyce często kopie się koniem. Nie mówiąc o tym, że częste zmiany lekarzy nie służą jakości leczenia. Dobrze byłoby, aby lekarz pacjenta znał, a nie wgryzał się w dokumentację medyczną w ciągu wizyty trwającej kwadrans. ■

eprasa.pl 68802d276f

Geniusz czy żebrak?

Zabezpieczenie socjalne dla artystów

Bronisław Tumiłowicz

Ustawy o zabezpieczeniu socjalnym dla artystów jeszcze nie ma, ale już zdobyła niemałą sławę z powodu hejtu w sieci. Nawałnicę inwektyw wywołał szef Konfederacji Sławomir Mentzen, mówiąc: „Słuchajcie, artyści. Wielu z was wypowiada się publicznie, z nieukrywanym poczuciem wyższości, w sprawach, o których nie macie zielonego pojęcia. Do tego z pogardą traktujecie ciężko pracujących i finansujących was ludzi, którzy muszą na was płacić, nawet gdy zarabiają mniej od was. Nie macie do tego żadnych podstaw. Jeśli jesteś aktorem, to znaczy, że umiesz ładnie czytać napisany przez kogoś tekst, potrafisz udawać kogoś, kim nie jesteś, i pajacować na scenie tak, żeby publiczności się podobało. Nie jesteś w niczym lepszy od magazynierów, sprzedawców, kelnerów i rolników. Wiedzę o prawdziwym świecie masz nawet zwykle mniejszą niż oni. Ładnie czytasz z kartki i tyle”.

Kiedy indziej z ust polityka wyrwało się słowo „darmozjady”.

Zabezpieczenie socjalne to nie przywilej, lecz fundament rozwoju kultury.

Kij został włożony w mrowisko, w środowisku artystycznym kto tylko mógł, wyraził oburzenie. Wysłuchanie publiczne w sejmowej Komisji Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Środków Przekazu było kontynuacją dawania odporu słowom polityka, który akurat nie należy do osób często widzianych w teatrze, na koncertach czy wystawach. Nie wiemy też, co czyta, jeśli w ogóle zagląda do literatury.

Za stołem prezydialnym zasiedli Piotr Adamowicz, przewodniczący komisji, dziennikarz, publicysta, brat zamordowanego prezydenta Gdańska, Urszula Augustyn – zastępczyni przewodniczącego, Aleksandra Leo, przewodnicząca podkomisji stałej ds. edukacji artystycznej i kulturalnej dzieci i młodzieży, oraz marszałkini Senatu Małgorzata Kidawa-Błońska. Później dołączały inne osoby z władz komisji.

W wypowiedziach generalnie prezentowano poparcie dla rządowego projektu ustawy, a głos zabierali przedstawiciele strony społecznej świata artystycznego, szefowie stowarzyszeń twórczych, związków, fundacji oraz instytucji kultury. Wspólnym mianownikiem była potrzeba zapewnienia osobom pracującym artystycznie pomocy ubezpieczeniowej, zdrowotnej i emerytalnej. Chodziło także o stworzenie transparentnej procedury przyznawania takiej pomocy i rozsądne zdefiniowanie pojęcia artysty, osoby wykonującej zawód artystyczny. Podkreślano, że chodzi nie o celebrytów zarabiających krocie, liderów rankingów i aukcji dzieł sztuki, ale o ludzi z grupy wolnych strzelców, bez zatrudnienia na etacie w jakiejkolwiek instytucji, którzy jednak dokładają się swoją pracą do dorobku cywilizacyjnego.

Miesięczne dochody ok. 69% artystów, jak wynika ze statystyk, kształtują się na poziomie minimum socjalnego i nie są regularne (to o takich osobach aktor Rafał Rutkowski ułożył żart: czym się różni balkon od aktora? Tym, że balkon może utrzymać czteroosobową rodzinę). Takich ludzi jest więcej, i nie tyko wśród artystów scenicznych i filmowych, ale także w gronie malarzy, muzyków, wytwórców rzemiosła i sztuki ludowej, wśród piszących, tańczących, śpiewających itd. Ministra kultury Marta Cienkowska szacuje grupę oczekującą na państwowe wsparcie na 20 tys. osób.

Miesięczne dochody ok. 69% artystów kształtują się na poziomie minimum socjalnego i nie są regularne.

Rzecz oczywiście nie tylko w zarobkach i dużej niepewności co do praw emerytalnych ludzi niezatrudnionych nigdzie na stałe. Również w stratach związanych z ucieczką dobrze przygotowanych i wykształconych kadr opuszczających co roku uczelnie artystyczne i szukających jakiejkolwiek pracy. O takich absolwentach mówił prof. Andrzej Bednarczyk, rektor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie: „Z żalem żegnam osoby, które od razu po studiach odchodzą z zawodu, aby mieć środki do życia”. Profesor wspomniał, że w muzeum Albrechta Dürera w Norymberdze znalazł zapisek tego XVI-wiecznego geniusza, malarza, grafika i rysownika, który z żalem donosił przyjacielowi, że „w domu jest darmozjadem”, co dziwnie współgra z wypowiedzią polskiego polityka.

Wśród uczestników wysłuchania publicznego w Sejmie były osoby, które konkretnie i merytorycznie proponowały szczegóły rozporządzeń mających uczciwie i sprawiedliwie przydzielać pomoc artystom. A wszyscy zgadzali się co do jednego – zabezpieczenie socjalne to nie przywilej, lecz fundament trwania i rozwoju polskiej kultury. ■

eprasa.pl 68802d276f



WYDARZENIE

32. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce
Tivon Pennicott Quartet – Roots to Branches

W ubiegłorocznym plebiscycie krytyków magazynu „DownBeat" Tivon Pennicott został uznany za wschodzącą gwiazdę saksofonu tenorowego. Jest jednym z najbardziej wyrazistych saksofonistów nowojorskiej sceny jazzowej. Trzykrotny laureat Grammy, rozchwytywany muzyk, multiinstrumentalista i kompozytor, znany ze współpracy z Gregorym Porterem, Esperanzą Spalding i Jonem Batiste'em, zaprezentuje materiał z najnowszego albumu „Roots to Branches" – duchowego i energetycznego projektu inspirowanego jamajskimi korzeniami. Płyta ukazuje wszechstronność i autentyczność Pennicotta, jego artystyczny rozwój i głębię. Jego styl łączy mistrzowską dbałość o rytm, wysmakowane linie melodyczne i głębokie zrozumienie znaczenia groove'u.

(ap)

Więcej na: jazznastarowce.pl, facebook.com/festiwaljazznastarowce.

Warszawa, Rynek Starego Miasta, 25 lipca, godz. 19

KURTYNA W GÓRĘ

Życie na przemiał

Jolanta Janiczak z Wiktorem Rubinem na kameralnej scenie Teatru Powszechnego przyglądają się postaci Lisy Montgomery, straconej przed kilku laty za morderstwo. To sceniczne laboratorium, a najważniejszym narzędziem wiwisekcji jest dojrzały, świadomy, przejmujący tekst Janiczak, który czytają poprzez własną wrażliwość, niebezkrytycznie, aktorki i aktorzy Powszechnego. Uruchamiają tę opowieść nie po to, żeby wydać wyrok na młodej kobiecie, która w rozpaczliwym akcie przemocy zabiła inną kobietę i porwała jej dziecko. Nie po to nawet, żeby opowiedzieć o dojmującej, deformującej człowieczeństwo, dziedziczonej nędzy. Choć jest ona jednym z tematów spektaklu, podobnie jak patriarchalna przemoc wobec kobiet, jak przemoc seksualna.



Najważniejsze pytanie brzmi: czy w obliczu całej tej nędzy, przemocy i obłędu kara śmierci, wymierzona w gruncie rzeczy ofierze, jest aktem sprawiedliwości, czy prymitywną zemstą, mającą odwrócić uwagę zbiorowości od jej własnych win i zaniedbań? Ten naturalistyczny, chwilami pornograficzny obraz przemocy przełamany zostaje przez dystans, z jakim na swoich bohaterów próbują spojrzeć aktorki i aktorzy.

I właśnie znakomite aktorstwo jest siłą spektaklu. Ojczym Juliana Świeżewskiego w uprzedmiotowieniu Lisy chce odnaleźć własną podmiotowość. Klara Bielawka to młodociana Matka Lisy, także ofiara przemocy, niepotrafiąca przekroczyć własnych traum. Wreszcie przejmująca Karolina Adamczyk jako Lisa – od nadmiaru cierpienia zatracająca samą siebie.

Michał Centkowski

Jolanta Janiczak, „Lisa", reżyseria Wiktor Rubin, Teatr Powszechny w Warszawie, premiera 11 lipca 2026

Ten kpiarz Kubuś



Wywrotowy charakter Kubusia Fatalisty nieco wypłowiał. Po 230 latach od jego narodzin pojawiło się w literaturze europejskiej zbyt wielu bardziej od niego radykalnych krytyków społecznych nierówności. Ale aktorzy występujący pod szyldem Teatru Wędrownego już po raz kolejny z godnym podziwu majsterstwem prezentują dzieło oświeceniowej klasyki. Rok temu gościli w Teatrze Królewskim z „Paradami" Jana Potockiego, teraz dali równie udaną adaptację „Kubusia Fatalisty". W tok barwnej opowieści Kubusia wplatane są liczne anegdoty, a także sytuacje, jakie wydarzają się po drodze. Obok Kubusia i jego Pana występuje zaledwie czworo aktorów: Karolina Kochańska i Magdalena Kozikowska-Pieńko oraz jeszcze studenci Jakub Gąsior z łódzkiej Filmówki i Jonatan Maciejowski z Wydziału Aktorskiego Uniwersytetu Andrzeja Frycza Modrzewskiego w Krakowie. W coraz to innych przebraniach wcielają się w dziesiątki postaci, z biegłością wyśmienitych komediantów.

Świat się kręci jak w kalejdoskopie, a reżyser zręcznie podsuwa aktorom sztuczki, a czasem anachroniczne aluzje (Kubuś udaje, że kopci po knajacku mocne papierosy, przegląda wiadomości na niewidocznym smartfonie itp.). Pod dyktando nadającego tempo i panującego nad sceną (oraz światem) Kubusia (Mateusz Marczydło) i próbującego dotrzymać mu kroku safandułowatego Pana (Marek Kępiński) powstaje kipiący energią, błyskotliwy spektakl.

Tomasz Miłkowski

Denis Diderot, „Kubuś Fatalista i jego Pan", przekład Tadeusz Boy-Żeleński, reżyseria Paweł Aigner, Teatr im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie, premiera 23 maja 2025

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. WIKTORIA CIEŚLA, KAROLINA JÓŹWIAK, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 68802d276f

Leo Messi i mundialowe rekordy wszech czasów

Wojciech Kuczok

Chociaż polski arbiter Szymon Marciniak posędziował tylko dwukrotnie w fazie grupowej, miał największy wpływ na mundialowy bieg rzeczy. To dzięki Polakowi 39-letni Leo Messi mógł w ciągu minionych pięciu tygodni pobijać mundialowe rekordy wszech czasów, wprawiając w osłupienie piłkarski świat, i własnonożnie dociągnąć reprezentację Argentyny do finału. W 31. minucie pierwszego meczu Argentyny Messi z premedytacją sfaulował Algierczyka Aïssę Mandiego, wyprostowaną nogą następując rywalowi na łydkę i ścięgno Achillesa. Wnikliwie i wielokrotnie przyglądałem się tej sytuacji w powtórkach i nijak nie znajduję usprawiedliwienia, nie ma tu mowy o przypadku, był to atak pomroczności wśród wyładowań piłkarskiego geniuszu. Dla mnie bezsporna czerwona kartka. Marciniak nie pokazał nawet żółtej.

Wielkość tego arbitra, być może najlepszego w dziejach futbolu, należy zatem oceniać nie tylko po jego wieloletniej karierze, w której jak nikt inny nauczył się zarządzać meczem i kontrolować piłkarzy w spotkaniach wysokiego napięcia, nie tylko po jego bezbłędnym rozpoznawaniu sytuacji, ale także po konsekwencjach omyłek. Szczególnie zaś tej jednej błędnej decyzji, która ocaliła futbol. Algierczykowi wszak nic się nie stało, choć faul był niebezpieczny, do żadnego uszczerbku na zdrowiu się nie przyczynił. Algierski obrońca zagrał na turnieju cztery mecze w pełnym wymiarze czasowym. Łaska okazana Messiemu mimo jego występku była dla świata cenniejsza niż wymierzenie zasłużonej kary, po której powszechnie odczuwano by smutek i absmak.

Marciniak postąpił zgodnie z duchem gry, któremu się sprzeniewierzył przed kilkunastoma miesiącami, gdy w derbach Madrytu w Lidze Mistrzów zgodnie z regulaminem, ale wbrew logice i sprawiedliwości anulował gola zdobytego z rzutu karnego przez Juliána Alvareza. Miał zatem prawo czuć wyrzuty sumienia wobec reprezentacji Argentyny i… naprawił swoją poprawną decyzję błędem.

W tym paradoksie zawierać się też może tajemnica fenomenalnej formy Messiego, który dostał od Marciniaka „drugie życie” i we wszystkich kolejnych meczach niejako spłacał dług wdzięczności. Jest bowiem wysoce prawdopodobne, że grając przez godzinę w dziesiątkę, Albicelestes nie wygraliby z Algierią,

Na koniec turnieju zostały cztery ekipy najlepsze na świecie, pierwsze cztery drużyny rankingu FIFA.

bez Messiego nie daliby sobie rady z Austrią, a wygrana z Jordanią po powrocie lidera mogłaby nie wystarczyć do wyjścia z grupy. A gdyby nawet Argentyna z niej wyszła, to w pierwszych dwóch meczach Messi zdobył pięć goli, dzięki czemu przez całe mistrzostwa świadkowaliśmy fascynującemu pojedynkowi o historyczny prymat w tabeli snajperów, który toczyli Leo i Kylian Mbappé.

Bez tej dramaturgii, bez opowieści o starciu tytanów, idących łeb w łeb po tytuł króla strzelców, bez narracji o pomazańcu bogów, który oszukał czas i w wieku emerytalnym zmierzał ku tytułowi najlepszego gracza turnieju z szansą na Złotą Piłkę, ten mundial nie smakowałby nam tak wspaniale.

W półfinale było już blisko katastrofy. Kiedy Anthony Gordon trafił dla Anglików, zdawało się, że to koniec marzeń Argentyny. Ale Brytyjczycy popełnili strategiczny błąd, ograniczając się do obrony wyniku, cofając głęboko i zachęcając tym samym rywali do nieustannych ataków. Po golu wyrównującym wydarłem się wniebogłosy, sąsiedzi wezwali obsługę hotelu, zaniepokojeni, że dzieje się jakaś okrutna krzywda, a kiedy tłumaczyłem, że to tylko radość, Lautaro Martínez dał Biało-Błękitnym upragniony awans. Ma się rozumieć, oba gole padły po fantastycznych, precyzyjnych asystach Messiego.

Jestem z racji miejsca urodzenia fanem Ruchu Chorzów i Biało-Czerwonych, ale z wyboru umiłowałem sobie Argentynę, pewnie dlatego, że dzieciństwo spędziłem z mundialami piechniczkowymi, a kiedy nagle i nieodwracalnie Polacy odpadli w Meksyku w jednej ósmej, jako nastoletni kibic musiałem znaleźć sobie miłość zastępczą. A wtedy najłatwiej było pokochać Albicelestes – i tak już zostało na kolejne turnieje bez Polaków i tak już w krew weszło, że Argentyna budzi moje najsilniejsze emocje.

Miłośnicy talentu Messiego są zgodni w zachwycie nad strategią trenera Lionela Scaloniego, który układa drużynę pod jednego geniusza, tak aby mógł siebie i nas jeszcze karmić nietuzinkowymi zagraniami. Krytycy uważają, że przez cały turniej Argentyna gra w dziesiątkę, a Messi pomylił pokazowy mecz oldbojów ze zmaganiami o mistrzostwo świata. Że nie biega, lecz stoi,

eprasa.pl 68802d276f



To dzięki sędziemu Szymonowi Marciniakowi Leo Messi mógł pobijać mundialowe rekordy, choć celowo sfaulował Algierczyka Aïssę Mandiego. Kansas City, 16 czerwca 2026 r.

człapie lub truchta – ale jakże on pięknie człapie, ileż idei przy tych spacerach w jego głowie powstaje. Bodaj od czasów perypatetyków nikt tak mądrze nie chodził.

Frakcja teoretyków spisku jest wroga „konusowi", którego jakoby FIFA postanowiła dociągnąć do finału, i w każdej sędziowskiej decyzji, która sprzyjała Argentyńczykom, dopatruje się skandalicznych przekrętów. Tak było też w ćwierćfinale ze Szwajcarią, faktycznie dość niemrawym w wykonaniu obrońców tytułu, zwłaszcza w drugiej połowie, gdy oddali inicjatywę Europejczykom. Szwajcaria wyrównała i złapała wiatr w żagle. Cóż z tego, skoro jej napastnik Breel Embolo w skrajnie bezmyślny sposób wykonał symulkę, za którą dostał drugą żółtą i w konsekwencji czerwoną kartkę. Nigdy nie przestanie mnie zadziwiać skąpa inteligencja zawodników, którzy w dobie VAR, świadomi tego, że dziesiątki kamer wychwycą każdy szczegół ich zachowania, wykonują nieudolne „padolino", licząc na to, że sędzia da się nabrać.

Głupota Embola okazała się dla Argentyny zbawienna. Albicelestes wyrośli na tym mundialu na mistrzów remontad – wygrywali w końcówkach wydawałoby się przegrane mecze z Egiptem i Anglią, w doliczonym czasie strzelali także Szwajcarom i Kabowerdeńczykom, w ogóle zdecydowaną większość goli zdobywali w ostatnim kwadransie gry. Niegdyś to Niemcy słynęli z bezlitosnej gry w końcówkach, teraz przejęli tę mistrzowską cechę Argentyńczycy.

Drugi finalista, Hiszpania, imponował piekielnie szczelną obroną i morderczo skuteczną grą w destrukcji, co wobec naszych przyzwyczajeń musiało zaskakiwać – Hiszpanów kojarzyliśmy raczej z misterną techniką futbolowych artystów. Zdawało się wszystkim, że to Lamine Yamal, obwoływany następcą Messiego na piłkarskim tronie, będzie gwiazdą turnieju, tymczasem wyrósł na nią blok defensywny wzmocniony w środku pola Rodrim i Fabiánem Ruizem.

Jedynego gola stracili Hiszpanie w ćwierćfinale z Belgią, ich bramkarz Unai Simón ustalił niebotyczny rekord, pozostając w kolejnych mundialowych spotkaniach niepokonanym przez... 10 godzin i 49 minut! Aby całkowicie zatrzymać rozpędzonych Francuzów, wystarczyło, bagatela, skupić się na odbiorach i pressingu (Hiszpanie potrafią to robić doskonale, rozegrali 37 meczów z rzędu bez porażki) i liczyć, że w obronie Francja choć raz się pomyli.

Wynik półfinału nie był niespodzianką, lecz skalę bezradności najpiękniej grającej ofensywy tego turnieju już należy uznać za sensację. Przez półtorej godziny Francuzi oddali jeden trudno zauważalny celny strzał, dopiero w doliczonym czasie Ousmane Dembélé dwa razy zmusił Simóna do użycia rąk. Niebywałe, jak Hiszpanie zdominowali środek boiska i jak bezbłędnie zneutralizowali wszystkie atuty Trójkolorowych. To był triumf drużynowej dyscypliny nad romantycznym idiomem francuskiej piłki, opartej na motoryce i technice gwiazd ofensywy.

Na koniec turnieju zostały cztery ekipy najlepsze na świecie, pierwsze cztery drużyny rankingu FIFA, co mi się absolutnie podoba jako piłkarskiemu konserwatyście. Bardzo mnie cieszy, że mimo zaproszenia absurdalnej liczby egzotycznych drużyn (o zgrozo, łysy z FIFA już planuje dalszy rozrost grona uczestników) i ustawienia drabinek pod gospodarzy hierarchia futbolowa pozostała nienaruszona. Za to właśnie lubię mundiale, bo w przeciwieństwie do mistrzostw kontynentalnych nie zdarzają się w nich incydenty w rodzaju dziwacznych triumfów Czechosłowacji w 1976 r., Danii w 1992 r. czy Grecji w 2004 r.

Kto lubi sensacje i piłkarskie rewolucje, niech czeka na Euro. Mundial jak świat światem jest od tego, żeby potwierdzać ustalony stan rzeczy, a im bardziej przy jego regulaminie się gmera, tym łacniej przyjmuję zwycięstwa faworytów. Za mojego kibicowskiego życia dwukrotnie się zdarzyło, że puchar świata jakaś reprezentacja wznosiła po raz pierwszy, i dwakroć miałem z tej przyczyny odczucia wysoce ambiwalentne. Elitarne grono mistrzów na szczęście w tym roku się nie powiększyło. ■

FOT. GRZEGORZ WAJDA/REPORTER

eprasa.pl 68802d276f

KOROWAJOWIE

Domy zawieszone nad przepaścią czasu

Jacek Pałkiewicz

Do Papui Zachodniej jechałem z uczuciem, że spóźniam się na ostatnie przedstawienie świata, którego za chwilę nie będzie. Nie była to zwykła podróż do egzotycznego plemienia ani kolejna wyprawa po obrazek, który można oprawić w ramkę i pokazywać znajomym przy kolacji. Jechałem raczej z niepokojem świadka, który wie, że dotyka czegoś kruchego i przejściowego. Takich miejsc na ziemi zostało niewiele. Przez całe życie szukałem nie tylko geograficznych krańców, lecz także tych ostatnich szczelin, w których człowiek nie został jeszcze zupełnie zmieniony przez cywilizację. U Janomamów nad Orinoko czułem podobny skurcz serca. Na Andamanach, gdzie Jarawa przez lata bronili swojej samotności strzałami z łuków, również miałem świadomość, że patrzę na resztki dawnego porządku. Teraz ten sam cień wisiał nad Korowajami.

Papua Zachodnia jest jednym z tych miejsc, gdzie sama przyroda długo broniła dostępu do kraju. Dżungla nie potrzebuje drutu kolczastego. Ma bagna, malarię, rzeki bez mostów, wilgoć oblepiającą płuca, ścieżki ginące po kilku krokach, owady, pijawki, upał, mrok i strach. Człowiek przybyły z zewnątrz szybko rozumie, że jego zegarek, mapa, buty trekkingowe, aparat satelitarny i zachodnia pewność siebie są tu tylko dekoracją. Prawdziwym panem pozostaje las. To on decyduje, czy pozwoli przejść, czy zatrzyma cię po kolana w błocie, powali gorączką albo zamieni drogę w zielony labirynt bez wyjścia.

W takim świecie Korowajowie mogli żyć poza naszym widzeniem. Nie znali wielkiej historii, granic państwowych, giełd, parlamentów, wojen religijnych Europy ani naszych ideologii. Żyli w małych klanach, rozrzuceni pośród lasu, w świecie sagowców, duchów, zemsty rodowej, łuków, świń, dzieci, ognia i lęku przed nocą. Ich domy, rumah tingi, zawieszone wysoko w koronach drzew, wyglądają jak gniazda olbrzymich ptaków.

Przez lata Korowajowie istnieli w naszej wyobraźni bardziej jako legenda. Mieszkańcy drzew, wojownicy, kanibale, ostatni ludzie epoki kamiennej – tak łatwo Zachód produkuje etykietki. Potrzebuje ich, aby świat był prostszy i atrakcyjniejszy. Turysta chce „dzikości", ale podanej bezpiecznie, z biletem powrotnym, przewodnikiem i możliwością zrobienia zdjęcia. Tymczasem Korowajowie nie są rekwizytem. Są wspólnotą ludzi, którzy znaleźli się wobec wyboru właściwie niemożliwego: zostać w lesie albo wejść w naszą cywilizację i niemal na pewno utracić siebie.

Koniec świata pierwotnego często zaczyna się nie od karabinu, lecz od dobrych intencji.

Historia Nowej Gwinei znała jednak ludzi, którzy próbowali patrzeć na Papuasów inaczej. Nikołaj Mikłucho-Makłaj, rosyjski badacz z XIX w., nie przybył tu jak właściciel świata. Żył wśród miejscowych, obserwował ich z szacunkiem, próbował zrozumieć ich sposób myślenia, zanim europejska antropologia zdążyła spisać własne zasady. W epoce kolonialnej pychy było to coś niezwykłego. Chciał nawet ochronić Papuasów przed niemiecką ekspansją, proponując rodzaj niezależności pod rosyjskim patronatem. Historia miała inne plany. Miejscowych nikt nie pytał o zgodę. Ale pamięć o Makłaju przetrwała, bo ludzie rozpoznają różnicę między tym, kto przychodzi ich zrozumieć, a tym, kto chce ich urządzić po swojemu.

Jest też w tej części świata polski cień – Jan Stanisław Kubary, etnograf, badacz Mikronezji, człowiek o życiorysie poplątanym przez wielką historię, uwikłany w dramatyczne wybory. Powstaniec styczniowy, emigrant, uciekinier, potem przez dziesięciolecia pracujący na Pacyfiku, opisujący wyspy, sporządzający mapy, zbierający materiały naukowe.

Jego los wzrusza mnie szczególnie, bo pokazuje, jak skomplikowana potrafi być biografia. W naszej epoce łatwych wyroków i internetowego moralizowania niewielu rozumie, że człowiek może upaść, a potem przez resztę życia próbować odpokutować ten upadek pracą, samotnością i służbą czemuś większemu od własnej reputacji.

Korowajowie długo nie wiedzieli o nas prawie nic. My również nie wiedzieliśmy o nich. Dopiero na początku lat 80. nad rzeką Becking pojawili się holenderscy misjonarze. Założyli Yanirumę: kościółek, szkołę, ambulatorium, stację radiową, sklepik i prymitywne lądowisko. Tak bardzo często zaczyna się koniec świata pierwotnego – nie od karabinu, lecz od dobrych intencji. Najpierw przychodzi lekarstwo, potem modlitwa, potem żelazna siekiera, zapałki, latarka, ubranie, generator, pieniądz i poczucie wstydu. Cywilizacja rzadko wchodzi do takich miejsc z twarzą kata. Częściej jako dobroczyńca. I dlatego jest tak skuteczna.

W Mabulu zobaczyłem ludzi uwięzionych między dwoma światami. Nie byli już dawnymi Korowajami, ale nie stali się też mieszkańcami naszej cywilizacji. Chodzili po wiosce w podartych T-shirtach, brudnych szortach, czasem w czapkach narciarskich, jakby ktoś ubrał ich w resztki po obcej historii. W ich ruchach była ospałość, w spojrzeniu pustka.

eprasa.pl 68802d276f



Kraina ledwie wydeptanych ścieżek w dżungli, na niedostępnych terenach bagiennych.



Świat brutalnie wdziera się w życie Korowajów i burzy odwieczne reguły przodków.

eprasa.pl 68802d276f

Utracili dawną lekkość, a nie otrzymali niczego, co mogłoby ją zastąpić. Kiedy na trawiastym lądowisku siadała awionetka z turystami, zaczynał się spektakl. Mężczyźni wracali do nagości, chwytali łuki, dzidy i strzały, zakładali ozdoby. Przez chwilę stawali się tym, czego oczekiwały aparaty fotograficzne: egzotycznym kadrem z „końca świata". Ich życie, jeszcze niedawno prawdziwe, teraz sprzedawało się w kawałkach.

Nie potępiam ich. Ktoś, kto nigdy nie głodował i nie musiał sprzedać własnej godności za sól, tytoń czy kilka banknotów, powinien ostrożnie udzielać moralnych pouczeń. Ale ten widok boli. Kiedy kultura staje się pokazem dla przyjezdnych, traci wewnętrzny oddech. Rytuał zmienia się w przedstawienie, wojownik w modela, nagość w atrakcję, a przedmiot codziennego użytku w pamiątkę. Turysta wraca zadowolony, bo „widział dzikich". Nie wie, że często oglądał już tylko cień dawnego życia, dobrze ustawiony pod obiektyw.

Mimo to głębiej w lesie istnieli jeszcze Korowajowie mniej dotknięci przez nasz świat. Do nich prowadzi nie droga, ale wysiłek, cierpliwość i zgoda na niewygodę. Marsz przez równikowy las brutalnie przypomina, czym naprawdę jest podróż. Nie ma nic wspólnego ze słowem „przygoda". To błoto, pot, brzydki zapach mokrej odzieży, podrapane ręce, plecak wżynający się w ramiona, śliskie korzenie, kolce, komary i powietrze tak wilgotne, jakby oddychało się przez mokry ręcznik. Po kilku dniach człowiek przestaje interesować się romantyzmem dżungli. Myśli o następnym kroku, o łyku wody, o tym, żeby nie skręcić nogi, nie zgubić ścieżki, nie dostać gorączki.

Po wielu godzinach marszu zobaczyliśmy resztki pierwszego rumah tingi. Chatka wisiała wysoko w konarach, ale właściwie była już szkieletem. Jej mieszkańcy odeszli, bo w okolicy zabrakło sagowców.

Następne miejsca okazały się już dotknięte przez turystów. Nasz przewodnik mówił o nich z lekceważeniem, jakby były skażone. Prawdziwa granica miała leżeć dalej, pięć dni marszu w głąb lasu. Holenderscy misjonarze nazywali ją kiedyś linią demarkacyjną: progiem między światem znanym i nieznanym. Takiej granicy nie ma na żadnej mapie. Istnieje tylko w opowieściach tragarzy.

Wreszcie stanęliśmy na skraju wykarczowanej polany. Pośród pni, nad wysoką trawą i spalonym słońcem błotem zobaczyliśmy chatkę na drzewie. W tej samej chwili z lasu dobiegły okrzyki. Kilku wojowników ruszyło w naszą stronę z łukami. Ich twarze wyrażały nie ciekawość znaną z turystycznych spotkań, lecz nieufność, gniew i gotowość do obrony. Szczupli, ciemnoskórzy, z kością wsuniętą u nasady nosa, mierzyli do nas jak ludzie, którzy dobrze wiedzą, że obcy może oznaczać nieszczęście.

Cornelius oraz tłumacz wyszli naprzód. Staliśmy nieruchomo, udając spokój. W takich chwilach człowiek wyraźnie rozumie, że cała jego cywilizacyjna pewność siebie jest cieniutką warstwą lakieru. Kilka napiętych minut, trochę gestykulacji, podarki i dyplomacja Corneliusa zrobiły swoje. Otrzymaliśmy zgodę na pozostanie.

Kobiety trzymały się na uboczu. Miały spódniczki z włókien sagowca, obwisłe piersi, zaokrąglone brzuchy i spojrzenia, w których mieszały się lęk, zdumienie i ciekawość. Dzieci obserwowały nas jak istoty z innego porządku. Kiedy zdjąłem przepoconą koszulę, uciekły z krzykiem. Były przekonane, że zrzucam z siebie skórę. Ten moment powiedział mi więcej o odległości między nami niż długie rozprawy antropologiczne. My przywieźliśmy kamery, GPS-y, komputery i telefony satelitarne. Oni patrzyli na ubranie jak na część ciała.

Przez kilka dni obserwowaliśmy codzienność klanu. Mężczyźni ścinali palmę sagową, kobiety rozbijały jej rdzeń na miazgę, płukały włókna wodą, oddzielały białawą mączkę. Z niej powstaną podpłomyki. Jedna palma może wyżywić rodzinę przez dwa, trzy tygodnie. Potem ścięty pień staje się wylęgarnią larw chrząszczy – tłustych, grubych, jadanych na surowo albo pieczonych w liściach. Europejczyk patrzy na to z oporem żołądka, ale w lesie nie ma miejsca na nasze kulinarne miny. Las daje to, co daje. Kto chce przeżyć, musi się nauczyć przyjmować jego dary bez grymasów.

Gdy patrzyłem na Korowajów, wracało do mnie pytanie, z którym mierzyłem się już wiele razy: co właściwie znaczy ratować ginącą kulturę? Mario Vargas Llosa pisał, że gdyby musiał wybierać między zachowaniem indiańskich kultur a ich pełną asymilacją, z głębokim



Nie wolno romantyzować cudzej biedy tylko dlatego, że pięknie wygląda w reportażu. Ale asymilacja rzadko jest uczciwą wymianą.

eprasa.pl 68802d276f



Nadrzewna rumah tingi na wysokości trzeciego piętra, w której mieszkają rodziny z psami, świniami i kurczakami.



Żerdź z głębokimi nacięciami na jedynej drodze do domostwa.

smutkiem wybrałby integrację, bo najważniejsza jest walka z głodem i ubóstwem. Rozumiem tę myśl. Nie wolno romantyzować cudzej biedy tylko dlatego, że pięknie wygląda w reportażu. Ale wiem też, że asymilacja rzadko jest uczciwą wymianą. Zwykle słabszy oddaje język, obyczaj, dumę, samowystarczalność i pamięć, a w zamian dostaje używaną koszulkę, trochę ryżu, choroby cywilizacji i poczucie niższości.

Kiedy opuszczałem Korowajów, miałem wrażenie, że nie żegnam „ludzi z epoki kamienia", jak lubią pisać kolorowe magazyny, lecz wspólnotę stojącą na krawędzi przepaści. Za nimi były las, duchy, siedliska w koronach drzew i pamięć przodków. Przed nimi szkoła z blaszanym dachem, generator, sklepik, urzędnik, misjonarz, turysta, aparat fotograficzny i administracyjna obietnica lepszego życia. Być może Korowajów nie da się ocalić, można im tylko nie przeszkadzać. Ale nawet to brzmi dziś naiwnie, bo nasz świat już stoi pod ich drzewem.

Jacek Pałkiewicz, reporter, odkrywca źródła Amazonki, survivalowy guru, uczył kosmonautów i jednostki antyterrorystyczne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach

FOT. JACEK PAŁKIEWICZ (2), SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 68802d276f

Dlaczego wszyscy jedzą sardynki?

#sardinegirlsummer nowy kulinarny symbol lata

Chrystian Ślusarczyk

Globalny bum na zdrową żywność trwa. I nic nie wskazuje na to, by szybko ustał. Po bananach, kurkumie, nasionach chia, komosie ryżowej, fermentowanych warzywach, jagodach goji i jarmużu swoje pięć minut mają sardynki. Wiralowy trend #sardinegirlsummer sprawił, że sardynka stała się obowiązkowym symbolem dla wszystkich, którzy chcą być na bieżąco z modą. Ryba ta pojawia się wszędzie. Znajdziemy ją na torbach, koszulkach, ręcznikach, talerzach i kubkach. Stała się nawet popularna jako… tatuaż.

W wielu krajach w nadmorskich restauracjach świata pieczona makrela czy dorsz bywają podawane zgodnie z najnowszym trendem – na talerzach z wizerunkiem... sardynek! Google donosi, że liczba wyszukiwań haseł „sardynki" i „post sardynkowy" wzrosła w ostatnich kilku miesiącach o 5000%!

Tego lata moda na skromnie wyglądającą sardynkę i sardynofilia wydają się osiągać szczyty.



Kolorowe puszki z sardynkami urosły do rangi luksusowej pamiątki z zagranicy.

Smak i zdrowie – czego chcieć więcej?

W porównaniu z innymi nacjami ryb jemy zdecydowanie za mało. Statystyki pokazują, że szczególnie rzadko sięgamy po sardynki. W Polsce ryby te stanowią jedynie ułamek procenta krajowego spożycia. Statystyczny Polak zjada rocznie ok. 13 kg wszystkich ryb, z czego zdecydowaną większość stanowią gatunki takie jak śledź, łosoś i dorsz.

Tymczasem sardynki to wyjątkowy mariaż smaku i walorów zdrowotnych. Prawie zawsze z cytryną, nierzadko z czosnkiem, kaparami, piklami, musztardą, koperkiem, pietruszką lub oliwkami czy papryczkami – żeby były bardziej pikantne. Pojawiają się jako pasztety. Z makaronem. W sałatce. Na mniej lub bardziej wymyślnej kanapce. Jeśli ktoś lubi ryby czy owoce morza, raczej mało prawdopodobne, by nie polubił sardynek. Jeśli my polubimy sardynki, nasz organizm polubi je jeszcze bardziej.

Sardynki mają sporo witaminy D i B12. To ważne witaminy – bez nich nasz organizm nie mógłby normalnie funkcjonować. Niedobór witaminy D powoduje bóle kości, stawów, podnosi ryzyko wystąpienia cukrzycy, a nawet depresji.

Jedząc sardynki w całości, czyli z ich delikatnymi, jadalnymi ośćmi, dostarczamy organizmowi imponującą dawkę łatwo przyswajalnego wapnia. W 100 g sardynek znajdziemy ok. 382 mg wapnia, a to niemal 40% dziennego zapotrzebowania. To z kolei pierwiastek niezbędny do utrzymania prawidłowej gęstości mineralnej kości, skutecznie zapobiega osteoporozie zarówno u osób starszych, jak i dzieci.

Z kolei badania naukowców z Harvardu wykazały, że wystarczy spożywać dwie puszki sardynek tygodniowo, by zapewnić sobie odpowiednią ilość kwasów Omega-3. One z kolei redukują ryzyko chorób serca o jedną trzecią. Zawarty w sardynkach potas, magnez i cynk pomagają obniżyć ciśnienie krwi oraz utrzymać prawidłowy poziom lipidów.

Sardynkowy post dr Boz

Wpływ na sardynkowy bum ma bez wątpienia dr Annette Bosworth, specjalistka chorób wewnętrznych w klinice Meaningful Medicine w Sioux Falls w Południowej Dakocie w USA. Amerykanka, do której szybko przylgnął przydomek Dr Boz, zaczęła promować dietę znaną jako „post sardynkowy Dr Boz". Pomysł jest prosty – 72 godziny „głodówki" sardynkowej, czyli trzy dni jedzenia wyłącznie sardynek z puszki – po to, by organizm zaczął spalać tłuszcz,

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 68802d276f

a nie glukozę. W rezultacie postu waga i poziom cukru we krwi spadają, cholesterol i ciśnienie krwi zostają wyrównane, a mózg zostaje odżywiony, co wpływa na koncentrację. W przeciwieństwie do tuńczyków i dorszy sardynki nie kumulują rtęci. Sardynkowa trzydniówka zapewnia też dodatkowy bonus w postaci… poprawy nastroju.

Dla kobiet w sardynkowej diecie dr Boz najbardziej kuszące okazało oczyszczanie skóry, w wyniku którego staje się ona gładsza niż po stosowaniu renomowanych kosmetyków.

Do wzrostu zainteresowania dietą sardynkową przyczynił się też artykuł popularnej dziennikarki Hany Coates z „Vogue'a". Postanowiła ona rozpocząć trzydniową dietę sardynkową. Dziennikarka przyznała, że je sporo ryb i owoców morza, ale to, co spotkało ją po sardynkowej trzydniówce, przerosło wszelkie oczekiwania. „Skóra na twarzy stała się wyjątkowo gładka i miała piękny, zdrowy odcień", nie mogła się nadziwić.

Dzieła sztuki

W Bałtyku sardynek nie złowimy. Sardynki europejskie (*Sardina pilchardus*) występują za to w Morzu Śródziemnym i przy atlantyckim wybrzeżu Hiszpanii, Portugalii, Francji oraz Wielkiej Brytanii. Sardynka pacyficzna występuje w różnych rejonach Pacyfiku i Oceanu Indyjskiego, jest także poławiana przy wybrzeżach północnej Japonii i Ameryki Południowej (zachodnie wybrzeże) oraz Australii i RPA. Sardynki łowi się o różnych porach roku, ale te złowione we wrześniu są najlepszej jakości.

Największym producentem i eksporterem konserwowych sardynek jest Maroko – odpowiada za ponad połowę globalnej produkcji tych ryb (ok. 60%). Najlepsze sardynki na świecie pochodzą jednak z Portugalii. Uznawane są za najtłustsze, największe i najsłodsze. Ich sekret tkwi w tradycyjnym, rzemieślniczym przygotowywaniu – są ręcznie czyszczone, odpowiednio układane (co nie pozostaje bez znaczenia) w puszkach i dojrzewają w oliwie.

Portugalia od wieków jest nierozerwalnie związana z sardynkami. To jej kulturowo-kulinarny symbol. Ryby te stały się narodową dumą ze względu na bogatą tradycję połowów w chłodnych wodach Atlantyku, znakomity smak oraz ważną rolę, jaką pełnią w czasie festynów. W czerwcu, podczas hucznych obchodów tzw. Festas dos Santos Populares (zwłaszcza 13 czerwca, w noc św. Antoniego w Lizbonie), grillowane sardynki je się na ulicach całego kraju. Ich charakterystyczny zapach unosi się wtedy niemal wszędzie.

Od wieków najpopularniejszym sposobem podawania srebrzystych rybek jest danie *sardinhas assadas* – świeże ryby oprószone solą, grillowane na węglu i serwowane w całości na kromce chleba lub z gotowanymi ziemniakami i sałatką.

W Lizbonie czy Porto znajdziemy sklepy, w których sprzedaje się tylko sardynki. Mało tego – sprzedaje się je tam tylko w jednej z wielu wersji ich podania – w metalowych puszkach. Kolorowe, niewielkie puszki z sardynkami urosły do rangi kultowej pamiątki. Są tak piękne, że nie chce się ich otwierać i niszczyć. Wśród turystów szczególną popularnością cieszą się sardynki w puszce z wydrukowanym na opakowaniu rokiem urodzenia. Marketingowo pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę – któż bowiem nie chciałby mieć konserwy z własną datą urodzenia.

Jeśli my polubimy sardynki, nasz organizm polubi je jeszcze bardziej.

Opakowania są tak wymyślne, że przyciągają uwagę kolekcjonerów, artystów i projektantów. Nie brakuje serii limitowanych czy opakowań o dziwnych kształtach, które na giełdach kolekcjonerskich osiągają horrendalne ceny! Na Zachodzie przez jakiś czas poszukiwane były puszki w stylu art déco. Niezwykle cenne dla kolekcjonerów są też opakowania malowane ręcznie.

Szprotki to nie sardynki

Jakie zatem sardynki w puszce są najlepsze? Do najbardziej cenionych marek sardynek w puszkach należą Nuri (Pinhais), Jose Gourmet, La Gondola, Ortiz, Real Conservera Española, Ramón Peña, La Belle-Iloise, La Perle des Dieux. Cenionymi producentami są również firmy z Anglii, Holandii, Japonii, Maroka i z Polski. Nad Wisłą spotkamy zaskakująco wiele firm produkujących konserwowe sardynki. Importują one surowiec z łowisk oceanicznych, a następnie w rodzimym fabrykach odpowiednio je przetwarzają i pakują.

Warto pamiętać, że w polskich zakładach na masową skalę zamiast tradycyjnej sardynki puszkowane są też szprotki. Dzieje się tak ze względu na podobieństwo wielkości, kształtu, a także smaku. Jeśli chcemy być pewni, że na 100% kupujemy prawdziwe sardynki, a nie szprotki czy nawet tańszą kuzynkę oryginału – sardynelę, powinniśmy zapoznać się ze składem produktu na etykiecie.

Sardynki nie są tanie. Zatem ceny puszek nieróżniące się od tych ze śledziami czy makrelami natychmiast powinny wzmóc naszą czujność.

Konserwy z sardynkami (tymi prawdziwymi) należy przechowywać w chłodnym, suchym miejscu i obracać co kilka miesięcy, tak aby tłuszcz równomiernie się wchłonął. Dobre sardynki nie powinny rozpadać się od razu po naciśnięciu, lecz pozostać nienaruszone, mieć błyszczącą skórkę oraz czysty morski smak, który nie został utracony w marynacie. Smak najlepszych okazów jest nasycony słodkimi, niemal owocowymi, nutami.

Rzeczone owocowe nuty nasuwają kolejne – wbrew pozorom całkiem istotne – pytanie: co do sardynek? I tu dochodzimy do kulinarnej niespodzianki. Nad Wisłą większą popularnością niż same ryby cieszą się bowiem pasujące do nich wina. A w przypadku sardynek wybór jest prosty. I jak najbardziej klasyczny: sardynki rodem z Portugalii w każdej postaci lubią portugalskie, orzeźwiające wina o wysokiej kwasowości, takie jak popularne u nas vinho verde. Dobrym wyborem będą też musujące, popularne w Polsce, cava czy prosecco oraz niesłusznie zapominany u nas rodzimy wytrawny cydr.

■

eprasa.pl 68802d276f

Anna Bittner



Urodzeni ratownicy

Portugalskie psy dowodne

Portugalski pies dowodny to duma Portugalek i Portugalczyków. Nie wynika to jedynie z faktu, że sam Barack Obama publicznie prezentował swoje dwa pupile tej rasy. Okazuje się, że historia tej rasy jest arcyciekawa! W latach 70. te zwierzęta niemal wyginęły, a jedną z przyczyn było zmniejszone zapotrzebowanie na ich pracę. Tak, pracę. Otóż były one wiernymi towarzyszami rybaków. Jak sama nazwa wskazuje, to psy, które (przynajmniej teoretycznie) kochają wodę. Przez wiele lat były członkami załogi łodzi rybackich, aktywnie pomagającymi w połowach. Ale nie tylko! Wedle przekazów historycznych w XVI w. psy tej rasy towarzyszyły portugalskim żeglarzom oraz jednostkom marynarki wojennej. Ich pomoc polegała na wciąganiu sieci, przenoszeniu wiadomości między statkami i łodziami czy nawet na ląd, ale także na ostrzeganiu przed rekinami, które podobno potrafią wyczuć. Ze względu na te umiejętności psy dowodne zabierano także na polowania, co wywindowało je do statusu ulubionego psa arystokracji.

W latach 70. te zwierzęta niemal wyginęły, a jedną z przyczyn było zmniejszone zapotrzebowanie na ich pracę.

Pod koniec XIX w. król Karol I miał dwa portugale (tak potocznie mówi się na nie w Polsce), nazwane na cześć rzek Tejo i Sado, które towarzyszyły rodzinie królewskiej podczas wakacji na jachcie. Sam król uwieczniony został z psami na wielu fotografiach, które zachowały się do dziś. Także na żaglowcu szkolnym marynarki wojennej „Creoula" zamieszkały psy, które funkcjonowały jako ambasadorowie marynarzy po przybyciu do portu.

Ważną postacią jest tu Vasco Bensaúde, przedsiębiorca z Azorów, który zainteresował się portugalskimi psami dowodnymi w latach 30. XX w. – podróżował z pupilami na pokładzie „Creouli", a także przyczynił się do odnowienia rasy oraz ustanowił jej wzorzec pod postacią psa o imieniu Leao.

Dlaczego akurat ta rasa tak idealnie sprawdziła się jako towarzysz rybaków i żeglarzy? W dużej mierze zdecydowały o tym cechy fizyczne: błona pławna między pazurami czy niebieskawa skóra porośnięta włosem. Psy dowodne nie mają podszerstka, a co za tym idzie nie linieją, ich włos strzyżony jest tradycyjnie na wzór lwa: goli się więc pysk oraz tył ciała od ostatniego żebra. Długie włosy na głowie i klatce piersiowej chronią je przed zimnem oraz palącym słońcem, krótkie z tyłu umożliwiają szybkie pływanie i manewrowanie.

Na końcu ogona pozostawia się chwost, który pomaga w odnalezieniu czworonoga. Włos może być falisty lub kręcony, a ubarwienie od czarnego po brązowe, z białymi plamami.

(…) Psy dowodne chętnie nurkują, potrafią przez długi czas szukać przedmiotów pod wodą, następnie je uchwycić i wydobyć na powierzchnię. Dziś wiele z nich szkolonych jest na ratowników, ponieważ świetnie sobie radzą z wyciąganiem tonących. Niektóre pracują także w domach opieki dla osób starszych czy z niepełnosprawnościami, inne zaś są szkolone do pomocy w służbie celnej.

Umiejętności psów, trenowanych przez właścicieli, sprawdzane są podczas specjalnych prób pracy w wodzie organizowanych w formie konkursów. W Lagos czy Sagres regularnie odbywają się takie mistrzostwa, a obserwowanie psów, gdy na komendę wbiegają do wody, by wyłowić obiekty, nurkują czy wyskakują ze znacznie oddalonej od brzegu motorówki, by dopłynąć na plażę, jest niezwykle ciekawe.

Obecnie najwięcej psów dowodnych mieszka w Stanach Zjednoczonych, sporo hodowli jest także w Skandynawii. (…) Psy tej rasy są bardzo przyjazne i bystre, chętnie się uczą (…) i kochają aktywności nie tylko wodne. (…) Portugalski pies dowodny jest bardzo charakterystyczny dla Algarve, ale w Portugalii, a nawet na Azorach, jest wiele innych ras endemicznych, takich jak pies stróżujący, podengo, wyżeł, owczarek czy pies górski. (…)



Fragmenty książki Anny Bittner *Portugalia. W objęciach oceanu*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2026

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 68802d276f



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Podobrazie rzeczywistości

Do morza to ja rzadko i niechętnie, ale dzieciak chciał przez fale poskakać, wysokie akurat, bo wiało, pozwoliłem mu tylko pod opieką własną. Tyle że ja bez okularów nikogo nie upilnuję, to ich nie zdjąłem, wlazłem tak niby tylko po uda, ale to wystarczyło, straciłem równowagę, a zanim się podniosłem, druga fala już mi okulary zdjęła, przekazała trzeciej, a ta gdzieś je zabrała na pełne morze albo zawinęła pod piach. No i koniec z pilnowaniem, koniec z wyraźnym widzeniem czegokolwiek, zapomniałem zapasowych szkieł, na nowe musiałem poczekać trzy dni. A były to dni pokory i niepełnosprawności wzrokowej, dyskomfortu i bez mała żałoby, bo powiedzieć, że się człowiek z okularami zżywa, to nic nie powiedzieć, człowiek się z nimi zrasta, więc kiedy je traci, to jakby część ciała utracił.

Odruchy miałem fantomowe, np. poprawianie nieistniejących oprawek na nosie albo wymacywanie ich na stoliku nocnym po przebudzeniu, chciałem nawet je sobie przetrzeć chusteczką, zanim sobie przypomniałem, że widzę niewyraźnie, bo okulary stracone.

Dziwne to jest wyobcowanie, bo się twarzy w ogóle nie widzi, tylko sylwetki ludzkie, nie sposób zatem nikogo rozpoznać inaczej, niż podchodząc całkiem blisko, w ten sposób wciąż się przekracza czyjąś strefę komfortu, zanim trafiłem na znajomą osobę płci żeńskiej, parę obcych kobiet wzięło mnie za niewyżytego voyeura. Antoś nagle swoje klasyczne „Tato, znajdź mi…" kierował w próżnię, sam sobie musiał odszukiwać w bałaganie podłogowym rzeczy na wakacyjny trening, bo mu żal było patrzeć na starego, który z nosem przy podłodze próbuje odróżnić getry od skarpetek.

Podziwianie widoków – zapomnij, zwiedzanie zabytków – nonsens, ale podczas oglądania wieczornej rewii tanecznej z udziałem nadzwyczaj zgrabnych dziewcząt już nie wytrzymałem i zacząłem patrzeć przez telefon (o tempora, o mores – patrzeć przez telefon), po chwili jednak dopadła mnie czujna obsługa i chciała ukarać za nielegalne nagrywanie spektaklu.

Z czasem się poddałem, przywykłem do świata z grubsza naszkicowanego, zamiast obrazu rzeczywistości miałem jej zagruntowane podobrazie z pierwszymi próbnymi maźnięciami farbą, hotelowe kwiecie widziałem po monetowsku, na sparingach Antka dopingowałem generalnie drobnych blondynów, na wszelki wypadek uśmiechałem się do wszystkich mijanych ludzi, w ogóle półślepota złagodziła moje obyczaje, niczego bowiem nie byłem pewien, kontury się rozmyły, to i myśli stępiały, świat stracił na ostrości, nabrał zaś umowności, aż w końcu nabrałem doń dystansu, który całkiem mi się spodobał, wszystko wokół było bowiem cokolwiek nierzeczywiste, powinienem mieć przy sobie przewodnika, który by mi tłumaczył, czego nie dostrzegam.

Zamożny przyjaciel przywiózł sobie z Ameryki okulary AI, mówi, że muszę koniecznie przymierzyć, bo choć to na razie tylko gadżecik, już dość pomocny, on z nimi ciągle rozmawia (rozmawia z okularami, pora umierać) i jeśli np. poprosi o identyfikację dowolnej osoby, okulary robią zdjęcie i przeszukują bezkresną bazę danych. On jest lekarzem, boi się, że wykładnicze tempo rozwoju sztucznej inteligencji zaraz mu zabierze robotę, bo niewiele już tym okularom brakuje, żeby na podstawie widomych na pierwszy rzut oka znaków rozpoznawały chorobę, wszak aplikacje do rozpoznawania roślin automatycznie już dodają informację „roślina wygląda na zdrową/chorą" i sugerują rodzaj terapii.

W największych miastach Kalifornii jeździł autonomicznymi taksówkami, które są na razie nieco droższe od Ubera, ale taksówkarze są tam z całą pewnością jedną z najbardziej zagrożonych grup zawodowych. Te taksówki na autopilocie wciąż są udoskonalane i przeprogramowywane, ostatnio np. wzięto pod uwagę, że nie zwykły zwalniać przy pokonywaniu kałuż, więc ochlapywały przechodniów, teraz już się nauczyły tego nie robić.

Przyjaciel przywiózł z Ameryki okulary AI. Choć to na razie gadżecik, już dość pomocny, on z nimi ciągle rozmawia (rozmawia z okularami, pora umierać).

Wszelako trzeciego dnia, na do widzenia niedowidzeniu, zobaczyłem sobie w telefonie, z nosem przy ekranie, nową wersję „Wichrowych wzgórz" w reżyserii Emerald Fennell, by natychmiast po odzyskaniu sprawności oczu obejrzeć je jeszcze raz na większym ekranie, choć powinno się to uczynić w kinie, albowiem wizyjność operatorska i scenograficzna tego filmu zapiera dech. Niestety, Fennell padła ofiarą mojej wiary w kompetencje krytyków filmowych młodego i średniego pokolenia, którzy wiosną tego roku jej adaptację spostponowali, tymczasem jest to film brawurowy, ekspresjonistyczny i okrutnie piękny nie tylko za sprawą Margot Robbie i Jacoba Elordiego – gorąco polecam wszystkim, którzy rzecz przegapili, aby sobie taką ucztę urządzili dzięki VOD. ■

eprasa.pl 68802d276f

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery L ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- fragment tekstu od wcięcia do wcięcia
- dla starożytnych Greków okres szczytowego rozwoju, rozkwitu
- odmiana gipsu lub forma kalcytu
- Północna, Środkowa albo Południowa
- …chilijska, nazywana małpim drzewem
- wyjście piłki za obręb boiska
- opowiadacz niestworzonych historii
- stał się niewypłacalny
- szafka pełna procentów
- superbohater z Gotham City
- sklep z modną, ekskluzywną odzieżą
- drzewo iglaste z gór Atlas
- owoc palmy i stopa wierszowa
- kto na niego wezwany, zostanie upomniany
- niebieski… śmierci w Windowsie
- anoda lub katoda
- syn Afrodyty i Aresa
- dla nich krzyżówki to pestka
- pogląd głoszący samoistną wartość sztuki
- prowizoryczny ścieg
- Międzynarodowa Stacja Kosmiczna w skrócie
- jednostka monetarna używana w Chinach
- odmiana dyni o wydłużonych, jasnożółtych owocach
- dawniej biuro fabryki
- grająca ludowa, rockowa lub janczarska
- poda gościom kartę i zamówione dania
- zbroja osłaniająca sam tułów
- tam Amalienborg i Tivoli
- wyspa z Ajaccio i Bastią
- urządzenie do powielania zadrukowanych stron
- przejęzyczenie
- zwierzak z Madagaskaru
- …Warmiński, miasto nad Łyną
- miasto z posiadłością Elvisa Presleya
- przez jej głód trudno rzucić palenie
- …2000 – miotła wyścigowa
- ptak jak skok do wody
- i część sztuki, i kolejna przyjmowana forma
- bólu, radości lub wojenny
- i drzewo, i tenisistka Aleksandra
- …gleby pobierane do badań
- niski, miękki taboret
- i wygłaszany, i dział instytucji, urzędu
- imię aktorki Hayworth
- trójwymiarowe dzieło sztuki
- z niej trębacz w tytule opowiadania Pruszyńskiego
- Jean-Paul, był związany z Simone de Beauvoir
- rytmiczna w zespole, brydżowa lub koszykówki
- rozszczekane stado
- Ifigenia dla Elektry
- przechylająca się …zwycięstwa
- Apoloniusz, były trener skoczków narciarskich
- zapora wodna
- trójgłowy mięsień ramienia
- pracowanie nad dziełem sztuki
- śmieszna sytuacja, dobra zabawa
- w Krewie albo lubelska
- ciężka podróżnego lub dyplomatyczna niepodlegająca kontroli
- i ukrop, i wrażenie gorąca np. ze wstydu
- spoglądanie ukradkiem

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1283”. Do rozlosowania książki „Posiadacz” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 26 lipca 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1280” z nr. 27: *Nikt się mistrzem nie rodzi.*
Nagrody otrzymują: Wacław Czop z Bytomia, Małgorzata Szymanek z Kielc, Zbigniew Żbikowski z Gorzowa Wielkopolskiego.

eprasa.pl 68802d276f

Kanada dla wybranych

Zjechał do Polski Witold Dzielski, ambasador w Kanadzie. Zjechał po czterech latach, jak z podręcznika. Na jego miejsce minister Sikorski zamierzał wysłać Krzysztofa Liska, byłego eurodeputowanego PO. Wszystko było już ustalone, była już nawet zgoda Kanadyjczyków, ale kancelaria prezydenta Nawrockiego poinformowała, że prezydent nie podpisze Liskowi nominacji ambasadorskiej.

Po tej deklaracji Lisek zrezygnował z kandydowania. Doszedł do wniosku – tak opisały to media – że jako chargé d'affaires a.i., gdy obecna koalicja straci za kilkanaście miesięcy władzę, zostanie odwołany. Uznał więc, że nie warto.

Proces wyłaniania kandydata na ambasadora w Kanadzie rozpoczyna się zatem na nowo i pewnie potrwa kolejnych kilka miesięcy. Ambasada będzie w stanie tymczasowym i szkoda to wielka, bo akurat Kanada w naszej polityce zaczyna odgrywać rolę znacznie większą niż wcześniej.

Czy tak musiało być? Oczywiście nie musiało. I tym razem wina leży po stronie Radosława Sikorskiego. Po pierwsze, błędem była kandydatura Liska. To nie jest zawodowy dyplomata, w MSZ nie przepracował nawet 15 minut, to działacz partyjny, związany ze środowiskiem gdańskim, więc i z Donaldem Tuskiem. Najpierw był w NZS, potem w KLD – i tak się wiezie przez życie.

Z tego punktu widzenia Sikorski ułatwił Nawrockiemu powiedzenie „nie". No i drugi cios otrzymał od Liska – ten zostawił MSZ na lodzie, rezygnując, gdy się dowiedział, że nie będzie ambasadorem. Doprawdy, wierzył, że Nawrocki podpisze mu nominację? A Sikorski nie wyprowadził go z błędu? Mamy więc do czynienia albo z potężną naiwnością, albo z nieodpowiedzialnością.

Ale cała sprawa ma też inne podteksty. Dzielski pojechał do Ottawy wprost ze stanowiska dyrektora Biura Spraw Zagranicznych w kancelarii prezydenta Dudy. De facto jako polityczny nominat. Okazało się jednak, że był dobrym ambasadorem. Czy nie lepiej więc było zostawić go na kolejny rok, zamiast wprowadzać zamieszanie?

Druga uwaga dotyczy tych, których Rzeczpospolita w ostatnim czasie wysyłała do Kanady. Trudno oprzeć się wrażeniu, że wybierano nie spośród fachowców (choć i tacy byli), ale z grona zasłużonych działaczy studenckich.

Bo nie tylko Krzysztof Lisek, który się wycofał, to działacz NZS. Dzielski również ma na koncie działalność w organizacjach studenckich. Jego poprzednik, Andrzej Kurnicki, to założyciel NZS na Wydziale Zarządzania UW. Także amator, do Ottawy pojechał wprost z Banku Ochrony Środowiska. Przed nim ambasadorem w Kanadzie był Marcin Bosacki, obecny wiceminister. Ale wtedy jechał do Ottawy z posady rzecznika MSZ i byłego dziennikarza „Gazety Wyborczej" oraz działacza – uwaga – Szkolnych Kół Oporu Społecznego.

Dopiero przed nim ambasadorami były osoby z wyższej półki – Zenon Kosiniak-Kamysz i Piotr Ogrodziński. Kosiniak-Kamysz, stryj obecnego prezesa PSL, to były wiceminister w MSWiA i MON, zawodowy dyplomata. Dziś ambasador w Austrii – nominację podpisał mu w kwietniu 2025 r. prezydent Andrzej Duda. Piotr Ogrodziński to też dyplomata zawodowy, dyrektor Departamentu Ameryki w MSZ.

Może więc czas porzucić tradycję wysyłania do Ottawy zasłużonych bojowników i wprowadzić zwyczaj, że to miejsce dla zawodowców?

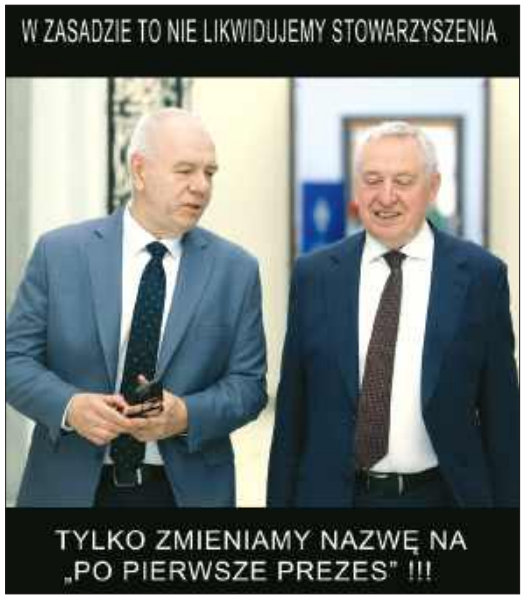
Attaché



Astronauci Anil Menon (NASA) i Piotr Dubrow (Roskosmos) na konferencji prasowej przed startem 75. misji na Międzynarodową Stację Kosmiczną. Bajkonur, 13 lipca 2026 r.

FOT. IMAGO/YURI KOCHETKOV/EAST NEWS

eprasa.pl 68802d276f







zwierciadło

PAWEŁ PAWLIKOWSKI,
REŻYSER, SCENARZYSTA

Co ciekawe, Thomas Mann był bardziej życzliwie nastawiony do Niemiec Wschodnich niż do Niemiec Zachodnich. Wschodnie przynajmniej próbowały budować coś nowego. Pozbyły się nazistów i stworzyły nowy porządek, który wydawał się bardziej przejrzysty i jednoznaczny. Natomiast na Zachodzie – zarówno historycznie, jak i w moim filmie – panował pewien chaos. Nie bardzo wiadomo było, czego tu wszyscy właściwie chcą. Na pewno każdy czegoś od Manna oczekiwał. Trzeba pamiętać, że stalinowskie czystki i masowe zbrodnie nie były jeszcze wówczas powszechnie znane. Wielu ludzi było gotowych dać temu systemowi kredyt zaufania. Oczywiście Mann był wystarczająco przenikliwy, by dostrzegać niepokojące sygnały. Widział obecność policji politycznej, atmosferę kontroli i nadzoru. Rozumiał, że nie jest to świat, z którym mógłby się w pełni utożsamić. Mimo to zachowywał pewną życzliwość wobec tego eksperymentu.

TYGODNIK ANGORA

MICHAŁ LISTKIEWICZ,
SĘDZIA PIŁKARSKI, BYŁY PREZES PZPN

Sędziowie bardziej polegają teraz na wynalazkach technicznych niż na zdrowym rozsądku i intuicji. Wyjątkiem jest Szymon Marciniak. Przypomnę, że cztery lata temu na mistrzostwach świata w Katarze podjął niezwykle trudne decyzje prawidłowo, bez potrzeby wideoweryfikacji. Szef sędziów, słynny Włoch Collina, żartobliwie podsumował wtedy: „Po co wydajemy tyle forsy na sprzęt wideo, skoro facet z Polski prawidłowo ocenia boiskowe sytuacje bez pomocy VAR". Odpowiednio stosowany VAR jest potrzebny, ale nie można przesadzać. (…) Coraz więcej mamy sędziów, którzy bez VAR nie dadzą sobie rady na boisku. Najważniejsze dla nich są słuchawka, mikrofon, kamera i monitor do sprawdzania. To aktor jest kiepski, jeśli sufler podpowiada mu całą kwestię. Podobnie z sędzią piłkarskim. Jeśli podejmuje wszystkie prawidłowe decyzje, ale tylko po wideoweryfikacji, to znaczy, że jest kiepskim arbitrem.

Twój STYL

TOMASZ KOT,
AKTOR

Pięćdziesiątka na horyzoncie sprawiła, że zaczęły pojawiać się propozycje: „A może uczyłbyś w szkole?". Może? Zobaczymy. Jestem otwarty. Czuję, że to fajny moment. Jedno z dzieci wyszło z domu, drugie zaraz wyjdzie. Przyszłość mnie intryguje. Wiek to nowoczesny wynalazek. Ktoś mi powiedział: „Nie tak dawno temu ludzie nie wiedzieli, kiedy się urodzili. Mówili tylko, ile wiosen pamiętają". Więc kupuję koncept zapamiętanych wiosen jako określenie wieku. Abraham Lincoln powtarzał: „Nie liczy się, ile masz lat w życiu, ale ile życia masz w swoich latach".

PANI

KAMILLA BAAR,
AKTORKA FILMOWA, TELEWIZYJNA I TEATRALNA

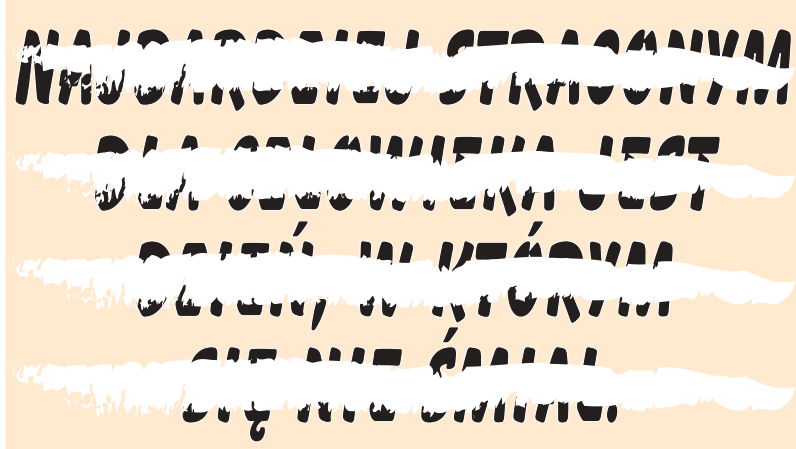
Jestem niezwykle czuła na bodźce i nadmiar mnie przytłacza. Dlatego im mam mniej, tym czuję się lepiej. Kocham modę, ale porozdawałam większość moich ubrań, butów czy torebek. Zostawiłam tylko te rzeczy, które naprawdę noszę. Stałam się mistrzynią redukowania i np. nigdy nie poleciałam w podróż na drugą półkulę z plecakiem, który ważyłby więcej niż 6 czy 7 kg. Nauczyłam się, że ubrania muszą być z jedwabiu lub bawełny, bo wtedy szybko schną na ciele, a leciutkie ortaliony chronią przed zimnem. Minimalizm jest uwalniający. (…) Już nawet nie gromadzę książek, tylko wypożyczam z bibliotek, choć czytam nałogowo. Moja domowa biblioteczka to 20 ważnych dla mnie tytułów, tylko tyle.

FOT. AMEM (2), PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ

eprasa.pl 68802d276f

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – myśl, której autorem jest Nicolas de Chamfort.



NAJBARDZIEJ STRACONYM DLA CZŁOWIEKA JEST DZIEŃ, W KTÓRYM SIĘ NIE ŚMIAŁ.



Aby język giętki…

PROF. ANDRZEJ LEDER
O PRZYSZŁOŚCI EUROPY

Jeśli ma przetrwać suwerenność europejskich narodów, a wraz z nią europejska demokracja, to w formie politycznej federacji.

PŁK KRZYSZTOF PRZEPIÓRKA
O KANCELARII PREZYDENTA

Boguccy, Przydacze i inni ludzie z tej „kancelarii obłąkanych" prześcigają się w kłamstwach, manipulacjach i wkładaniu kija w szprychy rządzącym.

JOANNA KOTAŃSKA O OJCU MARKU

Bywał showmanem. Miał sprawczość, zdolność niepoddawania się, był odrzucany, także hejtowany.

KATARZYNA PUZYŃSKA O PISANIU

Jest dla mnie czynnością intymną. Chyba wolałabym się rozebrać publicznie, niż żeby ktoś miał mnie zobaczyć w trakcie pisania.

BEATA SADOWSKA
O PAWLE KUNACHOWICZU

Jest do trzewi autentyczny, prawy, uczciwy, totalnie lojalny w przyjaźni i rozśmiesza mnie do łez. Oczywiście też najbardziej na świecie wkurza.

PAWEŁ KUNACHOWICZ
O BEACIE SADOWSKIEJ

Ma w sobie niezwykle szczerą, wspierającą energię. Ta jej radość życia, ciepło udzielają się innym.

BOHDAN ŁAZUKA O URLOPACH

Ja jestem non stop na urlopie. Jak się urodziłem, od razu poszedłem na urlop.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Beata Igielska, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

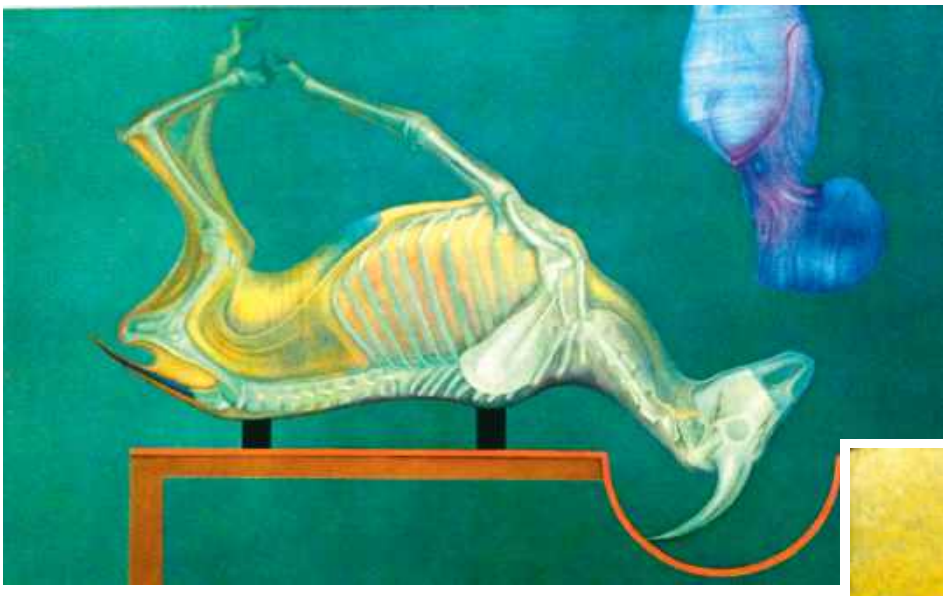
Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 68802d276f

W kręgu przyjaciół



Konfrontacja, 1974

Michel Henricot, francuski malarz zmarły w 2022 r., to jeden z najbardziej enigmatycznych przedstawicieli europejskiej sztuki fantastycznej XX w. Tworzył wizje o wyjątkowej sile oddziaływania, zawieszone między snem a rzeczywistością. Wystawa „W kręgu przyjaciół" ukazuje go na tle niezwykłego kręgu twórców skupionych wokół Leonor Fini i Konstantego Jeleńskiego, takich jak Fabrizio Clerici, Enrico Colombotto Rosso, Jan Lebenstein, Stanislao Lepri i Franciszek Starowieyski. To opowieść o artystycznej przyjaźni, wspólnej wyobraźni i środowisku, w którym surrealizm, symbolizm i metafizyka stworzyły jedne z najbardziej oryginalnych zjawisk w sztuce XX w.

Muzeum Stanisława Szukalskiego w Gdyni
ul. Orłowska 53
do 9 sierpnia



Autoportret, 2009



Bez tytułu, 1965



Spacerujące, 1954

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 68802d276f

81. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL CHOPINOWSKI / DUSZNIKI - ZDRÓJ

7-15.08.2026



W 200. rocznicę
pobytu i koncertów
F. Chopina w Dusznikach - Zdroju

DUSZNIKI INTERNATIONAL CHOPIN PIANO FESTIVAL

KIERZYNKA

eprasa.pl 68802d276f

TEATR IOTA 40 lat

jednoaktówka
Zbigniewa Waszkielewicza

w czwórnasób



Premiera: 7 sierpnia 2026 | godz. 18:00 | Giżyckie Centrum Kultury

Kolejne prezentacje spektalu:
8.08.2026 | g. 18:30 | GOK Wydminy
13.08.2026 | g. 17:00 | Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie, Stary Ratusz

REŻYSERIA: Zbigniew Waszkielewicz | **SCENOGRAFIA**: Teresa Wasilewska-Biernek | **MUZYKA**: Justyna Rekść-Raubo | **CHOREOGRAFIA**: Anna Sochacka
ŚWIATŁO: Bartłomiej Łuczków | **REALIZACJA DŹWIĘKU**: Żaneta Sarnecka-Roch
WYSTĘPUJĄ: Elżbieta Buratyńska, Karolina Korol-Mieronowicz, Elżbieta Łuczak, Justyna Rekść-Raubo, Zbigniew Waszkielewicz

Zaproszenia i bilety (40 zł) do nabycia w Centrum Promocji i Informacji Turystycznej, Giżycko, ul. Gen. J. Zajączka 2
oraz w Giżyckim Centrum Kultury (1 godz. przed prezentacją)
info: iota@fr.pl | +48 536 878 687

WSPARCIE FINANSOWE

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

PARTNERZY

PATRONAT MEDIALNY

eprasa.pl 68802d276f